wyborcza KSIĄŻKI
DODATEK SPECJALNY

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

- O **Miłoszu** zupełnie inaczej
- Przewodnik po **Dolinie Muminków**
- Szczygieł zatopiony w ***New Yorkerze***

WYSOKIE OBCASY

Bogna Sworowska
Teraz będę szczęśliwa

WOLNA SOBOTA

Mapa **pierogów świata** ▶ 24

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Adam Małysz

Żal mi czasu, którego nie spędziłem z córką

▶ 4

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 51

Sobota-czwartek, 21-26 grudnia 2024 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 297.10791, 1 Nakład 92 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA KRAJ/34349755

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Agnieszka Kublik

Życzenia na miarę naszych czasów

Czytelnikom (nie tylko naszym) życzę zrozumienia otaczającego świata, bo staje się on coraz bardziej niepojęty.

Radości z przyszłości, bo przecież czeka nas jakaś przyszłość, choć jeszcze nigdy nie była tak nieprzewidywalnie nieprzewidywalna.

Akceptacji zmian. Czy będą na lepsze? Nie wiem, ale przecież są nieuniknione, wręcz niezbędne do życia.

Wiary w tradycję, choć trudno dziś opisać, czym jest. W wielu miejscach świata czymś kompletnie innym. Więc warto mieć własną.

Oswojenia się z nową normalnością. Konflikty, wojny, protesty, frustracje prowadzące do brutalności. Normalność to już nie jest nasza codzienność.

Te święta będą dobre, jeśli będziemy mieć nadzieję, że jakaś normalność jeszcze istnieje. I że my się w niej kiedyś odnajdziemy.

W przyszłym roku wybory prezydenckie, a to oznacza, że politycy będą zabiegać o naszą uwagę. I nasze zaufanie. Generalnie politykom nie wierzymy, nie szanujemy ich. Tolerujemy.

Nie dajmy się nabrać, że jakakolwiek zmiana zawsze będzie lepsza niż status quo

Co mogą zrobić, byśmy spojrzeli na nich przychylniej? Badania pokazują, że muszą spełniać obietnice (choć my sami swoich postanowień dotrzymywać nie potrafimy, tylko połowa z nas trzyma się choćby tych noworocznych). Teraz to muszą być takie, które da się spełnić przed wyborami prezydenckimi. Na przykład można postawić zarzuty jeszcze paru przestępcom z PiS, a paru może i posadzić na ławie oskarżonych. Rząd Tuska naobiecywał wiele, sporo już zrobił, ale i wielu obietnic nie spełni, bo prezydent Duda obiecał premierowi Tuskowi... brak współpracy, czyli po prostu konflikt.

Trzeba przyznać, Duda słowa dotrzymuje, co zapewne się wyznawcom Jarosława Kaczyńskiego podoba.

Karol Nawrocki obiecał np. zakończyć wojnę polsko-polską. Tej obietnicy nie dotrzyma, choćby chciał – w co wątpię, bo wystawił go polityk z wyjątkowo silnym genem agresji i destrukcji – bo jego kampania już ma cechy gry wojennej.

Polacy są o wiele bardziej nieufni, niż inni Europejczycy. Co znaczy, że u nas politycy muszą się wyjątkowo starać. Nieufność polityczna siedzi w nas historycznie, bo zabory, bo komunizm.

No i politycy do końca nie mogą być pewni naszego głosu. Przed zeszłorocznymi wyborami parlamentarnymi, aż 28 proc. wyborców zdecydowało, na kogo oddać głos dopiero w ostatnim tygodniu, w tym 9 proc. w dniu wyborów, a 4 proc. dzień przed. Politycy muszą wywiązywać się ze swoich obietnic do ostatniej minuty.

Życzę czytelnikom (naszym i cudzym), by mieli nadzieję na taką zmianę, po której polityków polubimy. Zaufamy im, że zmiana, którą proponują, jest dla nas dobra.

Ale byśmy nie dali się nabrać, że jakakolwiek zmiana zawsze będzie lepsza niż status quo. Bo wtedy łatwo zaufać radykałom, uwierzyć im, że gorzej już być nie może.

Może. ●

Andrzej rysuje

Emigranci
Nie dla ciebie ziemia obiecana, Mikołaju

FOT. REUTERS/JOSE LUIS GONZALEZ

Veronica i jej 5-letni syn Nicolas odpoczywają nad rzeką Rio Bravo, odwlekają powrót do domu, w którym nie chcą żyć. Próbowali przekroczyć amerykańską granicę, bo Veronica usłyszała w lokalnym radiu, że władze USA pozwalają na wjazd. Ale to były plotki. Meksyk, 18 grudnia 2024 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Liczba tygodnia

500

MLD DOL.
Tyle jest warta najdroższa europejska firma. To Novo Nordisk producent Ozempicu i Wegovy, które stały się „cudownymi” lekami na odchudzanie. Zakłady firmy działają bez przerwy, a i tak nie zaspokoją globalnego popytu przez następnych kilka lat

Pożegnanie
Dziewczyny Almodovara

Marisa Paredes, ulubiona aktorka Pedro Almodovara, gwiazda filmów m.in. „Wysokie obcasy” i „Kwiat mego sekretu” zmarła we wtorek 17 grudnia. Miała 78 lat.

„Jestem zdruzgotany wiadomością o śmierci Marisy Paredes, jednej z najważniejszych aktorek, jakie kiedykolwiek wydał nasz kraj” – napisał w mediach społecznościowych premier Hiszpanii, Pedro Sánchez.

FOT. SHUTTERSTOCK

Marisa Paredes w filmach grała od 1965 roku, ale światową sławę zyskała w latach 90. Przełomem w karierze była rola w „Wysokich obcasach” Pedro Almódovara z 1991 r. Paredes zagrała w nim słynną śpiewaczkę Becky del Páramo, uwikłaną w romans z mężem swojej córki.

Cztery lata później Paredes wcieliła się w Leo Macías, główną bohaterkę „Kwiatu mego sekretu” Almódovara – poczytną autorkę romansów w kryzysie. Jako diva wystąpiła też w 1999 r. w nagrodzonym w Cannes filmie „Wszystko o mojej matce”. Zgrała gwiazdę teatralną, Humę Rojo.

Współpracę z Almodóvarem Paredes zaczęła już w 1983 r., kiedy wystąpiła w jego czarnej komedii „Pośród ciemności” jako Siostra Łajno, morderczyni zmieniona w zakonnicę. Ich ostatnim wspólnym filmem była „Skóra, w której żyję” z 2011 r.

Role wyrazistych, pełnych temperamentu kobiet sprawiły, że hiszpańscy krytycy okrzyknęli Paredes „una chica Almodóvar” – „dziewczyną Almodóvara”. Marisa Paredes była dwukrotnie nominowana do nagrody Goya, w 2018 r. dostała wyróżnienie za całokształt pracy aktorskiej. ●

Emilia Dłużewska

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Rwiemy zęby z biedy

Stomatolog: Przyszedł do mnie pan, któremu wypadł ząb sąsiadujący z protezą, więc go do niej przykleił z pomocą super-glue

Piotr Głuchowski sprawdza, ile Polak ma zębów

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Listy Tolkiena na święta

Rosyjska matka woli milczeć

Znajomi z Rosji i Ukrainy pytają w mediach społecznościowych, co podarować dzieciom podczas wojny

Bieliaszyn

Przez ponad dwadzieścia lat John R. Tolkien, autor „Władcy Pierścieni", pisał do swoich dzieci bożonarodzeniowe listy. Oficjalnie ich nadawcą był sam Święty Mikołaj, który korespondował z małymi Tolkienami od 1920 aż do 1943 r., kiedy nawet Priscilla, najmłodsze dziecko pisarza, wyrosła z bajek.

Początkowo Święty Mikołaj skupiał się na codziennych obowiązkach, prezentach, przyjaźni z niedźwiedziami polarnymi, krasnoludami i elfami. W pewnym momencie, za sprawą coraz bardziej napiętej atmosfery w Europie, beztroski ton stał się niemożliwy do utrzymania. Wojna stała się więc obecna w bożonarodzeniowych listach.

W jednym, nawiązując do wybuchu II wojny światowej, opisywał, że wrogie światu gobliny, które przed laty przegrały Wielką Goblińską Wojnę, znów „porwały renifery i ukradły wszystkie prezenty". W innym dzielił się refleksją: „Ludzie na całym świecie są smutni w te Święta. Obawiam się, że nie mogę dotrzeć do większości miejsc, do których uwielbiałem jeździć. To wszystko przez wojnę. Dokąd mam lecieć, do jakich kominków, kiedy tyle domów jest zniszczonych na całym świecie? Jak dzieci mogą we mnie wierzyć?".

●

Czy i dzisiaj Święty Mikołaj ma podobne troski? Nie mam wątpliwości. Tym bardziej że już drugi rok w serwisach społecznościowych ukraińscy i rosyjscy znajomi pytają, co podarować na Gwiazdkę dzieciom, które w listach do Mikołaja proszą o koniec wojny.

„Niech te święta już nadejdą i miną", mówi mi Lesia z Ukrainy. „Też nie lubię Bożego Narodzenia", mówi mi Weronika z Rosji. A ja je rozumiem. Mają powody.

Choć inne niż większość moich polskich koleżanek. Nie narzekają na konieczność spędzania świąt z niezbyt lubianymi członkami rodziny. Nie muszą przygotowywać po pracy ani czasochłonnych wigilijnych potraw ani domu na powitanie gromady gości. Nie głowią się nawet specjalnie, co podarować bliskim, a nawet jeśli, to zupełnie nie zaprzątają sobie myśli tym, jakie prezenty kupić odległym krewnym, których gustu ani zainteresowań nie znają.

Obie przyjechały do Polski po pełnowymiarowym ataku Rosji na Ukrainę. Pierwsza, bo na jej miasto spadają rosyjskie rakiety. Druga, bo przeciwko tym atakom protestowała, ściągając na siebie uwagę organów ścigania. Lesia, podobnie jak miliony rodaków, nie spędzi świąt z rodziną. Boi się podróży na wschód kraju, w czasie poprzedniej wizyty trafiła na masowy ostrzał, wiele czasu spędziła w schronie. Poza tym brat i ojciec i tak są na froncie.

Weronika, nawet gdyby mogła wrócić do Rosji, nie ma już za bardzo z kim usiąść przy wigilijnym stole. Ojciec uważa, że „dała się zmanipulować zachodniej propagandzie" i jest przekonany, że „do wojny nigdy by nie doszło, gdyby nie NATO i Ameryka"; matka o wojnie i polityce boi się rozmawiać, woli więc milczeć, by uniknąć kłótni.

●

Ich historie nie powinny być zrównywane. Być ukraińskim uchodźcą to nie to samo, co być rosyjskim emigrantem, nawet politycznym. Ale rozmawiając z nimi, a także z innymi ukraińskimi oraz rosyjskimi przyjaciółmi krótko przed świętami dostrzegam, że jedni i drudzy myślą intensywnie o utracie. O życiu, które bezpowrotnie się skończyło, bo, niezależnie od tego, czym ta wojna się zakończy, do pewnych miejsc i ludzi nie da się już wrócić.

W codziennym pędzie, żyjąc pracą i próbami zaadaptowania się w nowym kraju, łatwiej o tym zapominać, ale w okresie świątecznym ta świadomość uderza ze zdwojoną siłą. Mieszkania, w których nie udało się jeszcze zadomowić. Miasta, w których wciąż łatwo się zgubić. Znajomi, z którymi nie ma się żadnych dawnych wspomnień i z którymi łączy na razie tylko język i brzemię wojny. I jeszcze to jedno, powtarzane przez wszystkich przy różnych okazjach życzenie, które nie wiadomo kiedy i czy w ogóle się spełni.

Rosjanie mówią o stracie bliskich. Rodziny tych, z którymi rozmawiam, nie zginęły jednak od rakiet i dronów. Odebrała im ich nie rosyjska armia, tylko telewizor, z którego wylewa się putinowska propaganda. „Wyobrażasz sobie, że kiedykolwiek odnowisz kontakt z wujkiem, który chodzi w bluzie z symbolem Z?" – pyta mnie Wika, emigrantka z Moskwy. Która niedawno przepłakała kilka dni, bo o ciąży popierającej Putina siostry dowiedziała się już po narodzinach dziecka, z Instagrama dalekiej znajomej.

Moi znajomi Ukraińcy myślą dzisiaj o tych, których wojna pokaleczyła i zabrała. I o tych, których jeszcze zabierze, nie dając w zamian gwarancji na dobre zakończenie. O domach i miastach, których już nie ma. O mglistej przyszłości. O tym, co przyniesie los i czy zachodni liderzy wytrwają we wspieraniu Ukrainy? Czy jednak ugną się pod presją Kremla albo wyborców, coraz bardziej zmęczonych tematem wojny i jej skutkami we własnych portfelach?

Niech te święta już miną – mówi mi Lesia z Ukrainy. – Nie lubię Bożego Narodzenia – Mówi mi Weronika z Rosji. Rozumiem je obie

●

Te obawy nie są bezpodstawne. Im dalej od linii frontu, tym bardziej rozmywa się perspektywa. „Mam coraz więcej wątpliwości. Na początku wszystko wydawało się oczywiste, ale teraz pojawiają się u nas nowe doniesienia, śledztwa dziennikarskie na temat działań ukraińskich władz. Momentami trudno się połapać, kto jest w tym wszystkim dobry, a kto – zły. I czy potrzebnie się tak angażujemy, tyle poświęcamy", tłumaczy mi w kuluarach konferencji w Berlinie niemiecka działaczka. „A ja z kolei łapię się na tym, że zapominam, że ta wojna nadal trwa", wtórowała jej druga.

W czasie II wojny przed podobnymi nastrojami i wpływami ostrzegali europejscy intelektualiści. Jednym z nich był Tolkien, który o znaczeniu solidarności pisał nawet do dzieci.

W ostatnim z bożonarodzeniowych listów, który przyszedł do domu Tolkienów w grudniu 1943 roku, Święty Mikołaj starał się przekazać myśl, z której wynikało, że gwarancją przetrwania kultury i prawa, i w trakcie wojny, i po jej zakończeniu, jest solidarność narodów oraz obietnica każdego kraju, że w razie kłopotów, bez względu na wszystko, przyjdzie drugiemu na pomoc. I będzie trwać u jego boku, dopóki zło nie zostanie pokonane.

„Z trudem powstrzymywaliśmy lawinę goblinów, które napływały na nas z tunelu. Musiałem zadąć w Wielki Róg trzy razy. Jego dźwięk niesie się daleko, gdziekolwiek zawieje północny wiatr. Musieliśmy czekać, ale na ratunek przybyły niedźwiedzie polarne, śnieżne elfy, bałwany i krasnoludy. Byliśmy o krok od klęski, ale zwyciężyliśmy", pisał.

Chciałoby się wierzyć, że pamiętają o niej europejscy i amerykańscy decydenci. Nie tylko w święta. ●

Wiktoria Bieliaszyn

REKLAMA

Kraj/34353688

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

ROZMOWY NA ŚWIĘTA

Tęsknię za przyjaźniami z dzieciństwa

Kiedy zacząłem odnosić sukcesy, kolegom się wydawało, że już do siebie nie pasujemy.

Z **ADAMEM MAŁYSZEM**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

DOROTA WODECKA: Zacznijmy z wysokiego C.
ADAM MAŁYSZ: Już się boję.

Sądzę, że w wieku 47 lat zna pan odpowiedź. Co jest w życiu najważniejsze?
– Wiadomo – zdrowie.

Nie miłość?
– Ważne, by iść z kimś przez życie, ale kiedy miłość przemija i ludzie się rozwodzą, jest szansa, że jeszcze ją znajdą. Kiedy zdrowie się kończy, to życie już nie daje kolejnej szansy.

Zdarzało się panu marnować tak zwane życiowe szanse?
– Mam nadzieję, że ich nie marnowałem, choć nie wiem, jak potoczyłby się mój los, gdyby nie upór rodziców. Tato pracował w klubie, w którym trenowałem, był kierowcą, woził zawodników na zawody. Jeśli więc zamiast na trening poszedłem z kolegami grać w piłkę, natychmiast się o tym dowiadywał.

Nieraz babcia mnie przed nim broniła i kłamała, że musiałem zostać w domu, bo miałem dużo lekcji do odrobienia. Zazdrościłem kolegom, którzy zaczynali ze mną treningi, a kiedy im się odechciało, mogli trenować coś innego, a przede wszystkim grać w piłkę.

Moi rodzice się uparli, że sport jest moją życiową szansą, do czego w każdej chwili mojego rozleniwienia czy zwątpienia mnie przekonywali. Jestem im bardzo wdzięczny, że byli wobec mnie konsekwentni, ale uważam, że do 12. roku życia dziecko powinno uprawiać rozmaite sporty i szukać różnych pasji, po to by wybrać właściwą drogę dla siebie.

Pan zaczął swoją w wieku sześciu lat. Wszystkie narty zjazdowe były wtedy dla pana za duże.
– Byłem niewielkiego wzrostu i z tego powodu pierwsze narty, jakie włożyłem na nogi, były do skakania. Trenowałem na dziesięciometrowej skoczni w Wiśle. Koledzy ustawiali mnie w połowie spadu i popychali, bym zjechał 5 m w dół. Buty też miałem za duże i zdarzyło mi się, że zgubiłem je w powietrzu razem z nartami i lądowałem w skarpetkach. Pierwsze zjazdówki dostaliśmy z siostrą pod choinkę, ale połamałem je na skoczni.

Bał się pan?
– Za każdym razem, gdy zmieniałem skocznię z mniejszej na większą, myślałem sobie, że to już koniec mojego skakania, bo się bałem. Pchała mnie jednak ciekawość, jak to będzie skoczyć.

Aż w końcu stanąłem na mamuciej. Nogi mi się trzęsły jak galareta.

200 m długości i prędkość powyżej setki na godzinę. I chyba przeszywające zimno.
– Gdy mocno wieje, nie wiesz, co cię spotka w powietrzu. Nie znam skoczka, który mimo doświadczenia nie boi się stanąć na rozbiegu mamuciej skoczni. Bez względu na to, ile razy wcześniej odbijasz się od jej progu, to zawsze, po przerwie, pierwszy skok jest rozpoznawczy.

Parcie do sukcesu, kierat treningów, obowiązkowość, gdzie tu miejsce na beztroskie dzieciństwo?
– Za dziecka traktowałem ten sport jako dobrą zabawę. Z czasem regularne treningi pozbawiły mnie części dzieciństwa, ale wiedziałem, że sport jest szansą na ciekawsze życie. Pochodziliśmy z domu, w którym się nie przelewało, rodziców nie było stać, by wysyłać nas z siostrą na kolonie czy jeździć z nami na wczasy. Gdyby nie obozy z klubu, nie wyjeżdżałbym nigdzie na wakacje.

Nie jestem pewien, czy sport pozbawił mnie beztroski. Kiedy myślę o dzieciństwie, to przede wszystkim odczuwam tęsknotę za babcią, która nas z siostrą i kuzynami wychowywała, za kolegami, z którymi bawiłem się na podwórku, chodziłem do szkoły i na treningi i którzy w tamtym czasie byli moimi przyjaciółmi.

Żadna z tamtych przyjaźni nie ocalała. Nie tylko dlatego, że kiedy oni rzucili treningi, ja trenowałem jeszcze intensywniej. Ale dlatego, że kiedy zacząłem odnosić sportowe sukcesy, im się wydawało, że już do siebie nie pasujemy.

Dlaczego mielibyście nie pasować?
– Kolega z tamtych czasów powiedział mi, że głupio mu było do mnie zadzwonić albo przyjść, bo ja to już jestem z wyższych sfer. Zapewniałem, że to nieprawda, ale niestety, przyjaźnie się rozpadły również

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

• **Kuusamo, 27 listopad 2003. W drodze na trening przed konkursem Pucharu Świata. Wygrał Sigurd Pettersen (131,5m), tuż za nim, ze stratą 1.2 punktu, znalazł się Adam Małysz (129,5m), nadal lider Pucharu**

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

dlatego, że pozakładaliśmy rodziny i życie się trochę zmieniło.

Tęsknię za dzieciństwem, za przyjaciółmi, z którymi spędziłem mnóstwo czasu. Trudno nas było do domu zagonić. Zbójowaliśmy, za co nieraz dostałem od ojca.

Zapadł mi w pamięć moment z pana biografii, kiedy pewny, że czeka pana lanie za późny powrót do domu, wkłada pan pod zimowy kombinezon deskę, która ma chronić pośladki przed ojcowską surowością. Żal mi było tamtego dziecka. Tym bardziej że sprawa z deską się wydała i dostał pan lanie na goły tyłek.

– Żeby nie było, nie dostałem pasem, tak żebym nie mógł siedzieć. Ojciec nie zorientował się, że uderzył w deskę, i gdybym się głupawo nie zaczął uśmiechać, pewnie by się na tym skończyło.

Ale ja tej historii źle nie wspominam. Nie przywołałem jej w biografii, by wspominać przykrości z dzieciństwa, tylko by pokazać, że moi rodzice byli konsekwentni w egzekwowaniu posłuszeństwa i szacunku.

Moim zdaniem na konsekwencji między innymi polega wychowywanie dziecka. Nieraz dostałem, ale nie wypominam tego ojcu. Takie były wtedy czasy. Przyznam nawet, że wolałem dostać w tyłek, niżby się ojciec do mnie przez miesiąc miał nie odzywać. To nieodzywanie się gorzej wspominam.

Czuł się pan niekochany albo odrzucony?

– Nie. Wiedziałem, że to jest kara za moje zachowanie. Jej widmo było bardziej skuteczne niż myśl o klapsie w tyłek. Bo jeśli coś zbroiłem, był klaps i po sprawie, ale z tym milczeniem to się długo męczyłem. I w efekcie wolałem nie broić, niż się na milczenie narażać.

Boję się, że zaraz pan powie, że w klapsie nie ma niczego złego.

– W życiu bym córki nie uderzył, ale też widzę, że dzisiaj dzieci nie mają szacunku dla doświadczenia dorosłych i do oczekiwań rodziców. Ileż to razy człowiek dostał w szkole linijką przez otwartą dłoń albo został pociągnięty przez ucho, a jeszcze bał się o tym powiedzieć w domu, boby dostał opieprz za to, że był niegrzeczny.

A dziś nauczyciele boją się zwrócić uczniom uwagę ze strachu, że rodzice oskarżą ich o agresję albo dręczenie ich dziecka. Zresztą dzieci też się odgrażają rodzicom, że doniosą na nich na policję, jeśli będą na nie krzyczeć czy je uderzą. Znam takie przypadki.

Pan się bał swojego ojca?

– Nie, ale odczuwałem przed nim respekt. Wiedziałem, że póki nie jestem pełnoletni, rodzice są za mnie odpowiedzialni. Czułem do nich szacunek, podobnie jak do dziadków.

Czy ten szacunek nie wynikał ze strachu?

– Może też, ale ja naprawdę nie bałem się kary. Najbardziej się bałem wtedy, gdy coś przeskrobałem i wracałem do domu. Czułem, że źle zrobiłem, i to mnie dręczyło bardziej niż jakiś szlaban czy inna kara. Wiedziałem, że mi się należy.

Założył pan rodzinę i wyprowadził się z domu w wieku 19 lat.

– Chciałem wracać z treningów czy zawodów do kogoś, z kim będę mógł rozmawiać, kto mnie rozumie i przytuli. Moi rodzice nie byli do przytulania, nie rozmawiali z nami o naszych sprawach, o życiu, bo nie mieli na to czasu.

Mama pracowała w domu towarowym i tam spędzała większość czasu. Widywaliśmy się wieczorami. Potrzebowałem bliskości i czułem, że Iza jest osobą, z którą stworzymy dom, do którego z radością będę wracał.

Kiedy zdecydowaliście się na ślub, pana żona była ledwie pełnoletnia. Czy dziś, patrząc na młodych ludzi w tym wieku, dostrzega pan, że w większości mimo metryki emocjonalnie są jednak dziećmi?

– Dostrzegam też, że niektóre piętnasto- czy szesnastolatki wyglądają i zachowują się jak dorośli. I widzę niedojrzałych dorosłych, którzy rozstają się, kiedy w związku pojawi się problem. Nie rozwiązują go, tylko przekonują siebie, że „to nie to", i do widzenia, szukają kolejnej osoby, z którą ma być „to".

Jesteśmy z Izą 27 lat po ślubie, ale nigdy nam nie przyszło do głowy, że trzeba się rozwieść, bo się ze sobą nie zgadzamy. Kłóciliśmy się, bywało, że talerze latały, nieraz mówiliśmy sobie przykre rzeczy, ale wziąłem sobie do serca słowa mojej babci, która mówiła, że nie jest sztuką się pokłócić, tylko sztuką jest się pogodzić. Więc po kłótni rozmawiamy i się godzimy. Gdybym nie kochał Izy, pewnie byśmy się rozwiedli.

eprasa.pl 7f7b52c9e4

▶ **„Pierwsze zjazdówki dostaliśmy z siostrą pod choinkę, ale połamałem je na skoczni". Tu Adam ma 17 lat. Wisła,22 grudnia 1994 rok.** FOT. WOJCIECH SURDZIEL / AGENCJA WYBORCZA.P

▼ **„Pobraliśmy się, gdy miałem 19 lat. Chciałem wracać z zawodów do kogoś, z kim będę mógł rozmawiać, kto mnie rozumie i przytuli". Wisła, 10 marca 1998. Adam i Iza Małyszowie z malutką Karoliną.** FOT. WOJCIECH SURDZIEL / AGENCJA WYBORCZA.PL

Co to znaczy?
– Co to znaczy, że ją kocham? Ja tego nie umiem powiedzieć w słowach. Na pewno miłość przychodzi z czasem, bo na początku to nie jest miłość, tylko zauroczenie, fascynacja. Ale co to znaczy, to chyba bardziej się czuje. Kiedy wyjeżdżam, to już za nią tęsknię. I myślę, że szkoda, że ona nie może zobaczyć tego, co ja. A może w miłości chodzi o dzielenie się pięknem? I na pewno o wsparcie też.

Był pan mężem i ojcem nieobecnym, podobnie jak pana rodzice. W jednym roku nie było pana w domu 320 dni.
– Był taki rok, ale wtedy nie miałem jeszcze rodziny. Trener Pavel Mikeska miał plan, byśmy w ogóle nie wracali do domów, tylko po zawodach i zgrupowaniach wracali do ośrodka w Zakopanem, na co nikt z zawodników nie chciał się zgodzić.

Po miesiącu przebywania ze sobą z dala od domu mieliśmy siebie dość i bywało, że się nawet okładaliśmy. Człowiek potrzebuje wrócić do swoich, by się dotlenić. Ale rzeczywiście, więcej mnie w domu nie było, niż byłem, i czułem się winny, że nie uczestniczę w życiu żony i córki.

Szczególnie żal mi czasu, którego nie spędziłem z Karoliną. Za każdym razem, gdy wracałem z zawodów, musiałem budować relację z nią jakby od początku. Wstydziła się mnie.

Z każdym powrotem był pan „obcy"?
– Bolało mnie to, ale co mogłem zrobić? Starałem się przywozić jej zawsze jakiś upominek, by przełamać jej nieufność. Nie mogłem jej przytulić od razu po powrocie, musiałem jej dać czas na oswojenie się z moją obecnością.

Jerzy Pilch, pana krajan z Wisły, mówił, że jest u was powiedzenie, że jeśli komuś urodzi się córa, to gorzej, niżby zgorzał. Czyli że córka to gorsze niż pożar. On akurat chciał mieć córkę.
– Nam było wszystko jedno, ale jest coś w tym, że synowie są matek, a córki tatusiów. Mówię Karolinie, że jeśli mam być dziadkiem, to chciałbym mieć wnuczkę. Podobno miłość dziadków jest zupełnie inna niż rodziców, pewnie nie musiałbym się stresować wychowaniem wnuków i tylko spędzać z nimi czas i ich kochać.

Swoją drogą wychowaniem Karoliny też się nie stresowałem, bo była bardzo grzecznym dzieckiem i trzeba ją było raczej namawiać, by się tak nie starała. Sama stwarzała sobie presję, że musi się bardzo dobrze uczyć. Czwórka czy gorsza ocena to był dla niej dramat. Nieraz mówiłem, by w końcu przyniosła do domu jedynkę, bo każdy normalny człowiek dostaje też jedynki.

Sądzi pan, że była pod presją ojca mistrza?
– Nie, na pewno nie. Raczej chciała dorównać mamie, która była wzorową uczennicą. Ale też z powodu „ojca mistrza" miała gorzej niż inne dzieci, bo nauczyciele na przykład z wuefu z niewiadomych powodów wymagali od niej dwa razy więcej.

Uczyłem ją rzutów w piłce ręcznej. Umiała, ale wróciła do domu z czwórką. Pytam, jak to możliwe: pokaż, jak to zrobiłaś. I widzę, że naskok jak trzeba, rzut też w porządku, a jednak czwórka. A to tylko jeden z przykładów.

Co pan stracił z jej życia pod swoją nieobecność. I co straciła ona?
– Oboje straciliśmy na tym, że ja nie umiałem okazywać jej miłości. Ja wiem, że moi rodzice mnie kochali, ale nie należeli do tych, co o tym mówią i całują na pożegnanie. Ja też tego nie umiałem, ale uczę się. I – mam nadzieję – robię postępy.

Wolałem dostać w tyłek, niżby się ojciec do mnie przez miesiąc miał nie odzywać

„Ćwiczenia są drogą żywota", mawiał luter Pilch.
– U nas w rodzinie się mówiło, że bez pracy nie ma kołaczy. A kołacz to takie dobre ciasto.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że w sporcie zawodowym „sto procent to za mało". Dziś rozmawiamy od 7.45, bo wcześniej nie mogłam się dodzwonić, było zajęte. Gdzieś przeczytałam zdanie, że mężczyźni mają w życiu pracę, a kobiety relacje, i zastanawiam się, czy to nie jest akurat o panu.
– Sport nauczył mnie pracowitości i wytrwałości w dążeniu do celu, rozwinął ambicję, wzmocnił siłę charakteru, by się nie poddawać, nawet gdy jest bardzo trudno.

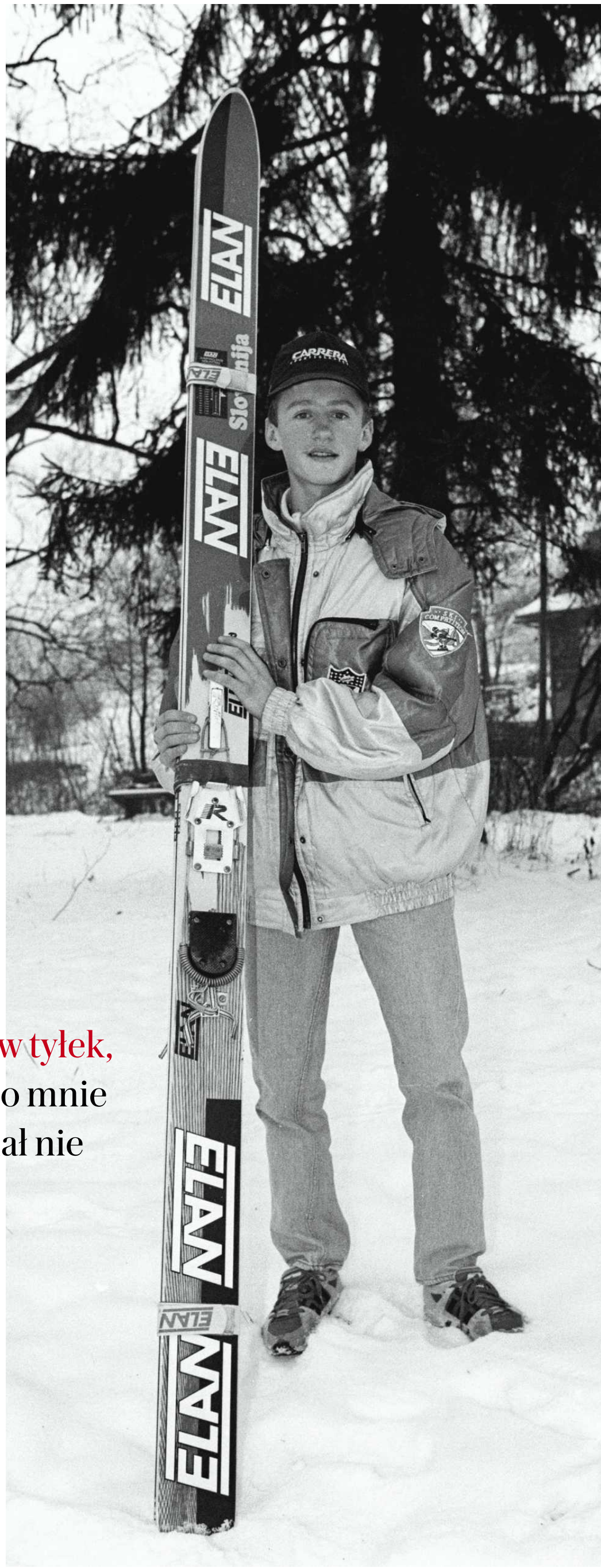

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Kiedy szybujesz w powietrzu 200 metrów, przez pięć, sześć sekund, to czujesz się jak ptak

▲ **Turniej Czterech Skoczni w Garmisch-Partenkirchen, 6 stycznia 2001 r.** FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

◀ **A obok pamiątka po małyszomanii - wjeżdżając do Wisły napotkać można znaki ostrzegawcze: UWAGA ADAM** FOT. PAWEŁ SOWA / AGENCJA WYBORCZA.PL

▼ **Adam małysz zdobył cztery medale olimpijskie (srebrny i brązowy w 2002r. i dwa srebrne w 2010r.), sześć krążków mistrzostw świata (złoty i srebrny w 2001 , dwa złote w 2003,r. złoty w 2007r. i brązowy w 2011r.), a także cztery Kryształowe Kule Pucharu Świata.** FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

▼ **Z Kamilem Stochem podczas serii treningowej przed konkursem skokow w Pjongchang, 7 luty 2018 r.** FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jestem pracowity, ale nie jestem pracoholikiem. Jesteśmy w środku sezonu, spotkanie za spotkaniem, od rana do wieczora. Bywa, że nie mam czasu odpowiedzieć na mejl czy SMS, o czym się pani przekonała nieraz.

Jest pan teraz działaczem...
–...nie, tylko nie działaczem. Słowo „działacz" działa mi na nerwy.

Niech będzie, czyli jest pan prezesem.
– Chyba przez rok walczyłem, by ludzie przestali do mnie mówić „panie prezesie". Niech będzie „Adamie" lub „panie Adamie".

Swoją drogą „działacz" kojarzy mi się od nastoletniości z trochę oślizgłym gościem z dużym brzuchem obłapiającym dziewczynki lekkoatletki.
– Działaczami były najczęściej starsze osoby, które niczego w sporcie nie osiągnęły, ale napawały się swoją władzą. Nigdy nic nie robili, tylko wymagali. O molestowaniu zawodniczek też się słyszało, co jest karygodne! Na szczęście to się zmienia.

Dziś w związkach pracuje dużo byłych zawodników, którzy rozumieją wyzwania, jakie stawia przed sportowcami ich dyscyplina, i starają się im pomóc. Chcą coś robić, a nie tylko być. Jestem bardziej zestresowany pracą w związku niż wtedy, gdy uprawiałem sport. Bo widzę, jak wiele zależy ode mnie, by ułatwić sportowcom ich zadania.

Nie jestem pewna, czy nie idzie również o „być". Dość przypomnieć olimpiadę w Paryżu i działaczy zaproszonych na nią przez Polski Komitet Olimpijski, którzy zostali zakwaterowani w znacząco lepszych hotelach niż olimpijczycy. Pan z zaproszenia nie skorzystał.
– Nigdy nie byłem na olimpiadzie jako cywil i bardzo chciałem ją zobaczyć z takiej luźniejszej perspektywy, ale nie pojechałem, bo po pierwsze, mieliśmy w tym czasie w Polskim Związku Narciarstwa kontrolę NIK-u, a po drugie – jak zobaczyłem, ilu prezesów zostało zaproszonych, to ogarnęło mnie zniechęcenie.

Nie lubię tłumów, może mam uraz po karierze, kiedy byłem bardzo rozpoznawalny i nie mogłem przejść spokojnie ulicą czy posiedzieć w restauracji. Nie narzekam, szanuję kibiców, ale jestem raczej osobą nieśmiałą i nie lubię być na pierwszym planie.

W tej odmowie nie szło panu o publiczne pieniądze?jn
– Za nasz przelot i hotel mieli płacić sponsorzy, były gwarancje, że nie zabieramy miejsca zawodnikom. Wtedy nikt nie wiedział, w jakich warunkach będą zakwaterowani.

W wielu domach czas, kiedy rodzinnie oglądano skoki narciarskie, skończył się wraz z pana karierą. Proszę mi wyjaśnić najprościej, jak to możliwe, dlaczego polskim skoczkom w tym roku nie idzie.
– Jesteśmy przyzwyczajeni, że nasi zawodnicy odnosili sukcesy w pucharze świata, w mistrzostwach świata, w Turnieju Czterech Skoczni czy na olimpiadzie. Ale pokolenie skoczków się wymienia. Zmienia się sprzęt. Od czasów, kiedy skakałem ja, Kamil Stoch czy nawet Piotrek Żyła, kombinezony, kaski i buty kilkakrotnie się zmieniły.

Kibic tego nie zauważa, bo to są detale, ale te detale robią dużą robotę. Raz krok w kombinezonie jest przy kolanach, innym razem zwęża się nogawki, by znów je poszerzyć. Zmienia się powierzchnia nośna. Modyfikuje się szwy. Raz kask ma z tyłu dziubek, przez który przelatuje powietrze, a już w następnym sezonie go nie ma. Buty też mają różne zapięcia i formę.

Ale po co?!
– FIS, czyli Międzynarodowa Federacja Narciarska i Snowboardowa, narzuca ciuchy, w jakich mogą rywalizować sportowcy. W tym sezonie podjęła też decyzję, że zawodnicy mają skakać tylko w czterech kombinezonach i w tym samym kombinezonie na jednych zawodach. Kombinezony mają chipy i technicy sprawdzają, czy rzeczywiście nikt się nie przebiera.

Starsi zawodnicy nie są w stanie reagować na zmiany w sprzęcie, bo mają wypracowaną technikę i de facto muszą się uczyć niemalże skakać na nowo. Młodszych czy tzw. cudownych dzieci na razie nie ma. Klemens Murańka, okrzyknięty kiedyś cudownym dzieckiem, w tym roku zakończył karierę, bo trochę wyrósł i ma ponad 184 cm wzrostu.

W częstych zmianach ciuchów chodzi o kasę?
– Sport zawodowy to przecież kasa i biznes. Nas można porównać technologicznie do Formuły 1, gdzie wiele drobnych elementów w bolidach odgrywa ogromną rolę.

Jak te zmiany przekładają się na formę?
– W zależności od rodzaju sprzętu inna jest pozycja dojazdowa, inaczej się odbijasz. Za-

eprasa.pl 7f7b52c9e4

wodnicy mają swoje nawyki, muszą je przełamywać. Starają się na przykład luźno dojechać, bo spina ich kombinezon, a luźno to nie znaczy aktywnie. Są niespokojni, bo coś im nie gra w kombinezonie, a do tego dochodzi presja, że skoro byli dobrzy, to muszą udowodnić, że wciąż są dobrzy. Zaczynają się nakręcać i stres ich dobija.

Zna pan to?
– Pewnie, że znam. Wtedy, gdy mi nie szło, ku niezadowoleniu trenera kadry wróciłem do Jana Szturca, mojego pierwszego trenera z dzieciństwa i wujka. On mnie wychował jako zawodnika i znał moje ruchy i technikę i tylko on mógł zauważyć, co robię źle.

Wróciłem do swoich początków i musiałem oddać setki skoków, by znów było dobrze. To nie jest żaden wstyd być mistrzem i trenować podstawy. Trenerzy kadry mają zwykle problem z ponownym oddaniem swoich zawodników trenerom klubowym, ale ja się uparłem.

To wtedy uparł się pan i na psychologa, który dotąd nie pracował z zawodnikami?
– Dziś psycholog w zespole to norma, ale ja rzeczywiście przecierałem szlaki.

Dobrze mi szło w kwalifikacjach, ale w konkursie nic nie skakałem.

Walczyłem z trenerem o psychologa, ale on nie był chętny i zaproponował mi psychiatrę.

Miałem ogromny kryzys, bo nie potrafiłem skoczyć tak, by załapać się do finałowej trzydziestki. To był rok 1997, ożeniłem się, a w październiku urodziła się moja córka.

Aaa, czyli „wpadliście"?
– Nie, nie wpadliśmy. Iza zaszła w ciążę już po moich oświadczynach. Zyskaliśmy wtedy dodatkowy argument dla rodziców, by się pobrać. Nie byli niechętni, ale proponowali, byśmy się jeszcze zastanowili.

Gdyby nie Iza, prawdopodobnie rzuciłbym wtedy skakanie. Zaczęło brakować pieniędzy, byłem zdecydowany, by wrócić do wyuczonego zawodu dekarza i w ten sposób utrzymać rodzinę, ale na to się Iza nie godziła.

Ale zmienił się trener kadry, Pavla Mikeskę zastąpił Apoloniusz Tajner, w zespole pojawił się specjalista od fizjologii prof. Janusz Żołądź, a ja zacząłem pracę z psychologiem Janem Blecharzem. Uzmysłowił mi, jaki popełniałem błąd.

Jaki?
– Stojąc przy belce, wyobrażałem sobie, czego mam nie zrobić, żeby było dobrze, zamiast myśleć o tym, co powinienem zrobić. Czyli pozytywne myślenie zamiast negatywnego. Nauczył mnie, jak się relaksować. Codziennie rano wykonywałem kilka sekwencji powitania słońca. Dziś też mi się to zdarza, ale nie tak regularnie jak kiedyś.

Są ludzie, którzy uznają ten rytuał za niemęski i bardziej przynależny kobietom.
– Nie uważam, że są czynności przynależne tylko mężczyznom albo tylko kobietom. Jestem „samosią" – piorę, prasuję, czasem gotuję. Dbam o ogród, lubię to. Nie dzielę zachowania na męskie i niemęskie.

Gdy dorastałem, mężczyźni inaczej funkcjonowali niż obecnie. Dusili w sobie emocje, nie okazywali uczuć. Trzymali wszystko w sobie, co skutkowało problemami z ego i z psychiką. Ja tego nie mam. Jak trzeba, płaczę, jak trzeba, jestem twardy i się nie poddaję. Miałem trudny moment w czasie rajdu Paryż – Dakar, ale zacisnąłem zęby i jechałem dalej.

Myślenie pozytywne i zaciskanie zębów są przydatne w życiu?
– W życiu to może nie, bo za dużo się w nim dzieje i nie zawsze dobrze jest przekonywać samego siebie, że jest okej. Ale w sporcie na pewno warto się nie nakręcać, że jest i będzie źle. A jeśli już zwali nas z nóg porażka, to sztuką jest zebrać się i udowodnić nie tylko sobie, że ta porażka zdarzyła się przypadkiem.

• **„Nie znam skoczka, który mimo doświadczenia nie boi się stanąć na rozbiegu mamuciej skoczni. Bez względu na to, ile razy odbijasz się od jej progu, to zawsze, po przerwie, pierwszy skok jest rozpoznawczy". Finałowy tyrniej Pucharu Świata na mamuciej skoczni. 20 marca 2011 rok, Planica.** FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

• **Adam Małysz z pilotem Rafałem Martonem podczas rajdu terenowego IV Rabakoz Kupa. Wystartowali samochodem Mitsubishi L200. 13 maja 2012 rok, Kapuvar, Wegry.**

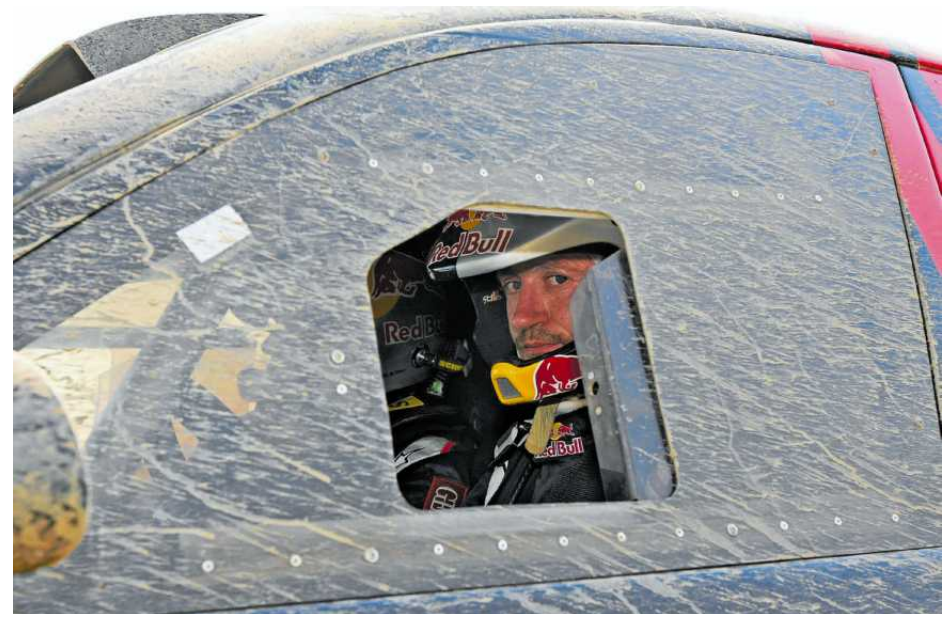

Wizualizował pan swoją pozycję w czasie skoków? Psychologia podpowiada, że rosną wtedy szanse na perfekcję ruchów.
– Oczywiście, nauczyłem się tego przy Janie Blecharzu. Przypominałem sobie w myślach swoje najlepsze skoki i utrwalałem, w jaki sposób wtedy skakałem. Wielu sportowców to robi, proszę spojrzeć na zawodników uprawiających narciarstwo alpejskie. Stoją na starcie, mają zamknięte oczy i w myślach skręcają przy słupkach.

Myśli pan, że mistrzowie są z natury optymistami?

Przez rok walczyłem, by ludzie przestali do mnie mówić „panie prezesie"

– Jeśli ktoś jest życiowym pesymistą, to będzie nim również w sporcie. Ale z pomocą psychologów można wyzbyć się negatywnego myślenia.

Czytałam, że nawet gdy pan wygrywał, katował się myślą, że mógł skoczyć lepiej. Czy potrafił pan w ogóle cieszyć się z sukcesów?
– Pewnie, że potrafiłem. Mam nawet taką dewizę, że po osiągniętym sukcesie kupuję sobie jakąś nagrodę, by w ten sposób docenić to, co zrobiłem.

Paraliżowała pana konieczność bycia najlepszym?
– Nigdy nie myślałem o tym, że jestem najlepszy, osiągnąłem już wszystko, mam złoty medal i mistrzostwo świata, więc wystarczy. Raczej odcinałem poprzedni sezon grubą kreską i zaczynałem kolejny jakby od zera.

Co to daje?
– Nie osiada się na laurach, tylko z uporem pracuje.

Nie zapytałam pana o oczywistość. O co właściwie chodziło panu w tym skakaniu? O doraźny sukces czy o dążenie do mistrzostwa na miarę swyh możliwości.
– W sporcie zawodowym każdemu chodzi o sukces.

Przyszedł mi do głowy Eddie Edwards, brytyjski zawodnik z wadą wzroku i dziesięciokilogramową nadwagą, który uparł się, że będzie skakał, i rzeczywiście dopiął swego. Nie zrażał się, że zajmował ostatnie miejsca i zdaniem komentatorów „lądował jak kaczka". Kibice go uwielbiali i gdy pojawiał się na rozbiegu, trybuny ogarniała euforia. Czasem oglądam jego skoki na YouTubie i udziela mi się jego radość.
– Miał przydomek „Eagle", czyli „orzeł". Rywalizował sam ze sobą i odnosił sukcesy na miarę swoich możliwości. Zapisał się jednak w historii, bo był pierwszym reprezentantem Wielkiej Brytanii w skokach na igrzyskach olimpijskich w 1988 roku. Ważne jest, by to, co robisz, sprawiało ci przyjemność i on tę przyjemność odnalazł.

Czy w zawodowej rutynie jest jeszcze miejsce na zachwyt?
– Wie pani, kiedy szybuje się w powietrzu 200 m przez pięć-sześć sekund, to można się czuć jak ptak. I to jest wspaniałe uczucie – też trudne do opisania.

Był pan skoczkiem, rajdowcem, teraz pracuje pan w Polskim Związku Narciarskim. Ma pan na siebie pomysł za kolejne dziesięć lat?
– Nie wywodzę się z bogatej rodziny i jestem ostrożny w wydawaniu pieniędzy, dlatego chciałbym po prostu pracować, by nie biedować i utrzymać w miarę możliwości swój dotychczasowy status. Ważne jest dla mnie, by to, co będę robił, sprawiało mi przyjemność.

Nie miał pan nigdy ochoty rzucić roboty i żyć z tego, co pan zarobił i w co zainwestował?
– Nie, bo ja uważam, że lepiej smakować życie małą łyżeczką, niż zjeść wszystko na raz. ●

Adam Małysz

• (3 grudnia skonczył 47 lat) – wybitny polski sportowiec. Jako skoczek narciarski czterokrotnie zdobył tytuł mistrza świata, czterokrotnie sięgnął po medal olimpijski i tyleż razy po puchar świata. Triumfował w Turnieju Czterech Skoczni i w Turnieju Nordyckim. Wielokrotny mistrz Polski. Po zakończeniu kariery narciarskiej w 2011 roku, został kierowcą rajdowym (pięciokrotny uczestnik rajdów Dakar). Od dwóch lat jest prezesem Polskiego Związku Narciarskiego

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Naprzód, bo szum morza słychać

Według hasła kampanii Rafała Trzaskowskiego, naprzód powinna ruszyć cała Polska. Ci, którzy nie chcą lub nie mogą znaleźć miejsca w tym pałającym optymizmem truchcie, mogą czuć się wykluczeni i sfrustrowani.

Michał Rusinek

Na niedawnej konwencji Rafała Trzaskowskiego w Gliwicach przedstawiono hasło kampanii tego kandydata na prezydenta: „Cała Polska naprzód!". Spełnia ono oczekiwania, jakie stawia się hasłom tego typu, bo brzmi pozytywnie, pełne energii i optymizmu, jest zgrabne i wpada w ucho. Wsłuchajmy się w to, co tak naprawdę razem z nim wpada.

●

Po pierwsze, szum morza. Kojarzy się bowiem z kapitańską komendą „cała naprzód!', oznaczającą, że maszyny na statku czy okręcie mają pracować z maksymalną mocą. Komendę tę miał podobno wprowadzić do języka nautycznego, amerykański admirał David Farragut podczas wojny w zatoce Mobile (w roku 1864), w czasie wojny secesyjnej, mówiąc: „Damn the torpedoes... Full speed ahead!", czyli „Do diabła z torpedami... Cała naprzód!". Ponieważ bitwa ta zakończyła się zwycięstwem Unii, więc można uznać, że posłużenie się sformułowaniem „cała naprzód!" niesie – historycznie rzecz biorąc – pozytywne skojarzenia i optymizm (choć ignorowanie zagrożenia ze strony torped może lekko niepokoić).

Natomiast rozumiane ahistorycznie powoduje, że postrzegamy kampanię wyborczą, a może i samą prezydenturę Rafała Trzaskowskiego, jako nawigowanie statkiem. Tego typu metaforyka jest głęboko zakorzeniona w naszej kulturze za sprawą kazań ks. Piotra Skargi i jego alegorycznego przedstawiania ojczyzny jako okrętu: „Ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy dla bezpieczności jego wszystkim, co w domu jest, nie pogardzamy: zatonie, i z nim my sami poginiemy" – pisze Skarga w „Kazaniu wtórym o miłości ku ojczyźnie". Trzaskowski, jako prezydent, jawi się jako ktoś, kto zadba o to, by okręt nie tylko nie zatonął, ale i płynął z pełną mocą.

*

Po drugie jednak, polska wersja rzeczonej komendy, w przeciwieństwie do angielskiej, ma charakter eliptyczny: „cała (moc) naprzód". Elipsa to figura polegająca na usunięciu jakiegoś słowa lub fragmentu zdania, zwykle domyślnego. Puste miejsce po takim usunięciu kusi, żeby coś w nie wstawić. Autorów kampanijnego hasła skusiło skutecznie, bo na miejsce domyślnej mocy – wstawili Polskę. Oznacza to, że traktują oni metaforycznie Polskę nie jako obszar rozumiany geograficznie i nie jako zbiór mieszkańców tego obszaru, ale jako swego rodzaju siłę czy napęd. Istotnie, to wyborczynie i wyborcy są siłą, która powoduje, że ktoś zostaje prezydentem, ale przecież nie jest to celem samym w sobie. Jest raczej celem pośrednim, ale koniecznym, byśmy mogli płynąć naprzód. Z rozsądnym kapitanem na mostku.

●

Po trzecie, naprzód – czyli gdzie? To wydaje się bez znaczenia. Ważne, że nie będziemy płynąć wstecz, bo to się zawsze źle kojarzy, nawet jeśli czasami jest konieczne. „Wszystko, co ludzkie, musi się cofać, jeśli nie posuwa się naprzód" – pisał Edward Gibbon w słynnym dziele „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego" z 1776 roku. Podobnie uważał Matthias Claudius, poeta niemiecki, mawiając: „Kto naprzód nie idzie, ten się cofa" (1799). A jeśli jesteśmy przy poetach, to szczególnie ulubił sobie ten kierunek Adam Asnyk pisząc: „Trzeba naprzód iść i świecić" („Słonko", 1872) oraz „Trzeba z żywymi naprzód iść,/ po życie sięgać nowe,/ a nie w uwiędłych laurów liść/ z uporem stroić głowę" („Daremne żale", 1880). Przeszłości ołtarzy niszczyć nie powinniśmy, ale żeby się rozwijać – musimy iść naprzód. W dodatku „Prawda idzie naprzód, nic nie może jej zatrzymać", jak brzmiał tytuł artykułu Emile'a Zoli, opublikowany w „Le Figaro" w 1897 roku.

Nie zapominajmy o kontekście wojskowym, a nawet bitewnym: „Naprzód, wiara!/ Iść przytomnie,/ tylko wara/ płakać po mnie" – pisał Ludwik Kondratowicz („Stary kapral", 1859), no i wspomnijmy słowa „Warszawianki 1905": „Naprzód, Warszawo!/ Na walkę krwawą,/ świętą a prawą!/ Marsz, marsz, Warszawo!" (Wacław Święcicki, 1879).

Kierunek „naprzód" był szczególnie popularny wśród autorów rewolucyjnych i socjalistycznych: „Czasie, naprzód!" – pisał Majakowski („Łaźnia", 1930). Pamiętamy także słowa „Pieśni pokoju", oficjalnego hymnu Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej z 1947 roku, autorstwa Lwa Oszanina w przekładzie Krzysztofa Gruszczyńskiego: „Naprzód, młodzieży świata". „Naprzód, o ludu, do wyzwolenia", czyli: „Avanti popolo, alla riscosa" – brzmią słowa pieśni ludu robotniczego „Bandiera rossa" z 1908 roku.

Skoro już jesteśmy w Italii, to nie sposób nie wspomnieć okrzyku kibiców: „Naprzód, Włochy!", czyli „Forza, Italia!", który od 1994 roku stanowi nazwę partii Silvia Berlusconiego. Niezbyt fortunne skojarzenie dla Platformy Obywatelskiej. No ale jedno z wielu, także szczęśliwszych, jak widać.

●

Po czwarte, zdaniem autorów hasła, naprzód powinna ruszyć „cała Polska". Z haseł reklamowych i nazw instytucji wiemy przecież, że cała Polska czyta dzieciom, cała Polska dzisiaj śpiewa, cała Polska gra w planszówki oraz cała Polska biega. Posłużenie się tym wielkim kwantyfikatorem ma za zadanie skłonić nas do jakiejś aktywności: wszyscy powinniśmy robić to, co robi „cała Polska". Nie robienie tego czegoś grozi wykluczeniem ze wspólnoty, którą, posługując się wielkim kwantyfikatorem, definiujemy.

To jest zabieg niebezpieczny, charakteryzujący zresztą dyskurs liberalny, w którym liczy się sukces i postęp (czyli ruch naprzód).

Ci, którzy nie chcą lub nie mogą znaleźć miejsca w tym pałającym optymizmem truchcie, mogą czuć się wykluczeni i sfrustrowani. I poprzeć kogoś, kto zwróci na nich uwagę i włączy ich do swojej narracji. Tak już przecież kiedyś było, całkiem niedawno.

●

Szum morza, jaki słychać w haśle Rafała Trzaskowskiego przypomina nam także „Maraton Sopot-Puck" z piosenki Wojciecha Młynarskiego. Owszem, w zeszłym roku cudem udało się uratować łajbę – „trzeba jej przyznać, że, cholera, jest wywrotna", a dno, jak się okazało, miała „pokryte polipami". „Nowe kierownictwo cieszy się bezbrzeżnie,/ że się tę łajbę obróciło jeszcze raz" i dąży teraz do obsadzenia nowego kapitana. Przyklaskujemy temu dążeniu, ale też będziemy się bacznie przyglądać kampanii: „Bądźcie spokojni my z was nie spuszczamy oka,/ choć sól się wżera i do oka i do płuc./ Fala jest zawsze porywista i wysoka/ na słynnej mokrej męskiej trasie Sopot-Puck". ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34353188

WE WTOREK, 24 GRUDNIA

SPECJALNE WYDANIE „WYBORCZEJ"

LICZBA STRON
32

JAN PESZEK: Porażki? Było ich sporo. Ja je lubię, stawiają mnie na baczność

MITJA OKORN, reżyser „Listów do M": Chciałem zmieniać świat, ale jak to zrobić bez kasy?

NAPIĘCIE HUBBLE'A: Nadchodzi burza, która wstrząśnie podstawami astrofizyki

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

POLITYKA KRAJ

KASA I TAK POPŁY

Dominika Wielowieyska

Plątanina prawna wokół pieniędzy budżetowych dla PiS pokazuje skalę dewastacji, która dotknęła wymiar sprawiedliwości. Ale to także okazja, by przyjrzeć się ostatecznej kompromitacji kilku neosędziów zasiadających w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. I zobaczyć, jak potężna choroba zaatakowała Sąd Najwyższy za sprawą nominatów PiS i prezydenta Andrzeja Dudy.

Nad PiS zawisła groźba utraty 75 mln zł subwencji budżetowej wypłacanej w ciągu trzech lat. Do tego partia Jarosława Kaczyńskiego dostała zmniejszoną dotację w ramach zwrotu za kampanię wyborczą. Politycy PiS oburzają się, że to niszczenie demokracji i prawie zamach stanu, bo największa formacja opozycyjna została pozbawiona pieniędzy, i to przed wyborami prezydenckimi.

Złośliwie można powiedzieć: przecież w wyborach nie startuje żaden kandydat PiS, więc o co chodzi? W końcu szef IPN Karol Nawrocki jest ponoć kandydatem obywatelskim, więc niech obywatele go wspierają, także finansowo. Zostawmy jednak propagandowe krętactwa Nowogrodzkiej na boku.

Koń, jaki był, każdy widział: przed wyborami 15 października 2023 r. PiS wykorzystywał instytucje państwa i finanse publiczne do prowadzenia partyjnej kampanii wyborczej. To sprzeczne z prawem, bo komitet wyborczy nie może korzystać z tego typu wsparcia, nie może przyjmować korzyści niematerialnych w postaci agitacji wyborczej i nie uwzględniać tego w sprawozdaniu finansowym.

Państwowa Komisja Wyborcza otrzymała mnóstwo doniesień w sprawie agitacji na rzecz partii Kaczyńskiego, które były finansowane poza komitetem wyborczym. Dlatego w sierpniu odrzuciła sprawozdanie finansowe komitetu PiS, jakiś czas później odrzuciła też sprawozdanie partii PiS, bo to w zasadzie swego rodzaju automat: jeśli odpada sprawozdanie komitetu, to odpada też sprawozdanie partii. A to oznacza utratę 75 mln zł subwencji. Na razie PiS nie został całkowicie odcięty od finansowania: dwie transze kwartalne subwencji dostał, dostał też częściowy zwrot za kampanię.

PiS od decyzji odwołał się do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. To Izba, którą ta partia do spółki z prezydentem Dudą stworzyła w jednym celu; ma chronić ludzi PiS przed odpowiedzialnością za łamanie prawa. I jak do tej pory wywiązuje się z tego wzorowo.

Tymczasem z wyroków i uzasadnień Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, a także z uchwały połączonych trzech izb Sądu Najwyższego z 2020 r. wynika, że Izba Kontroli sądem nie jest, a jej decyzje nie istnieją w porządku prawnym. Do tego worka dowodów na nielegalność Izby dorzućmy i to, że sąd administracyjny nakazał wstrzymanie konkursu na członka tej Izby.

PiS tego wszystkiego nie uznaje. Natomiast dwóch neosędziów z tej Izby te wyroki uznało, i wycofało się z orzekania. Za co prezes SN Małgorzata Manowska chciała ich ścigać dyscyplinarnie. Jeszcze na początku istnienia tej Izby można było mieć złudzenia, że znajdzie się tam więcej niż dwóch przyzwoitych członków. Teraz można je odłożyć na półkę. Izba uznała skargę PiS i zakwestionowała decyzję PKW.

●

Przyjrzyjmy się najpierw siódemce członków Izby, którzy tę decyzję podjęli. Obóz PiS dobrał ich w przemyślany sposób. I tak w składzie byli: prezeska Izby Joanna Lemańska, Tomasz Demendecki, Marek Dobrowolski, Oktawian Nawrot, Grzegorz Pastuszko, Mirosław Sadowski i Krzysztof Wiak. To wszystko neosędziowie powołani w wadliwej procedurze przed neoKRS.

• **Joanna Lemańska** to bliska koleżanka prezydenta Dudy, byli doktorantami na tej samej katedrze prawa UJ. Lemańska – według Onetu – spędzała urlopy czy święta w prezydenckich rezydencjach w różnych częściach Polski.

• **Tomasz Demendecki** jest z frakcji Łukasza Piebiaka, byłego wiceministra sprawiedliwości u Zbigniewa Ziobry, bohatera afery hejterskiej.

Ludzie PiS zorganizowali akcję niszczenia i szkalowania sędziów krytycznych wobec destrukcyjnych zmian w wymiarze sprawiedliwości. Używano do tego informacji z życia prywatnego sędziów, pozyskanych służbowo. Demendecki był z Piebiakiem na tym samym roku studiów na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Był też delegowany przez Piebiaka do Rady Programowej Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury oraz do różnych zawodowych komisji egzaminacyjnych. A gdy w 2022 r. Piebiak zapragnął się doktoryzować, jego promotorem został właśnie Demendecki.

• **Oktawian Nawrot** – za ostatnich rządów PiS zasiadał w rozmaitych gremiach związanych z rządem, np. w zespole do spraw ochrony praw człowieka w kontekście rozwoju nauk biologicznych i medycznych, działającym przy ministrze nauki. W tych samych latach zasiadał także w Radzie Narodowego Centrum Nauki.

• **Marek Dobrowolski** – był w składzie, który ochraniał Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, skazanych przez sąd za nadużycia władzy. Chodziło o spór, czy mandaty tych polityków PiS wygasły, gdyż zostali prawomocnie skazani. Prezydent twierdził, że skutecznie ich ułaskawił przed prawomocnym wyrokiem, a sąd powszechny stwierdził, że nie, a następnie skazał ich na więzienie. Ostatecznie Andrzej Duda niejako przyznał się do błędu, ponownie ułaskawiając obu panów.

Dobrowolski był też członkiem Rady Legislacyjnej przy premierze Mateuszu Morawieckim i zasiadał w zespole do spraw referendum konstytucyjnego, które chciał przeprowadzić prezydent Duda. Z tych powodów chciał się wyłączyć z orzekania, ale koledzy z Izby mu nie pozwolili.

• **Mirosław Sadowski**. Onet zwraca uwagę, że Sadowski uczestniczył – wspólnie z Oktawianem Nawrotem – w wydaniu wyroku z 2020 r., kiedy to SN oddalił cztery tysiące skarg obywateli po wyborach prezydenckich. Skargi dotyczyły kłamstw i manipulacji TVP oraz nierównego traktowania kandydatów przez telewizję publiczną. Ale Nawrot i Sadowski z Izby Kontroli Nadzwyczajnej uznali, że nic takie nie miało miejsca w tej kampanii.

• **Krzysztof Wiak** to kolega Marka Dobrowolskiego i Przemysława Czarnka z czasów, gdy ów wykładał w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Był także członkiem rady naukowej Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris i konsultantem rady naukowej Konferencji Episkopatu Polski.

• **Grzegorz Pastuszko** – to głośna postać. W 2021 r. Elżbieta Witek zarządziła reasumpcję głosowania po tym, jak PiS je przegrało. Reasumpcja była jawną hucpą, więc wybuchła awantura, ale wtedy marszałkini pokazała opinię Pastuszki, że wszystko było w porządku. Według WirtualnejPolski Pastuszko był też wcześniej w zarządzie Polski Razem – dawnej partii Jarosława Gowina. A także w radzie naukowej jednego z instytutów nadzorowanych przez Zbigniewa Ziobrę.

●

A co takiego ten dream team orzekł? Ewenement na skalę światową. Otóż podstawowy argument neosędziów był taki, że „równość szans" w wyborach nie pozwala na zabranie subwencji PiS-owi. A przypadki łamania prawa Izba zignorowała.

Pytanie, dlaczego w takim razie zabrano subwencję PSL, Nowoczesnej i Razem? Lider ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz szacował, że w sumie jego partia straciła 50 mln zł i jeszcze musiała zapłacić karę 20 mln zł. Nowoczesna straciła 18 mln zł. A Sąd Najwyższy był nieugięty i nic nie mówił o „równości szans".

Dodajmy, że przewinienia tych partii były o wiele mniejszego kalibru niż te PiS, a z punktu widzenia wyborcy mniej karygodne – w 2001 r. ludowcy użyli w kampanii pieniędzy od osób fizycznych, a zgodnie z prawem środki na kampanię muszą pochodzić z funduszu wyborczego partii, do tego część kampanijnych środków zaksięgowali już po wyborach. W Nowoczesnej w 2015 r. przez pomyłkę kredyt na kampanię przelano z konta partii na konto komitetu, pomijając konto funduszu wyborczego, choć PKW

eprasa.pl 7f7b52c9e4

NIE

Cienką strużką, ale kilka milionów przed wyborami się uzbiera

wykazała też inne nieprawidłowości, na przykład, że partia Ryszarda Petru przyjmowała wpłaty od osób niezamieszkujących na terenie Polski.

Przypomnijmy, co PKW zarzuciła komitetowi wyborczemu PiS: * pikniki wojskowe finansowane przez MON, na których Jarosław Kaczyński agitował na rzecz swojej partii; * wykorzystywanie pracowników centrum legislacji rządu w kampanii; * spot promujący Zbigniewa Ziobrę sfinansowany przez resort sprawiedliwości; * impreza kampanijna Jadwigi Emilewicz.

PKW nie wzięła pod uwagę takich wydarzeń, jak pikniki 800+ oraz wydatki z Funduszu Sprawiedliwości dla instytucji, samorządów i lokalnych organizacji z tych miejsc, z których kandydowali przedstawiciele Zjednoczonej Prawicy, zwłaszcza ziobryści. Członkowie Komisji byli bardzo ostrożni, bo na zdrowy rozum instytucje rządowe brały udział w agitacji wyborczej na o wiele szerszą skalę.

Obrońcy PiS podnoszą, że jeśli Nowogrodzkiej zabrano pieniądze, to tak samo powinna je stracić Koalicja Obywatelska, bo w czasie kampanii wyborczej odbył się młodzieżowy Campus Polska Rafała Trzaskowskiego. I nie był ujęty w rozliczeniach komitetu KO. Jednak Campus nie został wzięty pod uwagę przez PKW, bo obowiązywał na nim zakaz agitacji wyborczej, o którym organizatorzy przypominali wielokrotnie, a poza tym występowali tam przedstawiciele różnych komitetów wyborczych.

Mimo to ekipa z Izby Kontroli uznała, że PiS nie wolno zabierać pieniędzy, bo przecież komitet wyborczy napisał, iż nie zlecał żadnych działań instytucjom rządowym. Innymi słowy, gdy Mariusz Błaszczak z Jarosławem Kaczyńskim wykorzystali do agitacji na rzecz PiS piknik wojskowy, finansowany przez MON, to biedny komitet po prostu nic o tym nie wiedział i nie zlecał.

W uzasadnieniu Izby czytamy: „Ponadto Pełnomocnik Finansowy wskazał, że jego zdaniem, KW PiS jest pokrzywdzonym w sprawach, w których osoby trzecie bez zgody, wiedzy i akceptacji KW podejmują wątpliwe działania na własną rękę”. Można umrzeć ze śmiechu: Błaszczak i Kaczyński skrzywdzili komitet PiS.

Poczytajmy jeszcze inne wynurzenia Izby Kontroli:

„Sąd Najwyższy nie może wykluczyć, że koszty wytworzenia ww. materiałów mogłyby zostać zaliczone jako niedozwolone korzyści majątkowe o charakterze niepieniężnym przyjęte przez Komitet z naruszeniem art. 132 § 5 k.wyb., jeśli PKW przeprowadziłaby weryfikację zebranego materiału dowodowego, a przede wszystkim wykazałaby (ewentualnie uprawdopodobniła) przyjęcie przez Komitet wyborczy korzyści w takiej formie. Brak jakichkolwiek ustaleń PKW w tym zakresie uniemożliwia jednak jakąkolwiek ocenę sposobu kwalifikacji ww. wydatków na rzecz Komitetu wyborczego. PKW zarzuca prowadzenie agitacji wyborczej podczas dwóch pikników wojskowych, w żaden jednak sposób nie wskazuje, na czym ta agitacja miałaby polegać, ani kto ją prowadził. Przykładowo PKW nie wskazała, dlaczego te wypowiedzi zostały uznane za agitację wyborczą. Z uzasadnienia uchwały nie wynika, kto wygłosił przemówienie, nie ma żadnej argumentacji na temat tego, co mówił i dlaczego wypowiedź ta miała charakter agitacyjno – wyborczy”.

Tymczasem PKW napisała skrótowe uzasadnienie, a następnie na prośbę Sądu Najwyższego wysłała kilka pudeł z dokumentami, w tym nagrania z pikników wojskowych, na których centralnym wydarzeniem było wystąpienie Kaczyńskiego. W Uniejowie prezes PiS wychwalał swoją partię, że „tylko jego formacja polityczna jest uczciwa i gwarantuje w Polsce równość”. Następnie krytykował Donalda Tuska, nazywając go „personifikacją zła w naszym kraju”. Było też sporo o „ubekach i ciemnym elemencie”. Na koniec wezwał do głosowania na PiS.

Te treści nie miały żadnego związku z zachęcaniem Polaków do służby wojskowej, co miało być celem pikników. Przyciągano ludzi na wiec wyborczy, kusząc pokazem sprzętu wojskowego. Ale Izba Kontroli nie dostrzegła skandalu, jakim jest wykorzystywanie wojska w kampanii wyborczej.

Ekipa Joanny Lemańskiej napisała też w uzasadnieniu:

„Całość argumentacji zaskarżonej uchwały w zakresie ustalenia odpowiedzialności Komitetu, sprowadza się do ogólnikowego uznania, że Komitet »jest powiązany ścisłymi związkami personalnymi z organami władzy wykonawczej działającymi w okresie kampanii wyborczej. Zdaniem PKW, związki te są tak ścisłe, że niewyobrażalny jest brak wiedzy władz partii politycznej Prawo i Sprawiedliwość o działaniach tych organów«. Tym samym PKW konstruuje domniemanie faktyczne co najmniej dorozumianej zgody Komitetu i przerzuca ciężar dowodowy na jego pełnomocnika finansowego, co w istocie czyni niemożliwym wykazanie przez niego twierdzenia przeciwnego”.

• Sierpień 2023, dwa miesiące przed wyborami, Jarosław Kaczyński na pikniku wojskowym w Uniejowie
FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Piątka członków PKW liczy, że Manowska nie będzie chciała destabilizacji procesu wyborczego.

Mogą się przeliczyć

•

To niewiarygodna hucpa. Bo dwa lata wcześniej PKW, składająca się z nominatów PiS, odrzuciła sprawozdanie Polski 2050. Partia Szymona Hołowni dopiero rozpoczynała działalność i w rubryce „wydatki” wpisała „0”. PKW się to nie spodobało, bo stwierdziła, że lider i jego koledzy byli promowani politycznie przez inne instytucje, takie jak np. Instytut Strategie 2050. Tym samym partia przyjęła korzyści niematerialne, których nie uwzględniła w sprawozdaniu. PKW więc je odrzuciła.

Nie pomogły tłumaczenia PL2050, że dopiero zaczęła działalność, więc nie mogła jeszcze nic w tym sprawozdaniu uwzględnić. Hołownia odwołał się od decyzji PKW do Sądu Najwyższego. Sprawa oczywiście trafiła do Izby Kontroli. I Izba zgodziła się z PKW, a to, co napisała wówczas w uzasadnieniu, to prawdziwy hit w kontekście tego, co ta sama Izba twierdzi dziś.

Otóż w sprawie Polski 2050 orzekła, że działanie Instytutu Strategie 2050 i Stowarzyszenia Polska 2050 polega na promowaniu partii. „Czynnikiem wzmacniającym wzajemne zależności i przekładającym się na odbiór wskazanych podmiotów w związku z działaniami wspólnie podejmowanymi, były ponadto szerokie związki personalne zachodzące pomiędzy nimi”. I wszystko jasne. Gdy chodzi o Polskę 2050, związki personalne się liczą, ale jeśli chodzi o PiS – to już nie. Między komitetem PiS a Kaczyńskim i Błaszczakiem jest mur nie do pokonania.

Decyzja Izby powędrowała do PKW, która musiała zdecydować, czy ją uznaje. Sprawa jest ciężka i była obiektem gorącej dyskusji. W Komisji zasiada czterech członków powołanych w poprzedniej kadencji Sejmu i pięciu powołanych w tej. Większość przegłosowała odroczenie decyzji do momentu, w którym problem Izby Kontroli zostanie rozwiązany przez parlament. Czwórka powołana jeszcze zarządów PiS na czele z szefem Komisji Sylwestrem Marciniakiem chciała uznania decyzji Izby Kontroli. Piątka członków chciała odroczenia.

•

Jarosław Kaczyński kipi z oburzenia i twierdzi, że skład PKW jest nielegalny, bo Lewica nie powinna mieć prawa zgłaszania swojego kandydata. Tyle tylko, że ten skład powołał prezydent Duda, więc na lamenty jest trochę za późno. No i PiS sam tak zmienił prawo za swoich rządów, by członków PKW wybierał parlament – wcześniej byli to sędziowie różnych sądów. Tak więc Kaczyński może mieć pretensję do sa-

eprasa.pl 7f7b52c9e4

mego siebie. Ale decyzja PKW o odroczeniu nie wywołała entuzjazmu nie tylko w PiS. Bardzo zła jest Polska 2050 i marszałek Sejmu Szymon Hołownia. Dlaczego?

Bo spodziewał się, że PKW nie uchyli się od decyzji, tylko wprost powie, że Izba Kontroli nie jest sądem, a jej orzeczenia nie istnieją. On sam jako marszałek tak właśnie uznał, bo nie uwzględnił decyzji Izby w sprawie mandatu poselskiego Mariusza Kamińskiego. I stwierdził, że mandat – wbrew stanowisku Izby – wygasł.

Hołownia liczył, że PKW potwierdzi jego stanowisko. Zgnębiony marszałek ogłosił więc, że coś z tym fantem trzeba zrobić i może w takim razie uchwalić, że uchwałę o ważności wyborów prezydenckich podejmie cały Sąd Najwyższy. Ale to też bez sensu, bo sędziowie SN nie chcą orzekać z neosędziami, więc dlaczego mieliby to robić w przypadku ważności wyborów? Nieoficjalnie mówią, że propozycja marszałka to strzał kulą w płot.

– Wydaje mi się, że jest to cenny pomysł, aby incydentalnie zrobić taką ustawę – powiedział tymczasem w środę premier Donald Tusk o pomyśle Hołowni. – Mam nadzieję, że pan marszałek przekona do niej prezydenta – dodał. Ale w duchu pomyślał zapewne, że przekonanie Dudy do czegokolwiek graniczy z cudem, więc cała inicjatywa umrze śmiercią naturalną. Póki co Rada Ministrów przyjęła uchwałę, że rozstrzygnięcia neosędziów SN będą opatrywane adnotacją, że wyroki międzynarodowych trybunałów nie pozwalają na uznanie ich za sąd.

Ta uchwała obowiązuje tylko Rządowe Centrum Legislacji, które odpowiada za publikację dzienników urzędowych. A jeśli chodzi o twórczość Sądu Najwyższego, to w Dzienniku Ustaw drukuje się tylko uchwały SN dotyczące ważności ogólnopolskich wyborów. Te wydaje Izba Kontroli, która w 2025 r. będzie orzekać o ważności wyborów prezydenckich. I pewnie rządowi chodzi właśnie o tę uchwałę.

Ale, tak czy owak, problem pozostaje nierozwiązany. Kalkulacja członków PKW, którzy uznali, że sprawę trzeba odroczyć, jest następująca: nie mamy kompetencji, by orzec, że Izba Kontroli jest nielegalna. Poza tym PiS podnosi, że już raz PKW uznała decyzję Izby Kontroli – w sprawie odwołania Konfederacji.

Tak naprawdę w przypadku Konfederacji rozkład głosów wyglądał tak: sędzia Marciniak i trzech członków było za uznaniem decyzji Izby Kontroli, Ryszard Kalisz głosował przeciw, natomiast czterech członków wybranych przez Sejm tej kadencji wstrzymało się od głosu. Trudno więc uznać, że potwierdzili legalność Izby Kontroli.

A teraz z ostrożności podnosili, że Izba Kontroli bierze udział w procesie wyborczym i np. jeżeli PKW nie zarejestruje komitetu wyborczego, to ów ma prawo odwołać się do Sądu Najwyższego – i wtedy sprawa ląduje w Izbie Kontroli. A wybory prezydenckie za pasem. Nie byłoby dobrze, gdyby jakiś komitet nie został zarejestrowany z powodu tego całego zamieszania z neosędziami, takie sprawy muszą być rozstrzygane jak najszybciej, więc lepiej odroczyć sprawę.

I w chwili, gdy pojawi się problem z rejestracją jakiegoś komitetu, PKW zaapeluje do prezes SN Małgorzaty Manowskiej, aby dla dobra sprawy czasowo oddelegowała do Izby Kontroli sędziów, których status nie budzi żadnych wątpliwości i ich decyzja zostanie natychmiast przez PKW wykonana.

Piątka członków PKW liczy, że Manowska nie będzie chciała destabilizacji procesu wyborczego. Mogą się przeliczyć. Był czas, kiedy Manowska i zaprzyjaźniony z nią Andrzej Duda myśleli o jakimś kompromisie w środowisku sędziowskim, ale pod koniec rządów PiS porzucili te plany. Duda zablokował zmiany w SN, o które zabiegał Morawiecki, chcąc odblokować Krajowy Plan Odbudowy. Dziś i Duda, i Manowska grają w drużynie PiS, jeśli chodzi o wymiar sprawiedliwości. Duda odrzucił kompromis proponowany przez ministra sprawiedliwości Adama Bodnara w sprawie resetu Krajowej Rady Sądownictwa.

PKW zapewne będzie musiała sobie radzić bez pomocy Manowskiej. Która, jak się mówi, ma być do końca po stronie PiS w tym sporze – ale gdy Kaczyński przegra wybory prezydenckie, to podobno rozważa ustąpienie ze stanowiska pierwszej prezes. Bo jest zmęczona toczoną od kilku lat batalią.

Zwolennicy PiS podnoszą, że nie wolno uznawać Izby Kontroli za nielegalną, bo nie będzie komu orzec o ważności wyborów prezydenckich. W koalicji rządzącej pojawił się nawet pomysł jakiejś nowelizacji ustawy o SN w porozumieniu z prezydentem, bo w kodeksie wyborczym trochę inaczej jest traktowana ważność wyborów parlamentarnych, a trochę inaczej prezydenckich. Jednak prawnicy z którymi rozmawiałam, upierają się, że i w jednym, i w drugim przypadku domniemanie ważności wyborów obowiązuje. To, że w kodeksie są różnice w podejściu do tematu, niczego nie zmienia, bo kluczowa w tej sprawie jest konstytucja, a ona traktuje wszystkie wybory tak samo.

Tak o tej sprawie pisał sędzia SN prof. Włodzimierz Wróbel:

„Podobnie jak w przypadku wyborów do Sejmu i Senatu, tak w przypadku wyborów Prezydenta, Konstytucja RP zastrzega, że ich ważność »stwierdza Sąd Najwyższy« (art. 101 Konstytucji RP oraz art. 129 Konstytucji RP), a nie jakikolwiek organ pozasądowy. Orzeczenia te mają charakter deklaratoryjny, a brak ich wydania w określonym przez ustawę terminie nie przeszkadza w objęciu urzędu przez nowo wybranego Prezydenta, czy też posła lub senatora. Dopiero ewentualne stwierdzenie przez Sąd Najwyższy nieważności wyboru, powoduje konieczność przeprowadzenia nowych wyborów. Ale kompetencje do podjęcia takiej decyzji ma Sąd Najwyższy, a nie jakikolwiek inny organ quasi sądowy, w tym Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych".

Nie wolno uznawać Izby Kontroli za nielegalną, bo nie będzie komu orzec o ważności wyborów prezydenckich?

Osobne zamieszanie dotyczy tego, czy ministerstwo finansów ma teraz cokolwiek wypłacać PiS, skoro sprawa nie jest zamknięta prawomocnie. Sędzia Marciniak twierdzi, że minister finansów Andrzej Domański powinien wypłacać wszystkie należne subwencje bez potrąceń, bo ostatecznego rozstrzygnięcia nie ma. A minister mówi, że on ma sierpniową uchwałę o odrzuceniu sprawozdania komitetu wyborczego PiS i ta uchwała mówi, że subwencję trzeba zmniejszyć o określoną sumę.

Minister opiera się na tym, co dostanie z PKW. Więc na razie wypłaca kwartalnie raty pomniejszone w związku sierpniowa decyzją Komisji, ale nie realizuje tej decyzji PKW, która oznaczałaby, że PiS straci całą subwencję przez trzy lata, bo takiego pisma z PKW nie otrzymał.

Póki co w styczniu ministerstwo przeleje partii za ostatni kwartał tego roku około 2 mln zł. Na pytanie, dlaczego nie realizuje pełnych wypłat, jak sugeruje to sędzia Marciniak, Domański odpowiedział w TVN24, że postępuje tak, jak rząd PiS postępował w sprawie Nowoczesnej.

Jedno jest pewne: kolejne transze subwencji dla PiS są nadal zagrożone, ale jakiś strumyk pieniędzy popłynął w tym roku i popłynie na Nowogrodzką w najbliższych kwartałach. Przed wyborami prezydenckimi może to być kilka milionów złotych. I ten stan utrzyma się do czasu, gdy problem Izby Kontroli rozwiąże parlament i nowy prezydent.

Wszyscy kiedyś staniemy się opowieścią

Jakże często po rozstaniu, rozwodzie, zranieniu, gdy ktoś, kogo za coś jednak dało się kochać, w naszej opowieści staje się bohaterem filmu grozy

Marcin Matczak

I znowu ten sam problem – coraz bliżej święta, a prezentów dla wszystkich człowiek jeszcze nie ma. I nawet nie chodzi o to, że czasu za mało, żeby kupić. Brakuje pomysłu na dobry prezent, bo wbrew obiegowej opinii, że jest źle, ludzie prawie wszystko mają. Co przyjdzie do głowy, to albo już było, albo niezdrowe, albo banalne.

Najgorzej z dziećmi. Nie jest żadnym przypadkiem, że w Świętego Mikołaja, dobrotliwego, uśmiechniętego staruszka, najmniej wierzą dorośli. Nie dlatego, że tacy cyniczni. Dlatego, że dawanie prezentów dzisiaj to ciężka robota, przy której człowiek tyle się napracuje i tyle doświadczy frustracji („nie taki chciałem!"), że nie ma ochoty być ani dobrotliwy, ani uśmiechnięty.

Z tej opresji wybawia nas dość prosty pomysł, by ludziom na święta dać w prezencie opowieść. Oczywiście i tu ryzykujemy oskarżeniem o skąpstwo, ale byłoby ono nieuzasadnione. Dobra opowieść wprawdzie nie ma przywieszki z ceną, ale mało jest rzeczy cenniejszych. Zwłaszcza jeśli nie jest to opowieść kupiona jak makowiec z supermarketu, zrobiona przez kogoś innego, ale nasza własna, samodzielnie przygotowana ze świeżych, lokalnych składników. Opowieść wypieczona specjalnie dla kogoś – świąteczna, a więc pokrzepiająca, z odrobiną lukru. Taka opowieść wigilijna, która nawet w trudnym do lubienia Ebenezerze Scrooge'u dostrzeże jakąś dobrą, wrażliwą stronę.

Bo akurat dobrych opowieści nam brakuje. Każda, jaką mamy, jest wyborem faktów, sytuacji i zachowań i od nas – opowiadaczy – ten wybór zależy. Poza świętami często tworzymy nasze opowieści ze składników marnych. Taka plotka, też przecież historia, skupia się na elementach wstydliwych – jakże chętnie ją opowiadamy.

Popularny narracyjny gatunek „żale i wyrzuty" jest jeszcze gorszy. To opowieść, do której wchodzą same elementy złe. Jakby nigdy nie wydarzyło się nic dobrego, co dla wyrafinowania i smaku można by do tej historii o kimś opowiedzianej dorzucić. Albo do tej opowiedzianej o sobie – tu też mamy więcej skłonności do tragedii niż komedii romantycznej czy bohaterskiego eposu. Zamiast tego biadolenia już lepiej byłoby przedstawić nasze życie jako żart albo dowcip – to też przecież historia, wprawdzie krótka, ale z dobrą puentą.

Chimamanda Ngozi Adichie, nigeryjska pisarka, w „Niebezpieczeństwie jednej historii" przestrzega, żeby nasza opowieść o innych i o sobie nie była jednostronna. Taka opowieść wyrządza krzywdę wielowymiarowości człowieka i dlatego nie nadaje się na dar. Jakże często dopuszczamy się tej krzywdy – po rozstaniu, rozwodzie, zranieniu, gdy ktoś, kogo za coś jednak dało się kochać, w naszej opowieści staje się bohaterem filmu grozy.

Albo w życiu publicznym, gdy ten inny: pisior, POpapraniec, katol czy lewak, nigdy nie są postaciami z krwi i kości, ale miernymi, czarno-białymi bohaterami filmu klasy B, który nie musi się nawet zaczynać, bo już po tytule wiadomo, jak się skończy. „Atak pomidorów zabójców" czy „Węże w samolocie" to przecież nie tylko tytuły fatalnych komedio-horrorów, ale i gotowe hasła na polskie strategie polityczne, i te antykomunistyczne, i te wyjaśniające katastrofy samolotowe za pomocą parówek.

Ale co z tymi dziećmi? Może dajmy im dobrą opowieść zamiast kuponu na kolejną skórkę (skin) z internetowej gry. Przy okazji: to jest dopiero słowo pokazujące różnice pokoleniowe: młodym kojarzy się z dobrą zabawą, nam raczej strasznie – z jakimiś łowcami skór.

Chłopcom opowiedzmy „Pinokia" – historię marionetki, która na przekór manipulatorom staje się prawdziwym, niezależnym, małym mężczyzną. Pochylmy się razem nad głupotą i mądrością bohatera – i nad Wyspą Przyjemności, na której dzieci zamieniają się w osły, i nad wyprawą po Gepetta zaginionego w brzuchu wieloryba. Nad destrukcyjnym wpływem tego, co miłe i słodkie, i nad transformującą siłą, która zaczyna działać, gdy przejmujemy inicjatywę i bierzemy odpowiedzialność za innych.

Dziewczynkom opowiedzmy „Śpiącą Królewnę" – historię późnego dziecka, nad którym rodzice tak się trzęsą, że chcą usunąć z jej życia wszelkie zło. Zapraszają do niego tylko dobre wróżki, chowają przed małą wszystko, czym mogłaby się skaleczyć. Ale zło, jak zawsze, znajduje jakoś swój dostęp. I wtedy Królewna zapada w sen. Czy jest on symbolem nieprawdziwego życia, komy, w jaką wpada każdy wychowany w namiocie nadopiekuńczości? Śpiączki egzystencjalnej, z której budzi nas dopiero realna relacja z innym człowiekiem, która sama w sobie jest niejednoznaczną historią, jak „Noce i dnie" czy „Przeminęło z wiatrem"?

A kiedy feministki słusznie nas zbeształają, że tymi historiami ociosujemy nasze dzieci, by lepiej pasowały do dżenderowych ról, opowiedzmy im zdekonstruowanego „Czerwonego kapturka". Niech w jego nowej wersji nie dziewczynka, ale chłopiec służy innym, idąc grzecznie do babci z koszyczkiem. Niech groźnym, drapieżnym stworzeniem jest czarna pantera, leśna femme fatale, a nie jakiś wilk. A wszystkich niech uratuje z opresji nie wąsaty myśliwy, ale wnikliwa ekolożka, taka, która ratowała Wrocław w „Wielkiej wodzie".

Jak mówią wielcy opowiadacze historii, wszyscy kiedyś staniemy się opowieścią. Mówią też, że przyszłość wchodzi w nas, aby się w nas przemienić, na długo, zanim się wydarzy. Dlatego trzeba być bardzo ostrożnym, jakie opowieści się sobie i innym opowiada, bo bardzo prawdopodobne jest, że tak, jak je opowiadamy, tak nam się ziszczą.

Z okazji Bożego Narodzenia życzę wam więc, drodzy Czytelnicy, aby życia waszego i waszych bliskich nikt nie zubażał opowieścią niegodną, bo jednostronną. Napiszcie, przeżyjcie wielkie epopeje albo spokojne filmy drogi, tak jak sobie życzycie. Nigdy horrory czy farsy

A w prezencie mam dla was dwa cytaty, historie krótkie, ale pełne treści. Jeden od Brené Brown: „Opowieści są po to, by poczuć, że nie jesteśmy sami". Drugi od Roberta Olena Butlera: „Opowieść to tęsknota, która napotyka przeszkodę".

Zatem – bycia razem, przezwyciężenia przeszkód i zaspokojenia tęsknot! Wesołych świąt!

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

NASI BRACIA

W DOBRYM BRACIE

Gdy tylko wyleczą rany, wracają na front. Nawet jeśli rodziny błagają, by zostali.

Tekst **Dawid Krawczyk**
Zdjęcia
Martyna Niećko / Agencja Wyborcza.pl

Snajper ranny! – głośny krzyk żołnierza przebił się między wybuchami i wystrzałami.

– Noga! Na dole! Chyba przebita na wylot! Drugi odłamek w pośladek. Trzeci w biodro – wyrzucił z siebie Włodek, kiedy zobaczył nad sobą twarz kolegi z oddziału. Pamięta, że zaatakował ich rosyjski czołg. I jeszcze uderzenie kolejnego pocisku. Wtedy stracił przytomność. Ocknął się, kiedy przenosili go do wozu, którym miał zostać ewakuowany.

– Leżałem tam na golasa, to znaczy w kurtce i spodniach, ale bez broni, amunicji i niczego, czym mógłbym się osłonić. Słyszałem, że pociski artylerii spadają coraz bliżej. Wtedy myślałem, że to koniec.

Włodek, 30-letni snajper, opowiada mi to na kanapie przy recepcji centrum rehabilitacyjno-rekreacyjnego Dobry Brat w Osieku, między Stargardem Gdańskim a Grudziądzem. Ukraińscy żołnierze naprawiają poranione ciała.

Za szybą światła latarni odbijają się od tafli jeziora Kałębie. Radyjko gra świąteczne szlagiery i z bombkami nad recepcją przypomina, że zbliża się Boże Narodzenie.

Od dwóch tygodni poranki Włodka są podobne. Budzi się po siódmej, ubiera klapki, spodenki i koszulkę moro. Schodzi do sali z drabinkami i sprzętem do ćwiczeń, gdzie czekają na niego fizjoterapeuci. Pracują głównie nad jego kolanem i bolesnym napięciem mięśni, zwłaszcza w okolicach szyi i kręgosłupa.

Włodek był ranny kilkukrotnie, ale nie tylko odłamki po ataku artyleryjskim czy ostrzale czołgowym zostawiły ślady na jego ciele.

– Zobacz, ten mięsień jest ciągle napięty. Podobnie szyja, plecy, brzuch – mówi i stuka palcem wskazującym o swoje udo. – Ludzie często myślą, że weteran po wojnie ma problem ze zdrowiem, bo został ranny. Pewnie, że masa ludzi została ranna, większość dostała odłamkiem, inni zostali postrzeleni, chociaż rany po kulach to rzadkość. Na wojnie tracisz zdrowie, bo dzień w dzień biegasz, skaczesz, kucasz z ogromnym obciążeniem – tłumaczy Włodek.

Kamizelka kuloodporna: 16 kg. Karabin: 5 kg. Naboje: 1000 sztuk po 20 gramów każdy, czyli 20 kg. – Z tego już się uzbiera ponad 40 kg, a dodaj do tego hełm, apteczki, granaty, to spokojnie dobijemy do 60 kg – wylicza z pamięci.

W ten sposób tłumaczy bolesne napięcie mięśni. Ból nie odpuszcza nawet we śnie. – Zajęło mi jakiś rok, żeby przyzwyczaić psychikę do tego, czym naprawdę jest wojna, ciało trudniej przyzwyczaić – mówi spokojnym tonem.

– W pracy z weteranami dużo czasu poświęcamy terapii wyciszającej, ponieważ ich organizm jest nieustannie nastawiony na wykrywanie zagrożeń – mówi Łukasz Sciepurka, fizjoterapeuta, który zajmuje się ciałami żołnierzy od 2014 roku.

Z pozoru rozmasowanie mięśni żołnierza nie różni się zbyt wiele od masażu seniora po urazie, ale to tylko pozory. – Dla przeciętnego człowieka, który odczuwa ból po 12 godzinach pracy przy biurku, ucisk nie jest bodźcem zagrażającym. Natomiast u żołnierzy nawet niewielkie ukłucie czy napięcie mięśni wywołuje natychmiastową reakcję obronną. Włącza się reakcja uciekaj albo walcz – mówi fizjoterapeuta i wraca do pracy nad nogą Włodka.

Jak w grze komputerowej

W Polsce przedstawia się jako Włodek, bo tu ma rodzinę i korzenie ma też polskie, ale w dowodzie wpisane ma Volodomyr i urodził się w Chmielnickim, 200-tysięcznym mieście między Lwowem a Kijowem. Do armii dołączył w 2013 roku jako dziewiętnastolatek. Rok później walczył już w Donbasie. Iłowajśk, Debalcewo – to miejscowości, gdzie toczyły się najbardziej krwa-

• Sala treningowa centrum rehabilitacyjnego Dobry Brat Osieku. Dochodzą tu do zdrowia ukraińscy żołnierze ranni froncie

eprasa.pl 7f7b52c9e4

we bitwy z prorosyjskimi separatystami i rosyjskimi żołnierzami.

– Jedno z najstarszych wspomnień, jakie mam z tych początkowych lat wojny, to pierwsza ofensywa – opowiada Włodek. – To musiało być gdzieś w Donbasie. Idziemy z kumplem i nagle mam taki obraz w głowie, że jestem w grze komputerowej „Call of Duty", tyle że tutaj życie nie wraca i jeśli cię zabiją, to gra się nie zresetuje – śmieje się Włodek ze swojego żartu.

Srebrny kolczyk w kształcie krzyża pobłyskuje mu w uchu, a drugi na łańcuchu wisi na szyi. Włodek mówi, że wiara w Boga pozwoliła mu nie stracić nadziei.

– Przeżyłem takie sytuacje, że naprawdę trudno wyjaśnić to ziemskimi prawami fizyki. Bo jeśli trzy metry obok ciebie spada rakieta, wybucha, a ty żyjesz, to jak to wyjaśnić? Coś takiego zdarzyło mi się przy pomniku Saur-Mogiła na Wzgórzach Donieckich – opowiada.

Wyszedł z tego cało, ale niedługo po ataku artylerii dostał odłamkiem w kolano. W 2018 roku wrócił z frontu popracować nad zdrowiem i zrehabilitować kolano. Miał poczucie, że armia odprawiła go z kwitkiem. Usłyszał, że wsparcie przy rehabilitacji jest dla aktywnych żołnierzy. Przeprowadził się na krótko do Polski, znalazł pracę w pizzerii, próbował ułożyć sobie życie poza okopami, lasami i strefą działań wojennych. Trzy dni po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji w 2022 roku wrócił na front.

• Snajper Włodek był ranny wiele razy: – Zajęło mi jakiś rok, żeby przyzwyczaić psychikę do wojny. Ciało trudniej przyzwyczaić

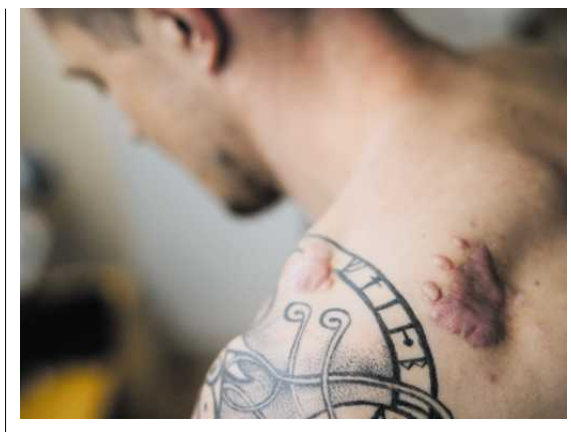

• Jedna z wielu blizn na ciele leczącego się w Osieku żołnierza sił specjalnych

– To musiało być w Donbasie. Idziemy z kumplem i nagle mam taki obraz w głowie, że jestem w grze komputerowej „Call of Duty", tyle że tutaj życie nie wraca i jeśli cię zabiją, to gra się nie zresetuje

Shooter wart 20 cywili

– Dlaczego wróciłeś? – pytam.

– Pojechałem na wojnę z pobudek, jakie ma większość ludzi, którzy robią to pierwszy raz. Byłem naładowany patriotyczną energią. Za drugim i każdym kolejnym razem już zdajesz sobie sprawę, że jesteś tylko elementem w większej politycznej grze – mówi. Jego ramię zdobi tatuaż z wilkiem, a pod nim napis: „Shooter", czyli strzelec.

Dzisiaj już nie przepełnia go patriotyczna energia, ale po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji wrócił na wojnę niemal od razu. – Bo wiem, że zdziałam na froncie tyle, co 20 cywili. Jestem wyszkolonym żołnierzem, zaadaptowanym do warunków wojennych. I ciągle jest we mnie poczucie, że tutaj jest nasz dom i nikt nie ma prawa wchodzić do niego z karabinami i mordować ludzi – mówiąc to, Włodek patrzy przed siebie.

Widział, jak umierają jego przyjaciele, sam zostawił na froncie dużo zdrowia. Ale nie ma żalu do mężczyzn, którzy uciekli z Ukrainy przed poborem. – Boją się, to zrozumiałe. Mają się czego bać, powie ci to każdy, kto widział wojnę na własne oczy. Jak słyszę w Polsce takich mądrali, co się przechwalają, że pierwsi pójdą walczyć, jak ruscy tu wejdą, to im po prostu nie ufam – mów.

Pytam, co na wojnie było dla niego najtrudniejsze. – Ciągle mi dźwięczało w głowie to pytanie: „Po co to wszystko się dzieje?". Nie znam odpowiedzi i chyba już nie oczekuję, że ktoś mi na to odpowie – mówi.

• Daria szykowała właśnie sylwestrowy posiłek w rodzinnym domu w Starokonstantynowie, gdy zabłąkana kula trafiła ją w kręgosłup

Dobry Brat od 10 lat

43 tys. zabitych, 370 tys. rannych. Taki bilans ukraińskich strat na kanale Telegram zaprezentował na początku grudnia 2024 roku Wołodymyr Zełenski. Do tego należy doliczyć ok. 4,4 tys. żołnierzy, którzy stracili życie między 2014 a 2022 rokiem podczas walk w Donbasie. Prezydent podkreślił, że około 50 proc. rannych wraca do służby.

Różne źródła podają jednak inne dane. W listopadzie 2024 roku „The Economist" oszacował liczbę zabitych ukraińskich żołnierzy na 60-100 tys., a rannych na mniej więcej 400 tys. Dziennikarze brytyjskiego tygodnika powoływali się m.in. na informacje wywiadowcze i źródła wśród urzędników zajmujących się obronnością.

Nie wiemy, ilu spośród żołnierzy rannych na wojnie przeszło rehabilitację. Wiemy za to, że od 2014 roku blisko pięciuset wzięło udział w turnusach rehabilitacyjnych w centrum Dobry Brat w Osieku.

– Przestałem zapamiętywać imiona. Nie dlatego, że ich los przestał mnie obchodzić, ale często po rehabilitacji chłopacy wracają od nas na pole bitwy i tam giną. A ja to później przeżywam.

Doszedłem do wniosku, że muszę ich traktować przede wszystkim jako pacjentów. Mamy do wykonania konkretną robotę, skupiamy się na rehabilitacji – mówi Jakub Markowski, dyrektor ośrodka Dobry Brat.

Z Ukrainą jest związany od dziecka. Kiedy wielu Polaków z pokolenia jego rodziców emigrowało na Zachód, jego ojciec, Mariusz, znalazł pracę w Ukrainie, a Jakub go tam odwiedzał.

– Macie rodzinne powiązania z Ukrainą? – dopytuję.

– Cóż, można tak powiedzieć... Wszyscy z rodziny mojego taty poza jego babcią, czyli moją prababcią, zostali zabici podczas rzezi wołyńskiej. Ale uważam, że ludzie nie powinni żyć przeszłością. Powinni ją znać, ale żyć trzeba teraźniejszością – mówi Jakub Markowski.

Ta sama myśl przyświecała jego ojcu, kiedy w 2014 roku zaangażował się w pomoc Ukrainie. W Donbasie to był początek wojny z separatystami i rosyjską armią. – Tata zadzwonił jakoś bardzo wcześnie rano i zaspany usłyszałem tylko: „Słuchaj, bierzemy na rehabilitację ukraińskich żołnierzy" – opowiada Jakub. Był w szoku. Ale ojciec zapowiedział, że sam sfinansuje turnus rehabilitacyjny, więc się zgodził. Ostatecznie znajomi wsparli finansowo pomysł i do Osieka przyjechała pierwsza grupa 35 żołnierzy.

Jeden jeździł na wózku, jeden był po amputacji, kilku o kulach.

– Większość wyglądała na zupełnie zdrowych. Dopiero podczas badań, gdy zaczęli się rozbierać, okazało się, jak poważne mieli obrażenia. Połowa ciała w bliznach, po minach, po artylerii, niektórzy z niewyjętymi kulami w ciele. Wyglądali, jakby wyszli prosto z horroru – opowiada Jakub.

Koledzy na nas czekają

Pierwszy turnus rehabilitacyjny trwał trzy tygodnie. Kiedy żołnierze wyjechali, Jakub musiał wziąć urlop. – Psychicznie mnie to wykończyło. Opowiadali o doświadczeniach, które aż trudno sobie wyobra-

eprasa.pl 7f7b52c9e4

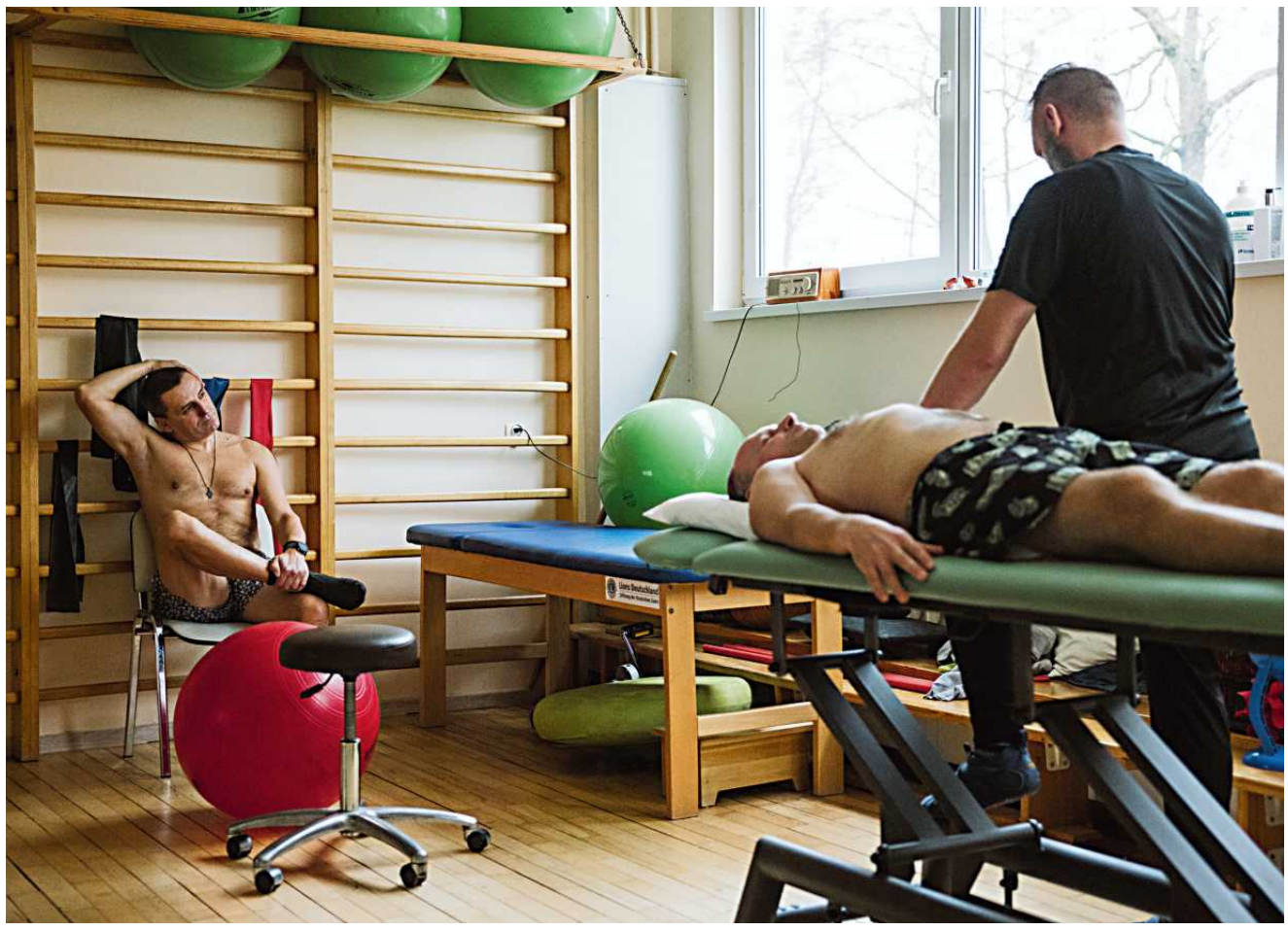

• **Dzień w ośrodku Dobry Brat zaczyna się wcześnie rano. Żołnierze ubierają klapki, spodenki i koszulki i schodzą do sali, gdzie czekają na nich fizjoterapeuci**

– Ciągle mi dźwięczało w głowie to pytanie: „Po co to wszystko się dzieje?”. Nie znam odpowiedzi i chyba już nie oczekuję, że ktoś mi na to odpowie – odpowiada

zić – dodaje. Traum było co najmniej tyle, co blizn po kulach i odłamkach.

W tym roku w Osieku rehabilitowali się żołnierze, którzy bronili Azowstalu i znaleźli się w rosyjskiej niewoli. – Jeden mówił, że modlił się codziennie o śmierć, drugi – że było mu już obojętne, czy go zabiją, czy nie. Przeżyli tortury. Jednego dnia bili ich po plecach, drugiego z przodu. Na zewnątrz nic nie było po nich widać, ale w środku ich ciała były zmaltretowane. Wzdrygali się na najmniejszy dotyk ze strony fizjoterapeuty – opowiada Jakub.

Najbardziej poruszające jest to, że wielu weteranów chce wracać na front. – Nawet jeśli mają rodziny, które błagają ich, by zostali, oni odpowiadają: „Moi koledzy na mnie czekają. Beze mnie sobie nie poradzą”.

Wojna to kopanie, a nie strzelanie

55-letni Wiktor nie ustępuje młodszemu o ponad 20 lat żołnierzowi. Plastikowa piłeczka lata nad siatką z taką prędkością, że trudno uchwycić ją wzrokiem. Tenis stołowy to obok bilardu jedna z dwóch wieczornych rozrywek, jakie mają weterani w Osieku. W przerwie między setami Wiktor pokazuje mi film, który dostał od jednego z dwóch synów. Obaj walczą w Ukrainie.

Na ekranie nocne niebo pokrywają smugi, które ciągną się za pociskami. Wszystkie spotykają się w jednym miejscu wysoko nad blokami mieszkalnymi. – Udało im się wczoraj strącić Shaheda, rosyjskiego drona. Dumny jestem ze swojego syna – mówi Wiktor.

Przez kilka lat walczył w Donbasie, i to długo przed pełnoskalową inwazją. Wojsko nie było jego pierwszym zawodowym wyborem – przed wojną pracował jako menedżer w fabryce mebli. Po pracy trenował do zawodów triatlonowych. Nie ściga się już ze względu na stan zdrowia, ale po sylwetce widać godziny spędzone na basenie, bieżni i rowerze.

O inwazji dowiedział się 24 lutego o czwartej nad ranem. Nie musiał nawet włączać telewizora ani radia. Wybudziła go rosyjska rakieta, która przeleciała tuż nad jego mieszkaniem. Spakował się, pożegnał z żoną i dołączył do batalionu desantowo-szturmowego, w którym wcześniej walczył w Donbasie.

• **Wiktor walczy z Rosjanami od 2014 roku. – Wszystkim się wydaje, że wojna to strzelanie. Nie, to kopanie, kopanie i jeszcze raz kopanie okopów...**

– Pierwsze walki rozpoczęły się już 25 lutego pod Kijowem. Grupy dywersyjne próbowały wejść do miasta, a naszym zadaniem było je odpierać. Brakowało nam broni przeciwpancernej, ale nadrabialiśmy kreatywnością. Razem z rolnikami ustawiliśmy traktory na drodze, wzięliśmy jakieś długie rury z szopy przypominające lufy, przytwierdziliśmy do ciągników i przykryliśmy wszystko siatką maskującą. Z daleka wyglądało na czołgi – opowiada Wiktor.

Przebieranie traktorów za czołgi to jedno z lżejszych wojennych wspomnień Wiktora. – Kopanie. Kopanie. I jeszcze raz kopanie okopów. To na pewno zostanie ze mną do końca życia. Ludzie myślą, że wojna to strzelanie. Szczerze mówiąc, nawet w brygadzie desantowo-szturmowej, w której służyłem, więcej jest kopania niż strzelania – mówi Wiktor.

Triatlonista szturmuje Chersoń

Najcięższe dni przeżył w obwodzie chersońskim. Chersoń leży nad Morzem Czarnym i Dnieprem, a Rosjanie zajęli miasto w pierwszych dniach pełnoskalowej inwazji. Kilka miesięcy później, w listopadzie 2022 roku, wojska ukraińskie przeprowadziły skuteczną kontrofensywę i zmusiły Rosjan do wycofania się z miasta.

– Strzelanie i kopanie, budowanie umocnień i od nowa strzelanie, kopanie, kopanie i tak dalej. Przez pięć dni non stop. Na filmach żołnierze zazwyczaj są już w okopie, tak jakby magicznie powstały, a przecież je trzeba najpierw wykopać – mówi Wiktor.

Pod Chersoniem pierwszy raz został ranny. Odłamek po ataku artylerii trafił go w bok. – Na wojnie najbardziej boli, kiedy tracisz swoich ludzi. Żadna rana fizyczna tak nie boli. Więc wróciłem na pozycje, najszybciej jak mogłem, po trzech dniach w szpitalu. Z naszymi chłopakami nie było kontaktu, a ja wiedziałem, gdzie oni są. Musiałem wrócić – opowiada.

Walczył też w Bachmacie w obwodzie donieckim. To miasto stało się jednym z symboli ukraińskiego oporu. Od sierpnia 2022 roku trwała tam jedna z najdłuższych bitew wojny. Przez kilka miesięcy siły rosyjskie, w tym najemnicy z Grupy Wagnera, próbowały przejąć kontrolę nad tym miastem. Pod Bachmatem Wiktor został ranny po raz drugi. – Ostrzał czołgowy. Pocisk trafił w nasz samochód. Całkiem dobrze to zniósł, porządny włoski wóz. Ale odłamek wbił mi się w stopę – opowiada.

Kogoś, kto nie był na wojnie, może to zdziwić, ale to nie ostrzały, podczas których został ranny, wyrządziły mu najwięcej szkód. – Musieliśmy zeskoczyć z BTR-u [transporter opancerzony] z całym sprzętem na sobie. Ciężar, z którym padłem na ziemię, przeniósł się na mój kręgosłup i po czymś takim mam największe bóle, a nie po walkach – mówi Wiktor.

Został zwolniony ze służby ze względu na stan zdrowia, ale chce wrócić do armii i zająć się szkoleniem. – Jako żołnierz nauczyłem się, że zawsze trzeba przygotować się na najgorszy scenariusz. Dlatego nie spodziewam się, że ta wojna skończy się w 2025 roku. Jako Ukrainiec mam jedno marzenie: powrót do granic z Ukrainy z 1991 roku – mówi.

Żołnierze i cywilka

Siadam do kolacji z żołnierzami na stołówce. Wielkie okna wychodzą na plażę, która latem tętni życiem, i jezioro nazywane Morzem Kociewskim. Na stole szynka, pomidor z cebulką i kopytka na słodko. Żołnierze wymieniają się wrażeniami z wycieczki na zamek krzyżacki w Malborku. Do naszego stołu dosiada się młoda, drobna dziewczyna.

– Nie jest żołnierzem, ale też straciła zdrowie przez wojnę – mówi Włodek. Oni na froncie liczyli się z tym, że mogą zostać ranni. Ją kula dosięgła z zaskoczenia.

Siedemnastoletnia Daria Yakimovska stała w kuchni rodzinnego domu w Starokonstantynowie i kroiła ziemniaki na zapiekankę z kurczakiem. Sylwestrowa kolacja na koniec 2022 roku miała zacząć się za kilkanaście godzin. Studiowała wtedy translatorykę na Akademii Ostrogskiej, ale przyjechała do rodziców, żeby spędzić z nimi sylwestra. To nie był łatwy rok dla jej rodziny. Martwiła się o ojca, zawodowego żołnierza, który spędzał większość czasu na wojnie.

Teoretycznie linia frontu znajdowała się daleko, ale niewielki Starokonstantynow znalazł się wśród celów rosyjskich dronów.

Wojna Darii towarzyszy przez większość życia, kiedy wybuchła w 2014 roku – miała zaledwie osiem lat. Tamtego wieczoru starała się o niej nie myśleć, chciała skupić się na ziemniakach i kurczaku. Za oknem wyły jednak syreny, które oznaczały, że żołnierze próbują zestrzelić rosyjskie drony.

Nagle poczuła uderzenie w kręgosłup i straciła przytomność. Kiedy po chwili ją odzyskała, miała problemy z oddychaniem i nie czuła nóg. Rodzice wytłumaczyli jej, co się stało. Przez okno kuchni musiał wlecieć nabój, który odbił się od rosyjskiego drona. Daria dostała rykoszetem w kręgosłup. – Na szczęście pocisk nie utkwił w moim ciele. Odbił się i spadł na podłogę – tłumaczy.

W szpitalu lekarze wprowadzili ją w stan śpiączki. Później dowiedziała się, że przygotowywali rodziców na najgorsze. Zdecydowali się na operacje, choć mówili wprost, że szanse na przeżycie są niewielkie.

– Od 5 stycznia do 2 lutego byłam całkowicie unieruchomiona. Nie mogłam poruszać nogami. W lutym przeniesiono mnie do centrum rehabilitacyjnego w Łucku, gdzie zaczęła się bolesna i wymagająca terapia – relacjonuje Daria ze spokojem i precyzją. W Łucku zaprzyjaźniła się z żołnierzem, który w wyniku ran miał sparaliżowaną większość ciała. – Mimo to był niesamowicie pozytywnym człowiekiem i stanowił dla mnie inspirację. Wiem, że życie osób niepełnosprawnych bywa trudne. Sama doświadczyłam tego, gdy podczas wizyty w szkole mały chłopiec nazwał mnie „inwalidką” – mówi Daria. Dzisiaj chodzi głównie o kulach, ale kiedy tylko może, próbuje się poruszać bez nich.

– Pierwszy raz stanęłam na własne nogi 9 marca. Dobrze pamiętam datę, bo to moje urodziny. Symboliczne, nie? – śmieje się.

Rehabilitacja to nadal dla Darii wyzwanie. Największą trudność sprawia jej rozciąganie mięśni. – Jest bardzo bolesne, ale wiem, że bez tego nie będę mogła normalnie chodzić – mówi. – Ale cała ta fizjoterapia, to paradoksalnie dla mnie śmieszne doświadczenie. Mam bardzo wrażliwe ciało, zwłaszcza po tym wypadku. Dotyk odbieram jako łaskotki, więc w czasie rehabilitacji po prostu leżę sobie i się śmieję. ●

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Zioła i kolędy. Boże Narodzenie w Nowym Jorku

TO MIAŁA BYĆ SAMOTNA WIGILIA

Christkwaanzukah, czyli Stany Zjednoczone Świąt

FOT. REUTERS/HEATHER KHALIFA

• **Nowy Jork, 14 grudnia br. SantaCon, czyli doroczna impreza świąteczna. Ludzie zakładają kostiumy Świętego Mikołaja, chodzą od pubu do pubu i bawią się na ulicach**

Alek Korab

Ścisk jest taki, że nie da się przejść. Przedświąteczny spacer po Manhattanie, z Columbus Circle, opłotkami Central Parku, w stronę 5. Alei trwa dwa razy dłużej niż zwykle.

Mijamy setki ludzi – ich liczba podwaja się z każdym metrem. Spacer Piątą przypomina pływanie pod prąd tsunami. Fale turystów nacierających w obydwóch kierunkach wpadają na siebie i rozbijają się na jeszcze bardziej chaotyczne prądy uliczne. Spacerujący wije się jak ryba, która wpadła w konkurencyjną ławicę. Ludzie biegną na przyjęcia świąteczne lub wracają z nich. Kupują prezenty. Sygnalizacja świetlna ginie wśród wszystkich dodatkowych o tej porze roku świateł. Każde drzewo na ulicy jest okutane w światła pod sam czubek korony.

Mijamy gigantyczną świetlną klatkę flagowego sklepu Apple'a. Wielkie gwiazdy powieszone nad każdą przecznicą migają landrynkowymi kolorami. Światłość jest wszędzie. Jeśli Jezus zdecyduje się powrócić w jakimś momencie na Ziemię ze swoimi archaniołami, to 5. Aleja jest gotowa na zapewnienie adekwatnych efektów specjalnych. Turyści robią sobie zdjęcia na tle wieży Donalda Trumpa (uwaga: to nie jest jedyny budynek, który Donald nazwał swoim imieniem. W Nowym Jorku jest ich sześć, musi być coś w tej nazwie, co mu się bardzo podoba). Niektórzy zatrzymują ruch swoimi selfies, niektórzy, przechodząc, wyciągają środkowy palec w stronę nowojorskiej siedziby przyszłego prezydenta.

Oprócz oślepiających świateł jest też ogłuszający ryk. Z głośników ulicznych sprzedawców ryczy latynoska salsa, z głośników przejeżdżających rykszarzy atakuje utwór Jaya-Z „Empire State of Mind".

Żółte taksówki przeciskają się pomiędzy przechodniami, dokoła stoją tuziny policjantów, którzy wyglądają, jakby nie zrzucili wagi z poprzednich świąt – NYPD wysyła sygnał w świat, że trzyma tłusty palec na cynglu. Kiedy po raz pierwszy przyleciałem do Nowego Jorku, jeszcze jako turysta, arogancko zapytałem parę puszystych niebieskich, czy byliby skłonni wyrecytować mi moje prawa (Miranda Rights). Panowie uśmiechnęli się leniwie, po czym jed en z nich w nanosekundzie wykręcił mi ręce i skuł w kajdanki. Te pączki, które są legendarną dietą funkcjonariuszy NYPD, muszą jednak iść w mięśnie.

Mijamy wieżowiec na 57. Ulicy. Jest przebrany za staroświecki kufer, a raczej za stertę kufrów jeden na drugim. Zatrzymujemy się i gapimy z podziwem. Ktoś wpada na nas i klnie „cholerni turyści!". „Spadaj do New Jersey!" – odkrzykuję, spóźniony i urażony. Obok nas w sławnym ekskluzywnym domu handlowym Bergdorf Goodman jest wystawa z każdym oknem stworzonym przez osobnego artystę. Rozebrane do rosołu influencerki pozują do potencjalnie wirusowych postów. W tej pogodzie i tym ścisku wirusy na pewno sobie poradzą.

Wchodzimy do środka. Na stoisku Chanel ochroniarz ubrany jak model dyskretnie skanuje nas przy wejściu. Sklep pachnie Chanel N 5 i jest biały jak śnieg, którego jeszcze nie ma, z gigantyczną złotą choinką z wplecioną gitarą, puzonami i wielkim złotym jeleniem w towarzystwie nie jednego, ale dwóch złotych łabędzi na szczycie.

Wstępujemy do pobliskiego supermarketu, witają i żegnają nas wielkie napisy życzące wesołej Chanuki.

Idziemy w bardziej katolickie rejony. Niedaleko jest katedra Świętego Patryka. Ogrodzona barierkami, naprzeciwko katedry zgromadził się tłum wiernych. Ale to nie katolicy, lecz turyści pielgrzymujący do świątecznego drzewka przy Rockefeller Center.

„Drzewko", czyli 22-metrowy świerk norweski z West Stockbridge w stanie Massachusetts. Waga: około 11 ton, wiek: 70 lat. Jego wierzchołek przystrojono, jak każdej choince na święta, choć nie każdą przystraja się 900-funtową kryształową gwiazdą Swarovskiego z 3 milionami kryształów. Wygląda jak drzewko olbrzymów, którzy udekorowali go toną landrynek.

Najbogatsze miasto świata nałożyło właśnie swoją najbardziej efekciarską biżuterię. To się zwróci – statystyczny Amerykanin wydaje w święta ponad 2000 dolarów na ekstra wydatki, bogaci turyści dwa razy tyle. Świąteczna sprzedaż stanowi często 50 proc. przychodów wielu sklepów.

Dogania nas rykszarz, z jego głośników Jay-Z rapuje:

W Nowym Jorku, Betonowej dżungli, gdzie marzenia się spełniają, Nie ma niczego, czego nie możesz osiągnąć.Teraz jesteś w Nowym Jorku.Te ulice sprawią, że poczujesz się jak nowy.Wielkie światła Cię zainspirują.Posłuchajmy Nowego Jorku.Nowy Jork, Nowy Jork!

•

„Boże Narodzenie to czas w roku, w którym ludzie wszystkich religii spotykają się, aby oddać cześć Jezusowi Chrystusowi" – prowokacyjnie zauważył kreskówkowy nicpoń Bart Simpson. Ale w Ameryce nie do koń-

eprasa.pl 7f7b52c9e4

ca jest to prawdą. Na pewno nie w Nowym Jorku, gdzie łokieć w łokieć mieszkają, oddychają, jedzą protestanci, katolicy, prawosławni, Żydzi, muzułmanie, Hindusi, buddyści i Sikhowie. Kalendarz szkolny Stefci odnotowuje święta chrześcijańskie, żydowskie, muzułmańskie, chińskie i hinduskie. Dlatego we wrześniu lub październiku, tuż po rozpoczęciu roku szkolnego, mamy zwykle kilka dni wolnego z powodu żydowskiego Rosz ha-Szana, w listopadzie szkoła jest zamknięta z powodu hinduskiego Diwali, w styczniu – chińskiego Nowego Roku, w czerwcu – muzułmańskiego Id al-Adha.

Świąt jest tyle, że twórcy serialu „Kroniki Seinfelda", który tutaj jest tak kultowy jak „Miś" w Polsce, stworzyli jeszcze jedno: Festivus – dla wszystkich innych. Bohaterowie serialu obchodzili go 23 grudnia – zbierali się wtedy na kolacji przy wielkim aluminiowym kiju zamiast choinki i wypominali sobie nawzajem rzeczy, które ich u innych obraziły. Na koniec jeden z celebrujących wyzywał wybraną osobę na pojedynek w zapasach. Dowcip się przyjął i wciąż funkcjonuje w kulturze popularnej.

Moich znajomych z Polski często irytuje to, że w Ameryce przestaliśmy sobie życzyć „Merry Christmas" i zastąpiliśmy to „Happy Holiday". Ale ma to bardzo praktyczne uzasadnienie. Mój przyjaciel z Florydy, który wychował się w nowojorskim świeckim domu w tradycji chrześcijańskiej, przekonwertował się na judaizm z miłości do żony, mówi mi: „Kiedy chcę komuś złożyć życzenia, to wymieniam konkretne święto tej osoby, więc życzę »Happy Christmas« mojej mamie, żonie, córce i teściom »Happy Hanukkah«, afroamerykańskiemu koledze z pracy »Happy Kwanzaa«, a jak nie wiem, co ktoś celebruję, to mówię zwyczajnie »Happy Holidays«. W ten sposób nikt się nie czuje obrażony".

Kiedy zaczynałem pracę w redakcji gazety w Nowym Jorku, jeden z moich redaktorów napisał na Facebooku w Boże Narodzenie: „Dziś mam wolne z powodu świąt innych ludzi". Ktoś mu odpisał: „Czasami inni ludzie mają wolne z powodu Twoich świąt".

Tak czy siak, trzy główne święta przypadają zazwyczaj na koniec grudnia: Boże Narodzenie (wiadomo), Chanuka (25.12-2.01), Kwanzaa (26.12-1.01). o przemienia je w jedno megaświęto. „Nie lubię tego określenia, ale nazywamy to Christkwaanzukah" – mówi mi Nicole Fineman.

Nicole pracuje dla „New York Timesa", jest Afroamerykanką urodzoną w Chicago w rodzinie protestanckiej. Jej mąż Aaron, dyrektor na Uniwersytecie John Jay, pochodzi z Georgii i wychował się w rodzinie żydowskiej. Spotkali się w akademiku Uniwersytetu Nowojorskiego, pokochali i założyli rodzinę. Mają dwóch synów i razem stanowią bardzo fotogeniczną rodzinę oraz przykład, jak tutaj potrafią się zaplątać religie i tradycje. Ich chłopcy świętują bar micwę, ale też czasami chodzą z tatą Nicole do kościoła. Ze skautami odwiedzali meczety, Aaron zabrał ich raz też do świątyni prawosławnej. A Nicole praktykuje buddyjską medytację. Pytam ją o święta.

„Uwielbiam. Myślę, że wszystko, co może nadać sens i po prostu podnieść codzienność do czegoś wyjątkowego, jest fajne. Zwłaszcza jeśli możesz coś udekorować lub się przebrać. Ważne jest, aby znaleźć czas na świętowanie małych rzeczy, które mają znaczenie w życiu. Dorastałam jako chrześcijanka, ale miałam przyjaciół z różnych religii i odwiedzałam ich domy na święta, i zawsze to uwielbiałam, ponieważ dowiadywałam się czegoś nowego, ale też odkrywałam nowe jedzenie, nowe piosenki, historie. Teraz kiedy świętujemy, to głównie żydowskie święta, ale też amerykańskie i nadal obchodzimy niektóre chrześcijańskie. Moje ulubione to Chanuka, którą kocham, ponieważ jest tak amerykańska: po prostu bierze różne części i tworzy z tego jeden wielki pomysł" – entuzjazmuje się Nicole.

•

Jednym z najbardziej zaskakujących obrazków Nowego Jorku jest południowa część dzielnicy Williamsburg. Zwłaszcza w piątki przed zachodem słońca – setki ludzi o długich brodach, jeszcze dłuższych płaszczach, z gigantycznymi kapeluszami i sznurkami przy pasie idą w tempie Roberta Korzeniowskiego, nerwowo spoglądając na zegarki. W tym czasie ich żony, w czepkach albo perukach, z dziećmi na ręku robią gigantyczne zakupy w hipsterskim markecie Trader's Joe.

W grudniu chasydzi zamieniają kapelusze na futrzane (naprawdę imponujące!), a Williamsburg zamienia kolory na biało-niebieskie i wszędzie pojawia się menora – znaki Chanuki.

Nowy Jork to drugie po Tel Awiwie największe skupisko żydowskie. W mieście i na przedmieściach mieszka ponad 1,4 miliona Żydów. Naturalnie nie wszyscy są ortodoksyjni. Ale nawet ci w 100 procentach świeccy wciąż kultywują świąteczne tradycje. Niektórzy z rozmachem, inni z humorem.

Rozmawiam z Rebeccą Guber, dyrektor założycielką The Neighborhood: An Urban Center for Jewish Life i organizatorką pączkowego konkursu. „Moje dziecięce Chanuki gromadziły trzy pokolenia, aby wspólnie zapalić świece przed ścianą zdjęć członków rodziny, których już nie z nami nie było. Nauczyło mnie to, że tradycje to piękny sposób na połączenie się z poprzednimi pokoleniami i że dzielenie się nimi z młodszymi pokoleniami pomaga nam przenieść tych ludzi sprzed dekad i stuleci w przyszłość".

Chanuka, nazywana też Świętem Światła, upamiętnia ponowne poświęcenie Drugiej Świątyni w Jerozolimie po powstaniu Machabeuszy przeciwko hellenistycznemu imperium Seleucydów w II wieku p.n.e. Trwa osiem dni, a jej obchody obejmują zapalanie świec na menorze, odmawianie modlitw i delektowanie się tradycyjnymi potrawami smażonymi na oleju (który symbolizuje światło), takimi jak latkes (nasze placki ziemniaczane) i sufganiyot (pączki wypełnione dżemem – oczywiście, że też nasze!). Zapalenie menory służy jako publiczna deklaracja cudu i historycznego znaczenia żydowskiej wytrwałości.

2000

• DOLARÓW **wydaje w święta statystyczny Amerykanin**

Przez wieki Chanuka była jednym z wielu świąt w judaistycznej tradycji, ale to się zmieniło, kiedy żydowskie dzieci zaczęły z zazdrością patrzeć na chrześcijańskich kolegów obdarowywanych prezentami w grudniu. „Ameryka pomogła podnieść Chanukę z drugorzędnego święta do głównego wydarzenia w kalendarzu żydowskim, głównie ze względu na bliskość czasową do Bożego Narodzenia – tłumaczy Guber. – Współczesne rodziny żydowskie podchodzą do grudniowego sezonu świątecznego na różne sposoby. Dla bardziej przestrzegających tradycji Chanuka jest jedyną ważną okazją w grudniu. Inni obchodzą Chanukę razem z Bożym Narodzeniem, Kwanzaą, Nowym Rokiem i szeregiem innych zimowych świąt. My świętujemy wszystko!".

Pytam ją jeszcze o cechy idealnych pączków chanukowych: „Najlepsze mają idealną równowagę między słodyczą a słonością: ciasto drożdżowe, ładny lukier i oczywiście dżem".

W grudniu siedmioramienny świecznik jest tutaj wszędzie. W 2020 roku podczas gigantycznej burzy śnieżnej, kiedy miasto zamarło, raper Kosha Dillz zauważył, że w lokalnej menorze brakuje ostatniego, siódmego światła. Zadzwonił więc do lokalnego rabina, który zapalił brakujące światła i przy okazji nagrał telefonem teledysk na temat śnieżycy i cudu. Wideo trafiło do lokalnej telewizji i zrobiło karierę w internecie, do czego przyczynił się zachwyt znanego rapera Macklemore'a.

Pytam Kosha, skąd pomysł: „Zawsze chciałem stać się popularny i pomyślałem, że to dobra okazja. Chciałem rapować na śniegu, poprosiłem rabina, żeby to nagrał i zaczęło to iść viralem. To był mój pierwszy ważny rap na Instagramie. Sama zamieć zrobiłaby robotę, a że kręciłem podczas pandemii, znudzeni ludzie to docenili jeszcze bardziej". Co lubi najbardziej w Chanuce: „Uwielbiam tworzyć i łączyć ludzi. A Chanuka ma w sobie to wszystko, jest kreatywna i świąteczna, i ludzka. Jest święta i prosta. Powaga i zabawa".

Czyli w kolejnych projektach nie zaskoczy? Nie, bo po co. Formą, owszem, ale nie tematyką. „Mam nowy program o nazwie Love Form Dreidel...

Chyba mam puste spojrzenie, bo Kosh tłumaczy: „no wiesz, drejdel, taki bączek do gry uprawianej podczas Chanuki. Hazardowej, ale niewinnej. No więc mam nowy program, do tego nagrałem nową „Pieśń chanukową 3.0" i organizuję imprezę o nazwie Hannukcon, podobną do Santa Con!".

Santa Con to globalne – jeśli „globalny" rozumieć jako anglosaski krąg kulturowy – wydarzenie, podczas którego młodzi ludzie przebrani za Mikołajów świętują w barach. Ale nie wiem, czy Koshowi gratulować, czy się martwić, bo w Nowym Jorku konwent Santa Clausów w ostatnich latach zamienia się w alkoholowe zamieszki z pokotem pijanych Mikołajów leżących na chodnikach.

Ale skoro mowa o improwizowanych tradycjach, w zeszłym wieku powstała kolejna, nazywana Koszernym Bożym Narodzeniem. Jako że w pierwszy dzień świąt większość restauracji jest zamknięta, nudzący się Żydzi spotykają się z rodziną i przyjaciółmi w jedynych otwartych miejscach – chińskich restauracjach, które w tym dniu pękają w szwach. Wiele żydowskich dzieci uważa ten rytuał za tak żydowski jak post podczas Jom Kippur. Niechcący chrześcijańskie święto połączyło dwie odległe niechrześcijańskie kultury. Tegoroczne zaproszenie z Muzeum Żydowskiego Dziedzictwa wymienia koszerne chińskie jedzenie jako jeden z ważnych punktów całego programu.

•

Kiedy lata temu przeniosłem się do dzielnicy Bedford-Stuyvesant, potocznie zwanej BedStuy, szybko się zorientowałem, że jestem białym rodzynkiem w afroamerykańskiej wspólnocie. Wokół mnie wszystko było inne: sklepy, restauracje, kluby (wszędzie byłem mile widziany). Odkryłem tam soul food – kuchnię stworzoną przez niewolników, którzy połączyli afrykańskie potrawy z tymi, które zastali na plantacjach na południu kontynentu.

Gdybym tam wciąż mieszkał, być może świętowałbym teraz Kwanzeę. Obchodzenie więcej niż jednego święta jest tutaj coraz bardziej powszechne. „Kocham to, że obchodzimy Chanukę, obchodzimy Boże Narodzenie i obchodzimy Kwanz" – mówi Nicole.

Kwanza to najnowsze ze świąt, stworzone w 1966 roku przez profesora Maulana Karengę. Nazwa pochodzi od suahilijskiego zwrotu „matunda ya kwanza" oznaczającego „pierwsze zbiory". Obchodzimy je od 26 grudnia do 1 stycznia. Kwanzaa koncentruje się wokół siedmiu zasad znanych jako

50

• PROC. **przychodów wielu nowojorskich sklepów to sprzedaż świąteczna**

Kiedy zaczynałem pracę w Nowym Jorku, jeden moich redaktorów napisał na Facebooku w Boże Narodzenie: „Dziś mam wolne z powodu świąt innych ludzi". Ktoś mu odpisał: „Czasami inni ludzie mają wolne z powodu Twoich świąt"

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Nguzo Saba, z których każdą reprezentuje świeca na kinara, czyli świeczniku. Tradycje obejmują codzienne zapalanie świecy, noszenie tradycyjnych afrykańskich strojów, Karamu, czyli wspólne ucztowanie szóstego dnia i oddawanie czci przodkom. Święto kładzie nacisk na tożsamość kulturową, jedność i celebrację dziedzictwa Afroamerykanów.

„Kwanzaa i Chanuka są bardzo podobne, ponieważ opierają się na świecach i następnie symbolice odliczania dni – zauważa Nicole. – Zostało stworzone, ponieważ większość naszego dziedzictwa kulturowego została wymazana w czasach niewolnictwa. Zniewoleni ludzie nie mogli świętować wielu tradycji. To nie znaczy, że nie świętowali, ale kształt wielu obyczajów się zatarł, jedne nie przetrwały, inne się zmieniły, powstały nowe. To wymyślanie kultury od nowa jest bardzo charakterystyczną cechą społeczności afroamerykańskiej".

Co Nicole przygotowuje na Kwanzeę? „Co roku robimy Hoppin' John, czyli czarną fasolę z ryżem. To symbolizuje dobry wygląd. A na Chanukę, ponieważ olej trzyma się dłużej świeży, robimy potrawy smażone. No i pączki z dżemem!". Nicole stara się też połączyć tradycje, dekorując mieszkanie. „Zdobię z myślą o wszystkich świętach. Nie chodzi o ich porównywanie, ale o znalezienie ideałów, do których chcemy dążyć w każdym z nich. Dlatego podoba mi się pomysł świateł. One są wspólne i symbolizują mniej więcej to samo, ale każde z nich ma swój własny, specjalny blask. Kwanzaa skupia się na społeczności i rolnictwie, tworzeniu rzeczy i budowaniu siebie, swojej społeczności. I dlatego w domu mamy wiele odcieni ziemi, złota i materiałów ze wzorami afrykańskimi. Ale z uwagi na Chanukę stroimy też dom ma niebiesko i biało – te kolory oznaczające zimę i pomysł na przetrwanie".

●

Ale wciąż zdecydowana większość Amerykanów świętuje Boże Narodzenie.

Ed Bridges jest doświadczonym menedżerem zarządzającym dużymi zespołami programistów. Ed jest dowcipny, przystojny i na tyle wysoki, że po rozmowie z nim boli mnie szyja. Wychował się na Staten Island, która za jego dzieciństwa przypominała przedmieścia, jakie w Polsce znamy z serialu „Cudowne lata". Pytam go, jak wyglądały święta w rodzinie protestanckiej, a konkretnie anglikańskiej.

„U nas główne świętowanie miało miejsce 25 grudnia, a nie w Wigilię. Dla nas, dzieci, ta noc zawsze była bardzo ekscytująca – nie mogliśmy zasnąć w oczekiwaniu na przybycie Świętego Mikołaja. Zostawialiśmy ciasteczka, mleko i marchewki dla reniferów, aby zaskarbić sobie względy staruszka. Rano jedliśmy niecierpliwie śniadanie z rodziną. Zawsze był ten sam zestaw naczyń zarezerwowanych na bożonarodzeniowy ranek" – Ed odpływa we wspomnienia.

„Potem wszyscy siadaliśmy do długiego poranka otwierania prezentów i jedzenia słodyczy. W środku popołudnia siadaliśmy do dużej kolacji świątecznej. Zazwyczaj jedliśmy antrykot wołowy albo wielką szynkę. Było też wiele dodatków, takich jak yorkshire pudding i zapiekane ziemniaki, a także tradycyjne desery, takie jak charlotte russe" – wylicza, a ja notuję sobie w pamięci, żeby też zaopatrzyć się w to ciasto z warstw kremu bawarskiego i biszkoptu, często ozdabiane owocami.

Astrid Harders jest szefową marketingu na USA latynoskiego giganta wydawniczego, grupy Planeta, jej mąż Carlos – architektem. Ojciec Astrid jest Niemcem z Hamburga, ale oboje z Carlosem urodzili się w Kolumbii. Przed czterdziestką przeprowadzili się do Nowego Jorku. Teraz z córką Oliwią mieszkają w pięknym mieszkaniu z widokiem na zatokę w Miami.

Pytam Astrid, jak im się udaje łączenie kolumbijskich, amerykańskich i niemieckich tradycji. „Jak ze wszystkim, to sztuka żonglerki. Kolumbijska tradycja radosnych, tanecznych świąt Bożego Narodzenia przebija się, gdy spotykamy się z latynoskimi przyjaciółmi. Dzieci i dorośli tańczą, ktoś zawsze gra »Mi burrito sabanero«. Niemiecka strona jest bardzo obecna przez wszystkie drewniane ozdoby choinkowe z Erzgebirge, które wiszą na naszym drzewku, a także w bucie Sankt Nikolaus, który zwykle wypełniamy dla córki 6 grudnia". Tu Astrid na chwilę się zawiesza. – Coś nie tak?

„Przyznaję, że w tym roku zawiedliśmy i nie zdążyliśmy. A co gorsza, to również rok, w którym nie udało nam się kupić jej kalendarza adwentowego, a zwykle dostawała kalendarz Schokolandenkalender. No a tradycja amerykańska to głównie nawyk, który przejęliśmy dzięki przyjaciołom lub w celu towarzyskiego spędzania czasu w szkole naszej córki. W tym roku zrobili musicalowego »Grincha«".

Czym różni się Boże Narodzenie w Miami od tego w Nowym Jorku? „Zima jest powodem, dla którego kochamy mieszkać w Miami. Widok gigantycznych nadmuchiwanych Mikołajów na flamingach na podwórkach to jest coś. Nowy Jork jest wspaniały, gdy pada śnieg, ale słuchaniu „Feliz Navidad" José Feliciano na plaży ma specyficzny smak. Jedną rzeczą, która naprawdę mi nie pasuje do Miami, jest Glühwein, czyli grzane wino".

Uśmiechnęli się leniwie, po czym jeden w nanosekundzie wykręcił mi ręce i skuł w kajdanki. Te pączki, które są legendarna dietą funkcjonariuszy NYPD, muszą jednak iść w mięśnie

Jak się przygotowują do świąt? „Razem ozdabiamy choinkę i tyle. Oli jest za mała, żeby wypić kapkę szampana z nami, ale kiedyś zamierzam dołączyć ten pyszny szczegół, który moi rodzice wpoili mi, gdy sama byłam mała".

Muszę mieć wypisane na twarzy coś w rodzaju „skromnie, jak na trzy tak różne kultury", bo Astrid spieszy z opowieścią. „Mamy znajomych z różnych kultur, więc z przyjaciółmi, którzy nie jedzą typowych dań świątecznych, wymyślamy nietypowe menu na każde z trzech świąt.

Ale jeśli idzie o tradycję taką stricte, to przestałam się przejmować szopkami i modlitwami, po prostu nie ma ich w naszym życiu tutaj. Moi niemiecko-kolumbijscy rodzice są bardzo mili, ciekawią ich nasze improwizacje i starają się opowiadać Oli o typowo północnoniemieckich świętach. Ale nasze najlepsze Boże Narodzenie spędziliśmy z nimi wtedy, gdy przypadkowo podpaliliśmy wieniec adwentowy w ich salonie w Hamburgu. I gdy puszczaliśmy kolumbijskie hity w plażowym miasteczku Delray Beach na Florydzie".

●

Miami od Long Island, półwyspu bogaczy niedaleko Nowego Jorku, dzielą 2144 kilometry. To dystans z Polski do Tunezji. I taka sama różnica, jeśli chodzi o klimat. Przyleciałem z Miami przed tygodniem i wciąż nie mogę się przyzwyczaić do mrozu. Parkujemy auto w dzielnicy willowej Long Island, przed domem oświetlonym czerwonymi i zielonymi światłami. Tu mieszkają znajomi, z którymi Magda spotyka się raz do roku – w święta.

W ich nowym domu jesteśmy po raz pierwszy, ale doroczne spotkania na śpiewanie kolęd łączą to samo grono kolędników od lat. Łączą tak bardzo, że wszyscy uznają je za jedną z ważniejszych rzeczy, które stracili w pandemii. Podobne wieczory wcześniej odbywały się w ciasnych mieszkaniach na Brooklynie. Ale gromadka dzieci tak się rozrosła, że dziś nie zmieścilibyśmy się wszyscy.

Nasza Stefcia, tutaj urodzona, która jako nastolatka unika wychodzenia z rodzicami, autentycznie żałuje, że nie może z nami jechać na kolędy. Gdyby nie grała w szkolnym musicalu, byłaby tu z nami i swoim klarnetem. Śpiewanie kolęd jest jak portal, który wszystkich przenosi do najlepszych czasów z dzieciństwa. No i – banał, ale jaki prawdziwy – jest okazją, żeby poczuć się częścią wspólnoty. Ci, którzy są w Nowym Jorku bez rodziny, jeszcze bardziej doceniają przyjaźnie. Choć rozłąka to minus emigracji, to jednocześnie jej plus – spotkania świąteczne bez ciężkich rodzinnych tematów.

Z kuchni wjeżdżają polskie przysmaki ze smalcem i śledziami na czele. Plus grzane wino, które nawet do śledzia pasuje tutaj o niebo lepiej niż na Florydzie. Pianistka za fortepianem nadaje tempo. Całością dyryguje kolega, który kiedy nie śpiewa kolęd, zarządza projektami kolejowymi dla Departamentu Transportu. Panuje dyscyplina, nie ma obijania się – kto się nie udziela, nie zostanie zaproszony w przyszłym roku.

Śpiewamy „Bóg się rodzi" tak głośno, że moc truchleje i pewnie sąsiedzi też. Dla amerykańskich partnerów robimy rundę angielskich kolęd, których rytm i melodie różnią się od naszych, a stare angielskie słowa kojarzą się z „Opowieścią wigilijną" Dickensa. Rozchodzimy się, obiecując sobie kolejne spotkanie na wielkanocne malowanie jajek.

●

Wczoraj z Magdą i ze Stefcią poszliśmy kupić choinkę. Wychodząc z budynku, minęliśmy ludzi ubranych w czapki Mikołaja stojących przed drzwiami i życzących wszystkim wesołych świąt – to nasi woźni. Amerykański zwyczaj dawania sutych napiwków na koniec roku sprawia, że przez cały grudzień blok lśni czystością, a personel stara się wpadać nam w oczy na każdym kroku.

Jest w Nowym Jorku tradycja kupowania choinek na ulicy – bezpośrednio od drwali. Kiedyś przyjeżdżali tutaj z Kanady, opierali drzewka o ściany i koczowali przez miesiąc, dopóki nie sprzedali wszystkich. Nasz drwal nie jest większy od najniższego drzewka, ma wielkie okulary i jest kobietą. Drzewka przyjechały do nas z Karoliny Północnej, a drwalka z Missouri. Drzewa ścięto zaraz przed Świętem Dziękczynienia, żeby były jak najświeższe. Ostatnie sprzedają się jeszcze w Boże Narodzenie.

Bierzemy ze Stefcią drzewo pod pachę i idziemy do domu. Magda wiesza na nich stare bombki, ale też Berniego Sandersa, wiekowego senatora socjalistę, ulubieńca progresywnej młodzieży, wiecznego „tego trzeciego" w prawyborach u Demokratów, uwiecznionego w pozie znanej z memów, w dzierganych włóczkowych rękawicach na inauguracji Joego Bidena. Oraz człowieka w kombinezonie ochronnym, pamiątkę z pandemii. Amerykanie chętnie wieszają na drzewkach celebrytów albo gadżety związane z ostatnimi wydarzeniami, które potem latami powracają na choinkę jak wspomnienie z Facebooka.

Nasze święta spędzamy zazwyczaj u rodziny w górach na pograniczu stanu Nowy Jork i Pensylwanii. Spotykamy się w domu z salonem, idealnym na tego typu okazje – mało gdzie widziałem tak wysoki sufit. Śpiewamy kolędy (choć nie na takim poziomie jak na Long Island), jemy, gramy w gry i oglądamy filmy. Magda rekwiruje kominek i pali w nim nieustannie – jak palacz z „Misia". Pod okna podchodzą stada saren, przed wyjściem z psem na spacer sprawdzamy, czy aby niedźwiedź się nie obudził. Święta są katolickie, ale dalekie od tradycyjnych, są wśród nas Rumuni, agnostycy i weganie. Jedna z tych grup – zgadnijcie która – doprowadza obie babcie do szału.

Wigilia na Greenpoincie byłaby samotna, gdyby nie żydowski przyjaciel i Miles Davis

Kiedy przeprowadziłem się do Nowego Jorku, zdarzyła mi się samotna Wigilia w mieszkaniu na Upper West Side, niedaleko Central Parku. Byłem wtedy tak przepracowany, że nawet cieszyłem się na myśl o dosłownej cichej nocy. Pojechałem na Greenpoint i kupiłem polskie potrawy, zadzwoniłem do rodziców i rodzeństwa.

Ale kiedy zapadła ciemność, nagle zrobiło mi się niesłychanie smutno. Lecz nawet nie zdążyłem zacząć użalać się nad sobą, kiedy ktoś zapukał. To nie był nieznajomy podróżnik, tylko mój przyjaciel Michael – ten, który z miłości przeszedł na judaizm. Pomyślał, że może mi być przykro, więc przyszedł. Akurat był szabas, więc nie mógł wziąć Ubera i musiał przejść przez 50 ulic, prawie 5 kilometrów. „Ale lepsze to niż jedzenie w chińskiej restauracji" – skwitował. Choć kiedy zauważył na stole barszcz z uszkami, stwierdził: „A jednak nie. Wracam do siebie".

Zapaliliśmy ziółka, które przyniósł w prezencie, i po długiej chwili gapienia się w kaloryfer stwierdziliśmy, że musimy gdzieś wyjść. Okazało się, że jazzowy klub Smoke był otwarty i akurat grał improwizowany koncert. Gwiazdkowe niespodzianki były nie dwie, lecz trzy – bo solistą okazał się 90-letni perkusista Jimmy Cobb – ostatni żyjący muzyk z sekstetu, który nagrał płytę Milesa Davisa „Kind of Blue".

Tę, która zmieniła moje życie, kiedy byłem nastolatkiem w Rzeszowie. Po wypożyczeniu tej kasety z Biblioteki Muzycznej stałem się inną osobą. W życiu nie pomyślałbym, że spotkam któregoś z tytanów, którzy ją nagrali, nie wspominając o słuchaniu ich na żywo. To był mój mały bożonarodzeniowy cud.

To byłaby dobra puenta i mój redaktor prawie ją przepchnął, ale uparłem się przy pierwotnej, mojej. Przyjmuję argument, że brzmi jak z ckliwej komedii gwiazdkowej, z poradnika dobrego życia albo z przeboju christmasowego, ale banały dlatego są banałami, że kryją się w nich głębokie prawdy. Więc słucham z uwagą, co mówi mi Nicole.

„Najważniejszą rzeczą w świętach jest znalezienie tej głównej idei i zaadoptowanie jej do potrzeb twoich i twoich bliskich. Wtedy nigdzie nie będziesz czuć się wykluczony.

W naszych nowojorskich trójświętach chodzi o znalezienie sposobu, aby uczynić te parę dni ważnymi dla wszystkich". ●

FOT. KUBA WINIARSKI

Alek Korab

• przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Urodził się w Rzeszowie, współtworzył polski dziennik „Metropol", był redaktorem naczelnym „Metra" – jednej z największych gazet codziennych w USA – kierując jej redakcjami w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach (m.in. w Hiszpanii, Szwecji, Czechach, Francji, Brazylii, Chile), współpracując m.in. z Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku z partnerką Magdą, córką Stefanią i suczką Prymuską. W tym roku po otrzymaniu amerykańskiego obywatelstwa wraz z Magdą po raz pierwszy brał udział w wyborach prezydenckich.

• O Polakach w Ameryce Ewa Winnicka opowiada w książkach **„Greenpoint" i „Miasteczko Panna Maria".** Dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

2004

• **Kobiety szły do kuchni, mężczyźni polowali na choinki. Ta się Jerzemu Chojnickiemu bardzo udała. Od 1997 roku w Jerzego wciela się Andrzej Grabarczyk**

FOT. TVP

U Lubiczów PO „ŚLEDZIKU”

Chirurga przerasta rozwałkowanie ciasta na pierogi, a willa na Sadybie zasysa niczym czarna dziura. Jak zmieniały się święta w „Klanie”, najdłuższej polskiej telenoweli?

Emilia Dłużewska

„Życie, życie jest nowelą” – trudno policzyć, ile godzin życia spędził przeciętny Polak na słuchaniu Ryszarda Rynkowskiego nucącego słowa Jacka Cygana do muzyki Krzesimira Dębskiego (w kategorii „najbardziej polskie trio” ten skład biją chyba tylko Mickiewicz, Słowacki i paryski bruk). Wiadomo, że było ich wiele.

Telenowela wymyślona przez Wojciecha Niżyńskiego i Ilonę Łepkowską nadawana jest od 1997 r. W momencie pisania tego tekstu liczy 4415 odcinków, do momentu publikacji przybędzie kilkadziesiąt. Można śmiać się z nieprawdopodobnych zwrotów akcji, nawoływania do mycia rączek i skomplikowanych relacji uczuciowo-erotycznych, ale nie można odmówić „Klanowi” jednego: jest unikatowym zapisem zmieniającej się Polski.

Przy całej kuriozalności fabuły obyczajowe tło jest warte uwagi. Twórcy „Klanu” od początku starali się wiernie oddawać polskie realia. To realia specyficznej grupy – Lubiczowie mieszkają w Warszawie, są zdecydowanie zamożniejsi od przeciętnego Polaka, mają inteligenckie tradycje i prowadzą dobrze prosperujące biznesy, a w ich domach panuje godny podziwu porządek. Widzowie kupili tę rzeczywistość.

I to masowo. W szczytowym momencie „Klan” oglądało ponad 7 mln Polaków, dopiero w 2021 r. średnia oglądalność sezonu spadła poniżej miliona. Lubiczowie towarzyszyli Polakom na przełomie mileniów, przy wejściu do Unii Europejskiej, podczas pandemii koronawirusa. I co roku przy świątecznym stole.

Lobby maszynkowe w natarciu

Specjalne świąteczne odcinki to specjalność brytyjskich i amerykańskich seriali. Dla ich twórców to okazja, by zwolnić akcję, nie wprowadzać nowych wątków, a zamiast tego pokazać fanom ich ulubionych bohaterów w domowych pieleszach od nieco innej strony: Buffy, pogromczyni wampirów, stroi choinkę, dr Who przełamuje czwartą ścianę i składa życzenia widzom. Niekiedy scenarzyści traktują typowe wątki świąteczne bardziej ironicznie – w serialu „South Park” bohaterowie przypadkiem pomagają narodzić się Antychrystowi; w „Archiwum X” Mulder i Scully nieomal padają ofiarą pary duchów, które więżą ich w nawiedzonym domu (ale i tak na koniec wymieniają się prezentami).

W przypadku telenowel sprawa jest prostsza. Akcja „Klanu” i tak toczy się niespiesznie, z reguły w domach. Tym trudniej wyobrazić sobie, by świątecznych wątków w niej zabrakło. Przez wiele lat wielopokoleniowa rodzina Lubiczów spotyka się przy stole – na ogół w willi na Sadybie.

Pierwsze święta w „Klanie” można zobaczyć w odcinku 40. Zaczynają się zaskakująco burzliwie: od „drapaka”, którego przynosi do willi Jerzy Chojnicki. Małżonek Elżbiety, z domu Lubicz, zjawia się w domu nie tylko spóźniony i z wybitnie brzydką choinką, ale w dodatku pijany po firmowym „śledziku”. Kiedy próbuje pomóc wściekłej żonie, strąca ze stołu miskę z mięsem na pasztet, które właśnie ma zostać przemielone po raz trzeci.

Frustrację Elżbiety pogłębia to, że kupno choinki było jedynym zadaniem, jakie miał do wykonania jej mąż. Przez lata było to w „Klanie” regułą: choć wszystkie dorosłe bohaterki serialu pracowały zawodowo, to na nich spoczywał ciężar przygotowania świąt. Z niewielką pomocą dzieci siekały, mieszały, piekły i mełły – koniecznie ręczną maszynką, gdyż – jak tłumaczyły – „elektryczna miażdży, a nie mieli”.

Czy twórcy „Klanu” działali w interesie lobby nakręcającego sprzedaż tradycyjnych maszynek? Raczej nie, te, których używają bohaterki, na oko liczą sobie kilkadziesiąt lat i posłużą drugie tyle. Ale kuchenne zmagania Elżbiety dobrze oddają ówczesne realia.

Doktor na spacer, doktorka do kuchni

„W polskich rodzinach dominuje tradycyjny podział ról przy wykonywaniu obowiązków domowych. Kobiety dźwigają ciężar zdecydowanej większości prac, tylko w nielicznych są w dużym stopniu wyręczane, w innych zaś wspomagane, głównie przez mężów. Dzieci pomagają przede wszystkim w pracach lżejszych, mniej odpowiedzialnych” – pisali autorzy raportu CBOS z 1997 r. Uczestniczki badania pytane o to, kto w rodzinie odpowiada za przygotowanie posiłków, odpowiadały, że głównie one

eprasa.pl 7f7b52c9e4

(92 proc.). Mężowie podejmowali się tego zadania w domach zaledwie 18 proc. respondentek.

Kobiety nie tylko o wiele częściej gotowały, sprzątały, prały czy robiły zakupy, ale też odrabiały z dziećmi zadania domowe (robiło to 79 proc. respondentek i 33 proc. ich mężów); załatwiały sprawy urzędowe (odpowiednio 63 proc. i 47 proc.), a nawet nosiły wodę (63 proc. do 34). Mężowie chętniej podejmowali się tylko zlecania usług do wykonania (44 proc. kobiet i 53 proc. mężczyzn) oraz przygotowywania opału (30 proc. kobiet i 60 proc. mężczyzn).

Badanie CBOS-u przeprowadzone zostało rzecz jasna na dużo bardziej różnorodnej grupie niż warszawianki z klasy średniej – bohaterki „Klanu" wodę noszą co najwyżej w szklance. W serialu widać jednak ciekawą zależność wskazywaną przez autorów raportu: najbardziej osamotnione w wykonywaniu obowiązków domowych były kobiety najlepiej wykształcone i sytuowane, którym dużo rzadziej pomagały dzieci.

Tak jest i w „Klanie". Nie tylko w rodzinie Chojnickich, ale także u mniej tradycyjnego doktorostwa Lubiczów. Paweł Lubicz jest niewątpliwie człowiekiem zaradnym – chirurgiem i właścicielem popularnej prywatnej kliniki, ale jeszcze na początku lat dwutysięcznych przerasta go rozwałkowanie ciasta na pierogi. W Wigilię woli ubrać choinkę albo zabrać młodszą córkę Olę na podziwianie świątecznych iluminacji w centrum Warszawy, podczas gdy jego żona, tłumaczka i wykładowczyni z tytułem doktorskim, pichci świąteczne potrawy.

Papier toaletowy vs skandynawska jodła

Bardziej nowoczesne podejście do świąt reprezentuje starsza córka Lubiczów – nastoletnia Agnieszka. W pierwszym odcinku nie tylko nie krząta się po kuchni, ale w dodatku oprotestowuje ubieranie choinki, tłumacząc, że nie ma sensu w imię tradycji ścinać żywego drzewka. W swoim pokoju ustawia „choinkę ekologiczną" – konstrukcję z patyków ozdobioną prawdziwymi jabłkami i kokardkami z papieru toaletowego.

Mniej ekologiczne, za to bardziej reprezentatywne drzewko kupuje Rysiek. Najmłodszy i najgorzej sytuowany z rodzeństwa Lubiczów, który przynosi do domu choinkę plastikową. W „Klanie" nie cieszą się one popularnością, w rzeczywistości, jak pokazują badania CBOS, od lat 90. do dziś to właśnie je wybiera większość Polaków. Na takie odstępstwo od tradycji scenarzyści są w stanie pójść. Złośliwiej traktowali choinkowe mody – skandynawską jodłą chwali się nowobogacka Surmaczowa.

W 1997 r. ekologiczny argument Agnieszki mógł się wydawać komiczny, dziś podnoszą go nie tylko zbuntowane nastolatki. W dobie kryzysu klimatycznego pytanie, jak kultywować tradycję, by najmniej zaszkodzić środowisku, staje się coraz powszechniejsze. I choć mało kto decyduje się na ekologiczną choinkę à la Agnieszka Lubicz (choć są i tacy), coraz popularniejsze są drzewka w donicach, które, o ile odpowiednio o nie zadbamy, można na wiosnę ponownie zasadzić. „Może dożyjemy czasów, kiedy znikną cięte drzewa dokładnie tak jak jednorazowe przedmioty, bezmyślne marnotrawstwo zasobów naturalnych" – pisał na naszych łamach w 2020 r. Stanisław Łubieński.

Do „Klanu" ta zmiana dotarła częściowo. Kiedy w 2022 r. telewizja wyemitowała „Wigilię z Lubiczami" – specjalny odcinek, w którym aktorzy wychodzą z ról i wspominają 25 lat pracy w serialu, grający Pawła Lubicza Tomasz Stockinger i prowadzący program dziennikarz TVP Tomasz Wolny wmaszerowali na plan z pokaźnym ciętym świerkiem. Ale już rok później, gdy jeden z bohaterów narzekał na ciężką choinkę, drugi tłumaczył: – W donicy jest dobrze, naleje się wody i drzewko będzie dłużej stało. A potem przesadzimy je do ogródka.

Baniak barszczu i ciocia z Kazachstanu

Zmieniło się również podejście do gotowania. W XXI w. bohaterowie „Klanu" zaczęli powoli wchodzić do kuchni, choć nie na takich samych zasadach jak ich małżonki i partnerki. Podobnie jak prawdziwi mężczyźni: badanie przeprowadzone przez CBOS w 2018 r. pokazuje, że od 2004 r. zmalała liczba gospodarstw domowych, w których posiłki przygotowywała wyłącznie kobieta (z 76 proc. do 65 proc.), a wzrosła tych, w których partnerzy gotują na zmianę lub razem (z 18 proc. do 30 proc.).

Zmiana dotyczy nie tylko młodszych pokoleń – były chłopak Oli na święta obdarowuje ją własnoręcznie ugotowanym barszczem w pięciolitrowym baniaku – ale i postaci, zdawałoby się, niereformowalnych. Jerzy Chojnicki w 2002 r. zjawia się w kuchni tylko po to, by podjadać, ale już sześć lat później pani Stanisława, repatriantka z Kazachstanu, stawia na stole „kapustkę z grzybami, co ją Jurek robi najlepiej w całej Polsce".

Trudno powiedzieć, czy ta cudowna przemiana związana jest z przemianą bohatera, emancypacją polskich kobiet czy to bardzo spóźniona reakcja na fakt, że grający Jerzego Andrzej Grabarczyk od lat 90. występował w reklamach jako sympatyczny kucharz. Choć biorąc pod uwagę, że polecał w nich zupki i sosy w proszku, może bardziej wiarygodny był jako kuchenny abnegat.

Postać pani Stanisławy po raz pierwszy pojawia się właśnie w odcinku świątecznym, w 1999 r. – senior rodu Władysław Lubicz zaprasza mieszkającą w Kazachstanie Polkę w odpowiedzi na apel Polskiej Akcji Humanitarnej. Przyjazd pani Stanisławy to jeden z przykładów prawdziwych akcji społecznych promowanych w „Klanie". PAH od 1994 r. wysyłała pomoc humanitarną dla Polaków w Kazachstanie, m.in. świąteczne paczki, a w 1995 r. zorganizowała pierwszą „pielgrzymkę Polaków z Kazachstanu": osiemdziesięcioro seniorów przyjechało spędzić Wigilię z polskimi rodzinami.

Polska Akcja Humanitarna koordynowała świąteczne wyjazdy przez kolejne pięć lat, do czasu wejścia w życie ustawy o repatriacji, która ułatwiała deportowanym i ich potomkom osiedlanie się w Polsce. I choć do jej uchwalenia przyczyniło się wiele osób, to postać repatriantki, która została na Sadybie i szybko zaczęła być tytułowana „ciocią Stasią", niewątpliwie pomogła budować sympatię do rodaków z Kazachstanu – zwłaszcza że „Klan" oglądało wtedy 7 mln Polaków.

FOT. ARTUR RADZKO, JULIAN SZCZERKOWSKI/TVP

2006

• W „Klanie" nie ma Wigilii bez śpiewania kolęd... W środku nestor rodziny Władysław Lubicz (od 1997 r. aż do śmierci w 2007 r. grał go Zygmunt Kęstowicz), z lewej jego córka Elżbieta Chojnicka (Barbara Bursztynowicz), przy stole wnuczka Beata Borecka (Dorota Naruszewicz) mężem Jackiem (Tomasz Bednarek) a z tyłu zięć Jerzy

FOT. SŁAWOMIR MROZEK/W-IMPACT TVP

2015

• ...choć zdarzały się narzekania, że scenarzyści uparli się na „niemiecką" „Cichą noc".

Klątwa domu na Sadybie

Bohaterowie „Klanu" zdają się ucieleśniać tradycyjne polskie powiedzenie: najważniejsze, żebyśmy byli razem. Nawet jeśli wbrew swojej woli. I nie chodzi tu tylko o powracające wraz z rozrastaniem się rodziny spory o to, u czyich rodziców najlepiej spędzić wigilię, odzwierciedlające dylemat wielu prawdziwych polskich par (choć podejrzewam, że w prawdziwym życiu częściej pojawia się zdanie: „byle nie u moich"). Ani o to, że przy wigilijnym stole skłócone postaci zapominają o konfliktach i potulnie dzielą się opłatkiem.

Od początku emisji serialu niektóre postaci starają się z tradycyjnego porządku wyłamać: w 1997 r.

Przy całej kuriozalności fabuły obyczajowe tło jest warte uwagi. Lubiczowie towarzyszyli Polakom na przełomie mileniów, przy wejściu do Unii Europejskiej, podczas pandemii koronawirusa. I co roku przy świątecznym stole. W szczytowym momencie „Klan" oglądało ponad

7 mln

Polaków

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

2012

• **Od lat 90. drzewo genealogiczne rodu Lubiczów/Chojnickich rozrastało się i plątało...**

wym stroju, nad półmiskiem ryby w galarecie i miską sałatki jarzynowej.

Bo Wigilię obchodzi się tu uroczyście: bohaterki spieszą się z gotowaniem, by zdążyć do fryzjera i kosmetyczki; w garnitury lub odświętne sukienki wbijają się nawet najmłodsi członkowie rodziny. Święta na modłę anglosaską: na luzie, w ciepłych swetrach albo – nie daj Boże! – w dresach są równie nieprawdopodobne, co lądowanie kosmitów. Nawet gdy Ola, jedyna bodaj osoba, której udaje się przełamać wigilijną klątwę Lubiczów, wyjeżdża w góry z przyjaciółką Ulą, urwane spod rodzicielskiej pie-

się nad prezentem dla ojca, biorą pod uwagę koszulę i skarpetki, bilety na mecz piłkarski, bilet do teatru albo książkę – i choć koszt poszczególnych prezentów jest różny, bohaterki nie zwracają na to uwagi. Podobnie jak ich młodszy brat, nastoletni Paweł, który zastanawia się, czy kupić dziewczynie: „jakiś ciuch czy perfumy".

Ostatecznie pada na „książkę tegorocznego noblisty", którą kupują doktorowi również partnerka Wiga i syn Piotr. Tytułu nie podają, ale gdyby ktoś pragnął pójść w ślady Lubiczów, informuję: Nobla w 2023 r. dostał norweski pisarz Jon Fosse,

FOT. KUBA WINIARSKI/TVP

FOT. JAN BOGACZ/TVP

a po polsku dostępna była wówczas tylko jedna jego książka – „Drugie imię" w przekładzie Iwony Zimnickiej wydane przez ArtRage.

Patchwork? Nie ma sprawy

Jeśli jest w „Klanie" coś, co wyłamuje się z konserwatywnego porządku, to jest to, o dziwo, samo pojęcie rodziny. Lubiczowie to prawdopodobnie największa w Polsce wspólnota poliamoryczna. Bohaterowie schodzą się, rozchodzą, wchodzą w nowe związki i wychowują dzieci z poprzednich. A scenarzyści – być może z niechęci do mnożenia bytów – chętnie podsuwają im postaci już istniejące.

I tak (proszę zapiąć pasy) Jacek Borecki wiąże się najpierw z córką Jerzego i Elżbiety, Beatą; później z Karoliną Rafalską, córką kochanka Beaty i przyrodnią siostrą swojego przybranego syna; wreszcie z Agatą, byłą żoną Daniela, kuzyna Beaty. Z kolei Piotr Rafalski, pierwszy ekranowy partner Beaty i ojciec jej dziecka, schodzi się z nią i rozchodzi trzykrotnie, po drodze wiążąc się m.in. z Barbarą i Donatą, które były też kochankami Jacka, oraz podkochując się w ciotce Beaty, Dorocie. Ola Lubicz dzieli byłego chłopaka z Kamilą Chojnicką, przyrodnią siostrą Jerzego; Agnieszka Lubicz zaręcza się ze Stiepanem, dawną miłością swojej matki, a następnie ma romans z synem Stiepana, Mikołajem. I tak dalej.

Jak na tak patchworkową grupę wigilie przebiegają zadziwiająco harmonijnie. A magia Lubiczów działa też na innych. W 2858. odcinku „Klanu" Olę Lubicz pracującą jako kuratorka sądowa odwiedza w biurze jedna z jej podopiecznych, Sławka. Skarży się, że mama zaprosiła ją na wigilię bez partnerki. Ola odwiedza sklep matki Sławki. Pod pozorem kupowania bezcukrowych ciastek – bo do „Klanu" dotarły i wegetarianizm, i różne restrykcje dietetyczne, a bohaterowie zaczęli zamawiać pierogi z cateringu – spokojnie tłumaczy jej, że córka wiążąca się z kobietą to żaden wstyd. A ta daje się przekonać.

Ten odcinek TVP wyemitowała w 2015 r., wciąż jest dostępny na VOD. Może powinni wrócić do niego polscy politycy. Bo jeśli jednopłciowe pary są w stanie zaakceptować bohaterowie „Klanu", to można śmiało założyć, że Polacy są na nie gotowi. ●

Beata, córka Jerzego i Elżbiety, zamierza spędzić święta nie z rodzicami, ale z partnerem; rok później Agnieszka Lubicz ma już kupiony bilet do Paryża; były mąż Beaty, Jacek, jedzie już z nową partnerką w góry; za każdym razem wydarza się coś, co ich plany krzyżuje i zatrzymuje ich w Warszawie. Obecność na wigilii jest ewidentnie obowiązkowa.

I nie zmienia się to do samego końca, choć z czasem twórcy „Klanu" zrezygnowali z odcinków świątecznych, ograniczając się do pokazania przygotowań przed Wigilią. W 2023 r. emancypacyjny zryw ma Kaja, partnerka syna Moniki. Gdy dowiaduje się, że święta odbędą się u wuja, którego Daniel nie lubi, deklaruje: jeśli nie chcesz, nie musimy tam jechać. Szybko jednak i ona zmienia zdanie – gdy dowiaduje się, że Paweł Lubicz jest właścicielem kliniki medycyny estetycznej. Kaja, bizneswoman z zadatkiem na czarny charakter („nie piekę, nie gotuję ani nie sprzątam" – deklaruje), marzy o bowiem o powiększeniu ust.

O tym, by wigilijny wieczór spędzić, odpoczywając w domu, mowy być nie może. W uniwersum „Klanu" nie ma tragedii gorszej niż samotne święta. Choć to tragedia potencjalna: jeśli którejś z postaci to grozi, do ich drzwi niezawodnie zapuka niezapowiedziany gość. I niezawodnie zastanie ich w galo-

czy nastolatki wieczorem nie otwierają wina, lecz patrzą na pierwszą gwiazdkę i śpiewają kolędę.

Noblista pod choinką

Bycie razem z pewnością jest ważniejsze niż prezenty. Do dóbr materialnych scenarzyści „Klanu" zdają się mieć podejście ambiwalentne: co prawda widzimy bohaterów objuczonych pudełkami i torbami, ale rozpakowywane są z reguły już poza kadrem. W pierwszych sezonach serialu królują drobiazgi: skarpety, krawat czy budzik.

I nic dziwnego. Z badania CBOS wynika, że w 1997 r. przeciętny Polak zamierzał wydać na wszystkie prezenty 173 zł. Jeszcze w 2004 r. większość ankietowanych (62 proc.) chciała zmieścić się w kwocie 200 zł – przy czym połowa (50 proc.) zamierzała kupić za to prezenty dla przynajmniej czterech osób.

W „Klanie" pojawiają się niekiedy prezenty droższe: jeszcze w 2002 r. jedno z dzieci dostaje pod choinkę aparat cyfrowy; w 2013 r. bohaterki zostają obdarowane biżuterią. Być może to kwestia generalnego bogacenia się polskiego społeczeństwa. W 1998 r. pracujący jako taksówkarz Rysiek z wdzięcznością przyjmuje wigilijny kurs do Kielc. „Każdy by taki chciał, a prezes wybrał mnie" – tłumaczy żonie. W odcinku z 2023 r. Ola i Agnieszka, zastanawiając

2022

• **...niekiedy pochłaniając osoby postronne. Julia (w środku), córka Małgorzaty Ostrowskiej-Królikowskiej czyli Grażynki Lubicz (obok), grała w „Klanie" od niemowlęctwa. Została lekarką. Tak jak dr Paweł Lubicz, którego od początku gra Tomasz Stockinger (pierwszy z lewej)**

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Pierogi FOREVER!

Smażenie świeżo ugotowanych pierogów rani nasze serca, ale musieliśmy się ugiąć – mówi założyciel Pierogi Boys w Nowym Jorku.

Małgorzata Muraszko

Brooklyn. Wchodzę do centrum handlowego, schodami zjeżdżam do DeKalb Market Hall. Gwar rozmów i muzyki miesza się z odgłosami krojenia i smażenia.

Wzrokiem wyłapuję neonowy szyld „Pierogi, piwo, wino". Siadam przy barze. W wazonikach bazie i pszenica, nad głową tęczowa flaga.

W menu pierogi gotowane lub smażone: z ziemniakami i serem (czyli ruskie), z kapustą i grzybami, z mięsem. Ponadto barszcz i ogórkowa, mizeria, buraczki i polska kiełbasa serwowana z pierogami. Do picia wino i polskie piwa.

Wybieram ruskie gotowane – najbardziej polskie i klasyczne. Zamówienia przyjmuje wyluzowany Josh. Wszystkie miejsca wokół mnie są zajęte. Słyszę polski, angielski, hiszpański. Goście zamawiają pierogi na miejscu i na wynos. Siedzące obok mieszkające w Nowym Jorku Polki zastanawiają się nad przyprawą, którą wyczuły w pierogach z kapustą i grzybami – znają ten smak, ale nie potrafią nazwać przyprawy.

W moich pierogach ciasto jest smaczne, choć nieco grubsze niż to, które znam z domu. Farsz mocno pieprzny, dobrze ubity. Czuć i twaróg, i ziemniaki.

– Wszystko okej? Smakuje ci? – dopytuje Josh. Kiwam głową. Josh odwzajemnia uśmiech: – Świetnie, bardzo się cieszę!

Gdy mówię to Krzysztofowi Poluchowiczowi i Andrzejowi Kińczykowi, oddychają z ulgą. – To przepis mojej babci – mówi Andrzej, połowa Pierogi Boys. – Polacy są surowymi krytykami, bo każdy zna inne pierogi.

– Polaków trudno zadowolić. Szczególnie tych, którzy od lat mieszkają w Ameryce i smak polskich pierogów to dla nich rozmyte wspomnienie. Oni są najbardziej wymagający – dodaje Krzysiek.

CI POLACY OD PIEROGÓW

W Nowym Jorku mieszkają od 20 lat. Od 15 w tym samym mieszkaniu na Ridgewood, dzielnicy w hrabstwie Queens, która sąsiaduje z Brooklynem. Umawiamy się na kawę i spacer na dolnym Manhattanie, blisko Wall Street.

– Gdy przyjechaliśmy do Nowego Jorku, nie chcieliśmy mieszkać w największym skupisku Polaków, czyli na Greenpoincie. Na Ridgewood też było sporo Polaków, ale jednak mniej. Było kilka polskich sklepów i dużo spokoju. To była najnudniejsza okolica z możliwych – śmieje się Andrzej.

– To piękna i historyczna dzielnica. Dużo tu starych kamienic, w tym najstarszy w Nowym Jorku zachowany holenderski budynek kolonialny z XVIII w. – dodaje Krzysiek. – Ale poza tymi pięknymi kamienicami nic tutaj nie było. Restauracje można było policzyć na palcach jednej ręki.

Kilka lat temu dzielnica zaczęła się zmieniać. Krzysiek: – Pojawiły się małe kawiarenki, później się okazało, że ludzie poszukują miejsca, żeby się spotkać, popracować bez konieczności jechania na Manhattan. Ridgewood ożyło, a rynek zwęszył okazję. Zaczęły się otwierać nowe miejsca, restauracje, bary, kawiarnie.

Andrzej z Krzyśkiem niedługo otwierają tu drugi punkt Pierogi Boys.

Do Stanów przyjechali po studiach, tylko na wakacje. – To był Nowy Jork jak z filmów i telewizji „Seksu w Wielkim Mieście", wielki i pełen możliwości – mówi Andrzej.

Zachwycił ich. – Pracowaliśmy w restauracjach, mieliśmy swoje pieniądze i mogliśmy je wydawać na koncerty takich gwiazd, o których w Polsce mogliśmy pomarzyć. Wychodziliśmy z domu rano, wracaliśmy w nocy, ciągle coś się działo: kino, teatr, muzea, koncerty, imprezy – mówi Krzysiek.

Krzysztof Poluchowicz i Andrzej Kińczyk w pierwszym lokalu Pierogi Boys na Brooklynie. Obecnie szykują się do otwarcia drugiego punktu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Krzysiek później zajął się zawodowo projektowaniem, przez dziesięć lat pracował dla wydawcy albumów o sztuce i fotografii, a Andrzej zaczął prowadzić niewielki sklep, który sprzedawał sery, warzywa ekologiczne i inne produkty rzemieślniczych wytwórców. Został menedżerem. Później objął podobne stanowisko w dużo większym, połączonym z restauracją, sklepie Foragers Market z lokalizacjami na Manhattanie i Brooklynie.

– Wtedy wydarzyło się coś dziwnego – mówi Krzysiek.

PIEROGOWE IMPREZY NA RIDGEWOOD

– Właścicielka sklepu, w którym pracował Andrzej, wiedziała, że robimy ze znajomymi pierogowe imprezy, pierogi party. To znajomi mówili na nas „Pierogi Boys". Robiliśmy ciasto, farsze, a że pierogów nie da się zrobić mało, to zapraszaliśmy do wspólnej zabawy znajomych. Trochę jak na święta. To przy okazji była fajna zabawa, relaksująca i łącząca wszystkich – opowiada Krzysiek.

Pierogi robili sami, bo te z restauracji i sklepów im nie smakowały.

Ze wzburzeniem opowiadają o mrożonych pierogach popularnej w Ameryce marki Mrs. T's. Można je znaleźć w każdym sklepie. – Są najgorsze. Poza kształtem nie mają dużo wspólnego z polskim daniem. To pierogi do odgrzania na szybko, gdy w lodówce nie ma niczego innego albo gdy wraca się późno z imprezy. Ale jest ich dużo, są robione masowo i są tanie. Idę o zakład, że większość Amerykanów zna te pierogi i myśli, że właśnie tak one powinny smakować – mówi Krzysiek.

Andrzej: – Więc jak ktoś się nas pytał, gdzie pójść na pierogi w Nowym Jorku, to mówiliśmy: do nas!

– A właścicielka sklepu Andrzeja miała do niego tyle zaufania, że zaproponowała nam – w ciemno! – nie próbując nawet naszych pierogów, żebyśmy otworzyli swój punkt w foodhallu, który tworzyła na Brooklynie. To miało być to miejsce, które zbiera nowe, świeże, niekorporacyjne i małe rodzinne biznesy – mówi Krzysiek. – Weszliśmy w to.

NIC NIE PRZEBIJE TYCH PIEROGÓW

Propozycja padła w roku 2016, swój punkt otworzyli kilka miesięcy później, w 2017. Poza Pierogi Boys w DeKalb Market Hall na Brooklynie działa drugi punkt kultowych Katz's Delicatessen, specjalizująca się w kuchni hawajskiej Wiki Wiki, Moritz z niemiecko-austriacką kuchnią, chińskie Hana Noodles, Fat Fowl z kuchnią karaibską czy El Punto Cubano z „autentyczną kuchnią kubańską dla każdego".

Krzysiek z Andrzejem wiedzieli, jak funkcjonują restauracje i jak nimi zarządzać, ale nie tworzyli knajpy od zera. A przede wszystkim – nie robili tak dużej, komercyjnej liczby pierogów. – Opracowanie receptur na znacznie większą produkcję było chyba największym wyzwaniem – mówi Andrzej. – Musieliśmy kupić sprzęt i zorganizować przestrzeń, zaplanować pracę. Wiedzieliśmy, że będzie to małe miejsce i że wszystko będziemy robić na widoku naszych gości. Dlatego menu też musiało być ograniczone.

• W menu Pierogi Boys, poza pierogami z twarogiem i ziemniakami, kapustą i grzybami oraz mięsem, jest także talerz z pierogami ruskimi i polską kiełbasą
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W karcie są najbardziej popularne z polskich pierogów: z twarogiem i ziemniakami, kapustą i grzybami (wegańskie) i z mięsem. Pierogi gotowane podawane są z kwaśną śmietaną (amerykańskie sour cream, które ma 20 proc. tłuszczu), karmelizowaną cebulką i szczypiorkiem. A pierogi smażone – ze śmietaną i szczypiorkiem. Dla tych, którzy chcą spróbować wszystkiego, jest talerz degustacyjny.

– Jedyną rzeczą, którą musieliśmy „zamerykanizować", i zrobiliśmy to dopiero niedawno, to wprowadzenie do karty pierogów smażonych. Amerykanie uwielbiają to, co smażone, i sami o nie dopytywali – tłumaczy Andrzej.

Krzysiek: – Smażenie świeżo ugotowanych pierogów rani nasze serca, ale ugięliśmy się. I te pierogi dobrze schodzą.

O punkcie z pierogami rozpisywały się nowojorskie portale o nowościach gastronomicznych. „Thrillist New York" pisał, że ich punktu „nie można przegapić" i że „nic nie przebije pierogów od Pierogi Boys". „Pierogi są robione na naszych oczach. Nigdy nie jedliście świeższych" – zachwycał się „Eater New York". O pierogach pisały „Time Out New York" i „New York Times".

Kolejka była coraz dłuższa.

PIEROGI PRZEBOJEM NOWEGO JORKU

Zimą rozstawiali się Bryant Park'u, jednym z najchętniej odwiedzanych przez nowojorczyków i turystów parku. – Zimą cały park zmienia się w lodowisko, a dookoła stoją małe budki z jedzeniem. Każdego dnia, od rana do wieczora są tłumy. Otwieraliśmy o godz. 11 i już stała kolejka, która nie malała do zamknięcia o godz. 21 – mówi Andrzej. – Przez dwa lata był to najbardziej intensywny czas w roku. To był najcięższy fizyczny zapieprz.

Sukces ośmielił. Zaczęli szukać większego miejsca w swojej okolicy.

Pierogi Boys na Ridgewood będą niewielką narożnikową restauracją z barem, a w dalszej części lokalu delikatesami z kanapkami i gotowym jedzeniem. Produkty będę skrupulatnie wybierane, ekologiczne. Chcą sprzedawać trochę polskich rzeczy, ale to nie będzie „polski sklep", bo takich – jak mówią Krzysiek z Andrzejem – jest już w Nowym Jorku sporo.

A co będą serwować w restauracji? – Pierogi oczywiście! Ale nie zabraknie innych talerzyków i talerzy, dań mniejszych i większych. Wszystko w polskim klimacie – mówi Andrzej.

Logo na talerze i kubki z Lubiany zaprojektował grafik Michał Loba.

Scenę z balu na transatlantyku płynącym do Ameryki wyrysowała ilustratorka Gosia Herba. To będzie mural wewnątrz restauracji.

Nad stolikami zawisły abażury z kolorowej włóczki studia Rumruk. – A moja rodzina spod Poznania zrobiła dla nas tradycyjne pająki ze słomy i bibuły – mówi Krzysiek.

KTO SIĘ ZNA NA PIEROGACH?

W Pierogi Boys pracują głównie Latynosi. – Podczas naszej nieobecności kuchnią kieruje małżeństwo z Meksyku – Maribel i Teo, którzy są z nami od samego początku, a do których później dołączyła siostra Maribel Reina, która lepi pierogi. Za farsze odpowiada głównie Osbaldo z Gwatemali, a klientów obsługuje Josh – tłumaczy Krzysiek.

– Gdy zaczynaliśmy, pracowaliśmy z samymi Polakami, ale każdy twierdził, że zna się na pierogach najlepiej – to się po prostu nie sprawdziło – mówi Andrzej.

Po 20 latach mieszkania w Nowym Jorku mają już amerykańskie obywatelstwo. Polskę odwiedzają, bo wciąż mieszkają tu ich rodziny, ale nie zamierzają wracać.

– Czas, kiedy codziennie jeździliśmy na Manhattan, dawno minęły – śmieje się Andrzej. – Wszystko, co lubimy, mamy w okolicy. Poza tym po tak długim czasie mieszkania tutaj zrozumieliśmy, że Nowy Jork to nie tylko Manhattan. Queens jest szalenie różnorodną i fascynującą częścią miasta.

Co im się najbardziej podoba w Nowym Jorku?

– Chyba to, że dwóch chłopaków z Polski, którzy wyjechali na chwilę, mogli tu zostać i otworzyć swój mały punkt z pierogami na Brooklynie – mówi Andrzej. – Żyjemy tu od lat i żyje nam się naprawdę dobrze. Jesteśmy tu szczęśliwi.

A co było w pierogach z kapustą, które wprawiły w konsternację siedzące koło mnie Polki?

Andrzej: – Do kapusty dodajemy kumin i kminek, wtedy robi się bardziej kazachsko. I rzeczywiście często goście z Polski wyczuwają, że w tej kapuście jest coś „dziwnego", ale nam to bardzo pasuje. Z kolei do pierogów z twarogiem dodajemy majeranek, tak robiła moja babcia. ●

MAŁGORZATA MURASZKO

Gyoza, kołduny, empanady: mapa najsłynniejszych pierogów świata

217 rodzajów dumplings – rozumianych jako pierogi, kluski i parowańce – wyróżnia Taste Atlas, strona z daniami z całego globu. Pierwsze trzy miejsca na liście najpopularniejszych pierogów zajmują indonezyjskie siomay (rybne pierożki robione na parze), japońskie hamamatsu gyoza (gyozy z nadzieniem z kapusty i wieprzowiny, ułożone w okrąg i usmażone) i chińskie guotie (smażone pierożki z nadzieniem z wieprzowiny, dymki i imbiru).

A nasze polskie pierogi są dopiero na miejscu 12., dwie pozycje wyżej uplasowały się ukraińskie wareniki.

Powszechnie pierogami nazywa się dania, w których farsz zawinięty jest w ciasto. Może być to ciasto makaronowe (jak we Włoszech), drożdżowe, filo, kruche.

Pierogi mogą być przyrządzane na kilka sposobów: gotowane w wodzie, mieć bulion w środku (jak chińskie xiadongbao), mogą być smażone na patelni albo w głębokim tłuszczu, mogą być pieczone albo robione na parze (chińskie baozi), serwowane jako oddzielne danie lub w bulionach (np. kreplachy).

Z CHIN DO EUROPY

Uważa się, że pierogi pochodzą z Chin. Legenda głosi, że w trzecim stuleciu chiński farmakolog Zhang Zhongjing włożył w ciasto nadzienie z baraniny, chili i ziół, zawinął w kształt przypominający ucho, przygotował na parze i podawał chorym. Pierożki miały nie tylko uleczyć (szczególnie wierzono, że pomagają leczyć infekcje ucha), ale także wzmocnić i rozgrzać wyziębionych od wyjątkowo mroźnej zimy mieszkańców Chin.

Pierogi z Azji dotarły do Europy albo dzięki podróżnikowi Marco Polo, który dotarł do Chin, albo dzięki Tatarom, którzy najeżdżali ludy zamieszkujące kraje europejskie. Niewykluczone, że oba te czynniki miały wpływ na rozpowszechnienie się pierogów.

RUSKIE WCALE NIE RUSKIE

W Polsce znalazły się dzięki dominikaninowi Jackowi Odrowążowi, który poznał to danie w czasie wyprawy misyjnej na terenie Rusi Czerwonej, czyli dzisiejszej Ukrainy. Zachwycił się prostym i postnym daniem, dlatego dziś jedne z najsłynniejszych pierogów w Polsce, z farszem z ziemniaków i twarogu, mają nazwę pierogów ruskich.

Każdy kraj na świecie ma swoją wariację na temat pieroga. Wszystkie trudno byłoby pokazać, dlatego wybrałam 17 pierogów z różnych zakątków świata, żeby zobrazować ich różnorodność i pokazać międzynarodową sławę. ●

Przygotowując artykuł, korzystałam z książek: Maori Murota „Domowa kuchnia japońska" (wyd. Znak Koncept); Max Miller „Historia od kuchni" (wyd. Hi:story); Magdalena Tomaszewska-Bolałem „Tradycje kulinarne Polski", Bartek Kieżun „Jerozolima do zjedzenia" i „Stambuł do zjedzenia" (wyd. Buchmann); Emily Roz „The World is your Dumpling" (wyd. Harper Collins); Florence Khan „Yiddish Cuisine. Authentic and Delicious Jewish Recepies" (wyd.H.F. Ullmann); Zuza Zak „Pierogi. Over 50 Recepies to Create Perfect Polish Dumplings" (wyd. Hardie Grant), Mona Hamadeh „A Lebanese Feast of Vegetables, Pulses, Herbs and Spices" (wyd. Robinson) oraz strony Taste Atlas

• Mapę pierogów na świecie znajdziesz na kolejnych stronach i w internecie na Wyborcza.pl ▶

eprasa.pl 7f7b52c9e4

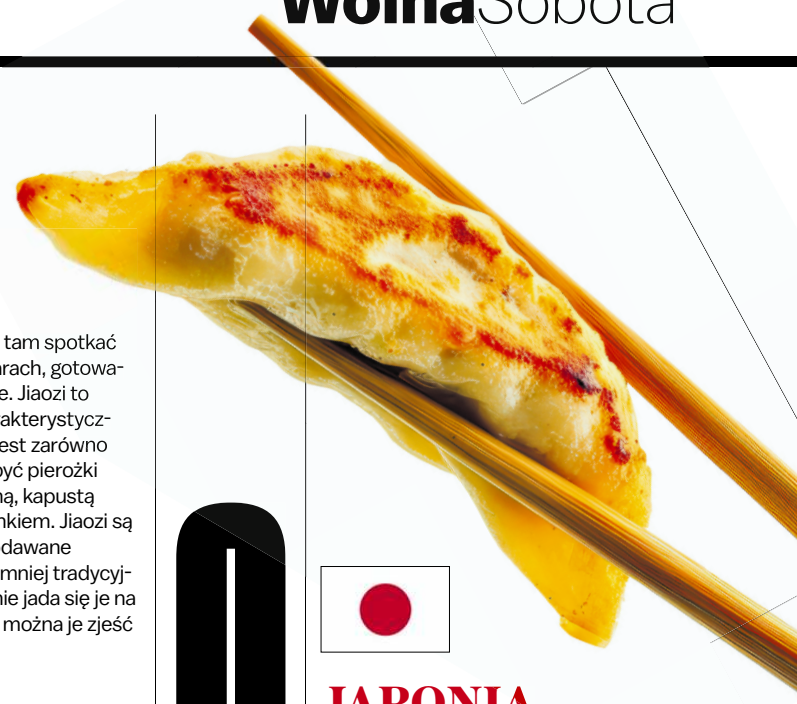

1 CHINY

Jiaozi

Chiny są pierogową kolebką i można tam spotkać pierogi o różnych kształtach i rozmiarach, gotowane, smażone, przygotowane na parze. Jiaozi to niewielkie półokrągłe pierożki z charakterystycznym szwem na szczycie. Nadzienie jest zarówno mięsne, jak i wegetariańskie. Mogą być pierożki z mieloną wołowiną albo wieprzowiną, kapustą pekińską, dymką, bambusem i czosnkiem. Jiaozi są gotowane w wodzie lub na parze, podawane najczęściej z sosem sojowym, ale ci mniej tradycyjni zajadają je z olejem chili. Tradycyjnie jada się je na chiński Nowy Rok, ale tak naprawdę można je zjeść o każdej porze roku.

2 JAPONIA

Gyoza

Pierożki gyoza to kuzyni chińskich jiaozi. Przygotowane są z cienkiego i delikatnego ciasta na bazie mąki, wody i jaj. Farsz może być wegetariański lub mięsny, z dużą ilością odświeżającego imbiru, czosnku i ziół. Gyozy można ugotować, chociaż najpopularniejsze i najbardziej rozsławione na świecie są te smażone na patelni i delikatnie podgotowane na parze (gdy zarumienią się na patelni z jednej strony, wlewa się odrobinę wody i przykrywa). Gyozy macza się w sosie przygotowanym z sosu sojowego, octu ryżowego i oleju sezamowego.

3 KOREA

Mandu

Wszystkie rodzaje pierożków w Korei nazywają się mandu, bo to słowo w języku koreańskim oznacza właśnie pierożka. Mandu mogą być gotowane w wodzie, na parze, smażone na patelni lub w głębokim tłuszczu i tradycyjnie mają okrągły kształt, coś pomiędzy uszkiem a kapelusikiem. Popularnymi rodzajami mandu są kimchi mandu, czyli pierożki z nadzieniem z dodatku kimchi i mięsa (lub tofu) albo gogi mandu (bez kimchi, tylko z mięsem).

4 TYBET

Momo

Momo to mięsne pierożki, które pochodzą z Tybetu, ale są również daniem charakterystycznym dla kuchni nepalskiej i są bardzo popularne w Indiach. Tradycyjnie momo były pierożkami z nadzieniem z mielonego mięsa, dziś można spotkać warianty z mięsem woła domowego, jaka lub barana. Momo tybetańskie mają kształt półksiężyców (jak chińskie jiaozi i japońskie gyozy), a nepalskie przypominają sakiewki. Mogą być gotowane na parze, smażone na patelni lub w głębokim tłuszczu. Towarzyszy im często achaar, pikantny sos na bazie chili, kolendry, kuminu i kurkumy.

Mapa najsłynniejszych pierogów świata

INFOGRAFIKA:
TOMASZ LEBIODA
© GAZETA WYBORCZA

5 INDIE

Samosy

Trójkątne pierożki, których historia sięga XVI w. i Państwa Wielkich Mogołów (muzułmańskiego państwa w północnych Indiach). Oryginalnie były rozwiązaniem problemu konserwowania mięsa na długie podróże, które odbywali muzułmańscy kupcy ruszający do Afryki i Hiszpanii. Przez nadzianie ciasta mięsem i usmażenie go dłużej zachowywały świeżość. Do ciasta przygotowanego z mąki, wody i klarowanego masła wkłada się farsz (najczęściej mięsny, ale są różne warianty samos dziś) i formuje kształt trójkątny, a następnie smaży w głębokim tłuszczu.

6 ROSJA

Pielmieni

Przypominają polskie uszka lub włoskie tortellini. Wywodzą się z Rosji - to jedno z jej narodowych dań. Najczęściej z farszem mięsnym, ale zdarzają też pierożki z farszem grzybowym i rybnym. Gotuje się je w wodzie i serwuje z gęstą śmietaną.

7 TURCJA

Manty

Manty są pierożkami najbardziej znanymi w Turcji, ale występują też w innych kuchniach środkowej Azji: Afganistanie, Uzbekistanie czy Armenii. Są to małe kwadratowe pierożki z łączeniem u góry, przypominają trochę kwadratowy latawiec. Są naprawdę małe, mantę powinno się zjeść na raz. Manty nadziewane są mielonym mięsem i cebulą i podaje się je z sosem jogurtowym z dużą ilością czosnku, polewa masłem paprykowym lub olejem chili, i dekoruje miętą.

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

8

POLSKA

Pierogi

Danie najbardziej kojarzone z Polską. Każdy dom mają swoje patenty na farsz, ciasto i na podanie pierogów. I wszędzie smakują inaczej. Pierogi ruskie (z farszem z ziemniaków i twarogu), z kapustą i grzybami lub mięsem można spotkać w całej Polsce, ale występuje też wiele regionalnych wariantów jak np. pierogi z kaszą gryczaną i twarogiem (okolice Lublina), pieczone pierogi św. Jacka z pieczarkami i kapustą lub twarogiem (Podkarpacie) czy pieczone bieszczadzkie knysze jadane na święto zmarłych.

9

FOT. ADOBE STOCK (16)

UKRAINA

Wareniki

Ukraiński odpowiednik naszych pierogów. Z ciasta na bazie mąki, jajek, soli i wody z farszem wytrawnym lub słodkim i w kształcie półksiężyców. Są gotowane lub smażone w głębokim tłuszczu. Wywodzą się z Rusi Czerwonej (skąd do Polski przywiózł je Jacek Odrowąż) i najczęściej je się je z farszem ziemniaczanym lub ziemniaczano-serowym, z kwaśną śmietaną, polane podsmażoną cebulą.

10

GRUZJA

Chinkali

Dla Gruzinów są tak ważne, jak pierogi dla Polaków. Te mięsne sakiewki z bulionem w środku, które dotarły na tereny dzisiejszej Gruzji w XIII w., prawdopodobnie dzięki Mongołom. Najbardziej tradycyjnym jest nadzienie z jagnięciny, choć popularna jest też mieszanka mięsa cielęciny i wołowiny, z dużą ilością kolendry i pietruszki. Surowe mięso wkłada się do ciasta, następnie formuje kształt sakiewki i gotuje, dlatego też w pierogu są mięsne soki z gotowania. Chinkali je się łapiąc za cypelek, nadgryza się pierożek i wypija sok, a następnie zjada w całości.

11

WŁOCHY

Ravioli

Dla Włochów wszystkie pierogowe formy, jak ravioli, tortellini, piemonckie agnolotti czy sardyńskie Culurgionis d'Ogliastra, to makarony. Ale ravioli, jako ciasto nadziane farszem najbardziej przypomina pieroga. Na cienko rozwałkowanym cieście układa się farsz (często z ricotty i szpinaku, z mięsa, lub ricotty z płynnym żółtkiem), który przykrywa się kolejną warstwą ciasta, wykrawa kwadraty lub koła i gotuje w wodzie. Podaje się je z masłem szałwiowym lub w sosie, zależy od fantazji i regionu.

12

LIBAN

Sambousek

Sambousek to rodzaj smażonego lub pieczonego pieroga, który w kuchni libańskiej podawany jest jako meza (przystawka) i jest nieodłącznym elementem libańskich przyjęć. Ciasto robi się z połączenia mąki, wody i oleju. Na cienko rozwałkowane ciasto nakłada się farsz z sera feta i poszatkowanej natki pietruszki albo kolendry i ziemniaków. Pierogi o kształcie półksiężyca z dekoracyjną falbanką smaży się na głębokim tłuszczu lub piecze. Można jeść na ciepło lub zimno.

13

IZRAEL

Kreplach

Jedno z dań kuchni żydów aszkenezyjskich. Pierożki z ciasta na bazie mąki, wody i jajka z mięsnym farszem (wołowina lub jagnięcina). Ciasto kroi się w kwadraty, nakłada farsz i składa w trójkąt. Pierożki gotuje się w osolonej wodzie, a podaje w rosole. W czasie święta Purim można spotkać kreplachy z farszem serowym, które podawane są z kwaśną śmietaną.

15

LITWA

Kołduny

Można spotkać na Litwie i Białorusi, a przepisy także w polskich książkach kucharskich. To małe lub średniej wielkości pierożki z ciasta z mąki pszennej i wody, w kształcie uszek lub półokrągłego pieroga (ale musi być mały), nadziewane surowym mięsem wołowym z dodatkiem duszonej cebuli. Mogą być gotowane w wodzie lub pieczone. Podaje się je w barszczu lub rosole, lub osobno z kwaśną śmietaną i dużą ilością pieprzu. Muszą być na tyle małe, żeby je zjeść na raz.

14

ARGENTYNA

Empanady

Pieczone pierożki tradycyjnie z farszem mięsnym. Wywodzą się z hiszpańskiej Galicji, ale podbiły kraje Ameryki Płd., a zwłaszcza Chile, Meksyk, Kostarykę oraz Argentynę i z nią są najbardziej kojarzone. Każdy region ma swoje empanady. W Salcie są z ziemniakami i papryką, w Mendozie z oliwkami, w Jujuy z groszkiem i czosnkiem, w Buenos Aires są empanady kreolskie z wołowiną, papryką, cebulą, zielonym chili, czosnkiem, rodzynkami i kuminem. Ministerstwo kultury wpisało empanady na listę kulturalnego dziedzictwa kraju. Mogą mieć kształt półksiężyca lub mieć szew u góry pieroga. Najczęściej są pieczone lub smażone.

16

USA

Apple dumplings

To bardziej pieróg czy ciastko? Amerykanie będą się upierać, że na pewno pieróg, bo spełnia też warunek bycia nadzieniem owiniętym w ciasto. Amerykańskie pierogi z jabłkami to rodzaj deseru, najbardziej rozsławione i popularne w stanie Pensylwania. Do pierogów przygotowuje się ciasto kruche na bazie mąki, proszku do pieczenia, masła, jajka i mleka. Ciasto, gdy już się schłodzi w lodówce, rozwałkowuje się na owalny kształt i wkłada w nie pokrojone w ćwiartki kawałki jabłek, tak, aby druga część ciasta je przykryła. Takie półksiężyce układa się na blaszce do pieczenia. Można podawać z lodami, sosem waniliowym albo karmelowym i pekanami.

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Ranking ma zdecydowanego zwycięzcę, który w naszym głosowaniu pozamiatał konkurencję. I tradycyjnie na pewno nie wszyscy się z tym zgodzą.

Radosław Czyż
Maja Staniszewska
Marta Górna, Anna Żabińska
Andrzej Kulasek

15 NAJLEPSZYCH SERIALI 2024

1

Szōgun
• serial historyczny, USA 2024, 1 sezon, 10 odc., Disney+

Ekranizować książkę? Naturalnie, zwykła rzecz, zwłaszcza, że mówimy o absolutnym bestsellerze. Raz już zekranizowaną, i to z bardzo dobrym efektem? No, tu już zaczynają się schody, bo przecież porównywań do tamtej produkcji uniknąć się nie da. Tym bardziej że została nagrodzona Złotym Globem i Emmy.

A jeszcze na dokładkę trzeba znaleźć kogoś, kto odważy się wskoczyć w buty postaci ikonicznej, wielkiego Toshiro Mifune, który w pierwszej ekranizacji „Szoguna" (1980 r.) Jamesa Clavella zagrał Yoshiego Toranagę, lorda regionu Kanto, ambitnego japońskiego możnowładcy.

Ale się udało. I to jeszcze jak! „Szōgun" – opowieść o Japonii końca XVI wieku, u progu jednego z najważniejszych wydarzeń w dziejach kraju, bitwy pod Sekigaharą – zachwycił. Rozmachem, dbałością o detale, a przede wszystkim genialnym aktorstwem.

Błysnął Cosmo Jarvis, w roli gwałtownika Johna „Anjina" Blackthorne'a, angielskiego żeglarza, który na pokładzie holenderskiego statku dociera z resztką załogi do wybrzeży Japonii. Zachwycał Tadanobu Asano, czyli ekranowy Kashigi Yabushige, intrygant i poddany Toranagi. Wspaniała była Anna Sawai w roli Mariko – tłumaczki Anjina i służki pana Toranagi. Ale najjaśniej błyszczał Hiroyuki Sanada właśnie jako dostojny lord. Nic dziwnego, że na niedawnej gali rozdania nagród Emmy wręczono mu statuetkę dla najlepszego aktora w serialu dramatycznym – wyróżniono też Sawai i rzecz jasna sam serial.

Wszelkie zachwyty nad „Szōgunem" są w pełni uzasadnione, my też nie mogliśmy wybrać inaczej. W naszym rankingu wygrał o kilka długości. **(aq)**

2

Fallout
• serial s.f., USA 2024, 1 sezon, 8 odc., Prime Video

Sam jestem zaskoczony, że ten serial znalazł się w naszym zestawieniu tak wysoko. Adaptacja gry komputerowej, pełna przesadnej przemocy, niewybrednego poczucia humoru i wrzucająca bogu ducha winnych widzów w sam środek dziwacznego świata postapokaliptycznej retro-przyszłości? Owszem.

„Fallout" to adaptacja niemal idealna – rozwijająca świat znany z gier o nowe informacje, postaci i miejsca, ale w pełni oddająca ich specyficznego ducha i estetykę. Doskonale zagrana (świetni Ella Purnell i Walton Goggins) i zręcznie napisana. To rozrywka najwyższego sortu – niezbyt wymagająca, ale jakże satysfakcjonująca. A do tego niegłupia, z pełnym przekonaniem wpisująca się w antykapitalistyczny przekaz gier. **(rczyz)**

3

The Bear 3
• serial dram., USA 2022-24, 3 sezony, 28 odc., Disney+

Może nie było tak dobrze, jak wcześniej, ale czy było źle? Absolutnie! Największą wadą trzeciego sezonu „The Bear" jest fakt, że nie jest to zarazem czwarty sezon „The Bear". Najciekawsze wątki nie znajdują tu rozwiązania, urywają się w połowie, ewidentnie podbudowując przyszłe odcinki.

Dostaliśmy natomiast świetny odcinek wprowadzający, oniryczny, jakby rozgrywał się w jaźni Carmy'ego (Jeremy Allen White). Doskonały i wzruszający był też ten poświęcony historii Tiny (Liza Colón-Zayas) oraz odcinek niemal w całości rozgrywający się w szpitalu, gdy „Sugar" (Abby Elliott) konfrontuje się z matką (Jamie Lee Curtis). Po takiej przystawce nie pozostaje nic innego, niż tylko czekać na główne danie. **(rczyz)**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (15)

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

4

Rojst Millenium

serial sens., Polska 2018-24, 3 sezony, 17 odc., Netflix

Finał serialowej trylogii Jana Holoubka i Kaspra Bajona o kryminalnym światku i mrocznej przeszłości miasteczka na Ziemiach Odzyskanych, może służyć za wzór, jak dobrze skończyć coś, co dobrze się zaczęło. W każdym sezonie „Rojsta" teraźniejszość – rok 1984, 1997 i przełom stuleci – to, co tu i teraz, wiąże się z tym, co kiedyś. Ale w tej części połączone jest najbardziej brawurowo.

Tuż przed Sylwestrem 1999 roku znów znaleziono trupa, ale miasteczko żyje urodzinami granego przez Piotra Fronczewskiego kierownika hotelu. Zwłaszcza, że i na nich pojawia się trup. W retrospekcjach poznajemy historię młodego kierownika, który był biednym, ale piekielnie ambitnym i pozbawionym skrupułów kelnerem, dorabiającym jako alfons. **(ms)**

5

Yellowstone 5b

• serial obyczajowy, USA 2018-24, 5 sezonów, 52 odc. SkyShowtime

Jak ocenić serial, który nie dość, że jeszcze się nie skończył (w chwili domykania tego rankingu czekaliśmy nadal na odcinek finałowy), to w dodatku nowy jest nie cały sezon, a jedynie jego druga połowa? To wyzwanie. Jednak znacznie mniejsze od tego, przed którym stanął Taylor Sheridan zmuszony do domknięcia swojego kowbojskiego hitu bez udziału największej gwiazdy – Kevina Costnera.

Fani byli podzieleni, ale nas mimo wszystko ostatnie odcinki „Yellowstone" przekonały. To zawsze była opowieść nie tylko o Johnie Duttonie (Costner), a należącej do jego rodziny ziemi i powolnym kresie ery współczesnych kowbojów. Końcówka „Yellowstone" to długie pożegnanie. **(rczyz)**

6

Rywale

• serial komediowy, USA/Wlk. Brytania 2024, 1 sezon, 8 odc., Disney+

Lord Tony Baddingham (David Tennant) jest właścicielem lokalnej telewizji Corinium, do której właśnie zwerbował nieustępliwego dziennikarza Declana O'Harę (Aidan Turner). Obiecał mu własny talk-show i wolność, której nie miał wcześniej w BBC. Słupki oglądalności są dla Baddingtona ważne, ale nie tak jak potrzeba ciągłego udowadniania własnej wartości. A wszystko przez nienawiść do wywodzącego się ze starej angielskiej arystokracji Ruperta Campbella-Blacka (Alex Hassell).

W intrygi trzech panów z dużym ego zostaje wmieszanych wiele innych, niezwykle barwnych postaci. Ten zabawny serial o zepsutych bogaczach bez skrupułów to doskonała rozrywka. **(anza)**

7

Kaos

• serial obyczajowy, USA 2024, 1 sezon, 10 odc., Netflix

Pomysł prosty, ale zrealizowany brawurowo: mity greckie we współczesnym anturażu, Zeus (genialny Jeff Goldblum) jako megaloman i narcyz, a w centrum mit o Orfeuszu i Eurydyce, zakochanych, których nie rozdzieliła nawet śmierć. No, prawie. W serialu „Kaos" ona już go nie kocha, a on schodząc po nią do Hadesu, nie ma o tym pojęcia.

Narrację prowadzi zblazowany Prometeusz, któremu wszystko jedno, czy znów rozstaje się z wątrobą, czy nie. „Kaos" to świetnie napisana historia, która udowadnia, że mitologia grecka jest uniwersalna, a błyskotliwie wykorzystana może trafnie komentować nasze czasy.

Oprócz Goldbluma wystąpili tu m.in. Janet McTeer, Killian Scott, David Thewlis oraz Eddie Izzard. Uczta bogów! **(mg)**

NETFLIX | sky SHO | NETFLIX | Disney+ | NETFLIX | NETFLIX | max

8

Matki pingwinów

• serial dramatyczny, Polska 2024, 1 sezon, 6 odc., Netflix

„Matki pingwinów" to opowieść o grupie rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. Prym wiedzie Ula (Barbara Wypych), energiczna matka Toli z zespołem Downa. Jerzy (Tomasz Tyndyk) to samotny ojciec, którego córka Hela jest dzieckiem atypowym. Tatiana (Magdalena Różczka) to matka poruszającego się na wózku Michała, która zrobi wszystko, by syn korzystał z życia tak samo jak rówieśnicy. Kamila (Masza Wągrocka), zawodniczka MMA ma syna w spektrum autyzmu, ale ona nie potrafi tego zaakceptować. To głównie jej przemianę będziemy obserwować.

„Matki pingwinów" opowiadają o niełatwej tematyce z zaskakującym wdziękiem i wyczuciem. Bez przesadnej martyrologii czy ckliwości. **(anza)**

9

Arcane 2

• serial animowany, USA 2021-24, 2 sezony, 18 odc., Netflix

Wysmakowana animacja ze świata kultowej gry, „League of Legends", opowiadająca o losach dwóch zantagonizowanych sióstr, Violet i Jinx/Powder, zapiera dech. Od ekranu nie można się oderwać, a wszystko, dosłownie wszystko w tym serialu zagrało – pełnokrwiści bohaterowie, scenariusz, produkcja wreszcie nieziemska wręcz animacja.

Dwa sezony, w sumie 18 odcinków „Arcane" (więcej nie będzie) kosztowało, jak podaje „Variety", 250 mln dol. Żadna inna produkcja z tego gatunku nie miała takiego budżetu, ale ani jeden cent nie został tu zmarnowany. **(aq)**

10

Pingwin

• serial sensacyjny, USA 2024, 1 sezon, 8 odc., MAX

Komiksowi bohaterowie zwykle nie robią na mnie wrażenia, ale wobec „Pingwina" trudno pozostać obojętnym. Spin-off „Batmana" zostawił tę opowieść o posępnym nietoperzu daleko w tyle.

Pingwin to przezwisko gangstera Oswalda Cobba, który zabija potężnego Alberto Falcone. By ratować skórę, wymyśla piętrowe intrygi, kłamie i zabija. Zły do szpiku kości potrafi jednak wzbudzić sympatię. Colin Farell w niezwykłej charakteryzacji gra go brawurowo, ale to nie on jest gwiazdą serialu. To Cristin Milioti jako Sofia robi największe wrażenie.

„Pingwin" jest mroczny i pełen okrucieństwa, ale wyraziste postaci i ciekawie poprowadzona fabuła powodują, że to nie kolejny komiksowy akcyjniak, a naprawdę dobre kino. **(anza)**

eprasa.pl 7f7b52c9e4

NETFLIX

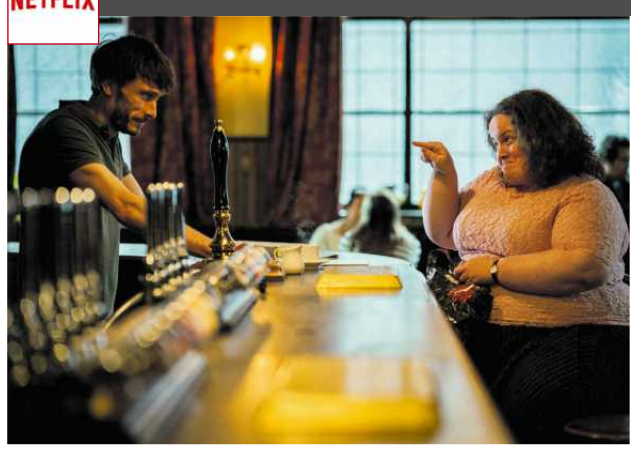

11

Reniferek

• miniserial dram., Wlk. Bryt. 2024, 1 sezon, 7 odc., Netflix

Niespodziewany hit Netflixa, historia angielskiego komika Richarda Gadda, który był ofiarą stalkingu ze strony poznanej w barze kobiety. Gadd, który jest twórcą serialu i zagrał w nim główną rolę, opisał wszystko w monodramie „Baby Reindeer".

„Reniferek" zgarnął statuetki Emmy za najlepszy serial limitowany, scenariusz oraz za kreacje aktorskie Gadda i Jessiki Gunning w roli jego prześladowczyni.

Po premierze „Reniferka" Fiona Muir-Harvey, która ogłosiła, że to ona została sportretowana przez Gadda, wystąpiła do sądu o odszkodowanie, ale sąd oddalił jej pozew. **(aq)**

CANAL+

12

Prosta sprawa

• serial sens., Polska 2024, 1 sezon, 6 odc., CANAL+ online

„Reachera mamy w domu" to był jeden z najzabawniejszych, ale też najbardziej trafnych tytułów recenzji, jakie wymyśliliśmy w tym roku. Nie tylko oddaje, o czym jest serial, ale też, jaki jest: inspirowany sensacyjnymi powieściami o byłym amerykańskim żandarmie Jacku Reacherze, nasz, swojski, polski.

Bezimienny bohater „Prostej sprawy", grany przez Mateusza Damięckiego mężczyzna z przeszłością, przyjeżdża do Jeleniej Góry oddać pieniądze człowiekowi, który dał mu je kiedyś bezinteresownie. Na miejscu okazuje się, że ten człowiek podpadł lokalnej mafii. Bezimienny zrobi więc wszystko, żeby mu pomóc. Dodatkowe plusy za sztukę walki ręcznikiem w wykonaniu Damięckiego, nieopatrzoną lokalizację i za Piotra Adamczyka, który ewidentnie jest teraz w fazie grania gangsterów i dobrze mu to wychodzi. **(ms)**

Disney+

13

To zawsze Agatha

• serial fantasy, USA 2024, 1 sezon, 9 odc., Disney+

Kolejny spin-off, który przerósł oryginał. Po świetnym występie w „WandaVision" (2021) Agatha Harkness (Kathryn Hahn) dostała własny serial, który zaczyna się jednak nie jak kino superbohaterskie, a kryminał w stylu „Mare z Easttown". Spokojnie, to tylko wizualizacja jej problemów z tożsamością, które wywołało mocne zaklęcie.

Uwolni ją z niego nastoletni amator czarnej magii (Joe Locke). A potem namówi, by wyruszyli na Drogę Wiedźm. Twórcy reinterpretują popkulturowe motywy i filmowe gatunki, bawią nas i wciągają do świata magii. Udaje im się zrobić z antypatycznej i samolubnej bohaterki kogoś, komu będziemy kibicować. Duża w tym zasługa Kathryn Hahn, która doskonale bawi się jako okrutna wiedźma. Na uwagę zasługuje także Aubrey Plaza w roli jej byłej kochanki Rio. Fantastyczna z nich para, castingowy strzał w dziesiątkę. **(anza)**

• Uwaga! Oceniamy seriale z roku 2024, ale pomijamy premiery grudniowe (np. „Sto lat samotności", Netflix) oraz seriale, których emisja skończy się w styczniu np.: „Dzień szakala", „Śleboda", czy „Landman. Negocjator" (wszystkie SkyShowtime). Bez obejrzenia całości, trudno je wiarygodnie ocenić

tv+

14

Pachinko 2

• serial dramatyczny, USA 2022-24, 2 sezony, 16 odc., Apple TV+

„Bez względu na czasy, życie nigdy nie jest łatwe". To słowa jednego z bohaterów serialu, które idealnie definiują „Pachinko". Koreańsko-amerykańska adaptacja bestsellerowej powieści Mina Jina Lee (2017) śledzi losy czterech pokoleń koreańskiej rodziny, która wyemigrowała do Japonii.

W centrum opowieści jest Sunja. Poznajemy ją w 1910 r., gdy jako dziecko mieszka z rodzicami w biednej wiosce. Drugi sezon zaczyna się podczas II wojny. W Japonii brakuje jedzenia, mąż Sunji jest w więzieniu, ona musi utrzymać dwóch synów.

Kontynuacja „Pachinko" utrzymuje wysoki poziom, wzrusza i angażuje. Na pierwszy plan wybija się historyczne tło opowieści – ataki na Hiroszimę i Nagasaki, zbrodnie wojenne i rozłam Korei decydują o losach bohaterów. Pełna życiowej mądrości historia pokazuje również, że o przeszłości nie da się zapomnieć, bo jej duchy znajdą nas wszędzie. **(anza)**

tv+

15

Kulawe konie 4

• serial szpiegowski, Wlk. Brytania 2022-24, 4 sez., 24 odc., Apple TV+

Co w zestawieniu, w którym są głównie serialowe premiery, robi czwarty sezon? Pokazuje, że są produkcje, które nie tylko trzymają poziom, ale potrafią się rozwijać.

Tak jest z ekranizacją wydanych także w Polsce szpiegowskich książek Micka Herrona o grupie agentów-nieudaczników, zesłanych z centrali MI5 pod skrzydła niejakiego Jacksona Lamba (Gary Oldman), szpiega z czasów zimnej wojny,. Nie brakuje tu spisków i akcji, momentami widowiskowych, ale przede wszystkim są niebanalni bohaterowie i cudownie sarkastyczny humor.

Gdy w zatłoczonym centrum handlowym w Londynie wybucha bomba, całe MI5 zostaje postawione na nogi, także „kulawe konie". Tylko River Cartwright (idealny kandydat na 007 Jack Lowden), który martwi się o swojego coraz mocniej pogrążającego się w demencji dziadka, legendę wywiadu Davida (świetny Jonathan Price), jedzie odwiedzić go na wieś. Padają strzały. **(ms)**

REKLAMA Kraj/34337865

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Filantropia po amerykańsku i po polsku

DATKIEM ŚWIATA NIE ZBAWISZ

• Jeden z wielu magazynów, gdzie darczyńcy przywożą paczki na święta dla potrzebujących rodzin . Gdansk , ul. Marynarki Polskiej 15 OT. BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ale przynajmniej komuś pomożesz. Polskim przedsiębiorcom idzie coraz lepiej.

Edyta Bryła

MacKenzie Scott, była żona Jeffa Bezosa, przekazała organizacjom filantropijnym 16,5 mld dol. z porozwodowego majątku. Dostała bowiem 4 proc. udziałów w Amazonie, wartych 38 mld dol. – i zapowiedziała, że odda wszystkie.

Zaczęła w 2020 roku, gdy wybuchła pandemia. Dawała granty organizacjom w USA i na całym świecie, niemal po cichu, bez wielkich zapowiedzi, zakładania fundacji.

16,5 mld dol. to ogromna kwota. Stawia w cieniu darczyńców dotąd uznawanych za rekordzistów, na przykład Chucka Feeneya, współwłaściciela sieci sklepów Duty Free Shoppers, który do śmierci w 2023 r. ofiarował 8 mld dol.

Szczodrość plasuje Scott – obok m.in. George'a Sorosa i Jeffa Skolla, byłego szefa eBaya – w gronie tylko kilkunastu osób z najbogatszych 400 w USA, które w ciągu swojego życia ofiarowały więcej niż 20 proc. swojego bogactwa.

A ile ofiarowuje sam Bezos? Mniej niż 2 proc., czyli do zeszłego roku, 3 mld dol. Przekazuje oczywiście duże kwoty, niedawno ofiarował na przykład 100 mln dol. na walkę z bezdomnością dzieci. Kuriozalne są doroczne granty dla innych bogaczy, jak dla gwiazdy country Dolly Parton (100 mln. dol.) czy aktorki Evy Longorii (50 mln dol.), za „odwagę i uprzejmość", na ich działania filantropijne. 100 mln dostała też fundacja Obamów.

Tyle że to drobniaki w porównaniu do zarobków. W 2023 r. Bezos zarabiał prawie 8 mln dol. na godzinę lub w 13 minut zarabiał tyle, co przeciętna osoba przez całe życie – policzył portal Fortune. Poza tym każda jego dobroczynność jest szeroko opisywana przez media, pieniądze przekazywane są w świetle jupiterów. O dobroczynności Scott można dowiedzieć się z publikowanych parę razy w roku wpisów na portalu Medium.

Zadziwiająca jest jednak przede wszystkim sprawność, z jaką Scott przekazuje pieniądze. Jak wskazuje „Economist", to możliwe, bo nie ustanowiła żadnego długiego procesu aplikacyjnego. Nie trzeba wypełniać formularzy, składać podania o grant. Zatrudniła po prostu niezależnego doradcę, który umiał prześwietlić organizacje i wskazać te, którym warto pomóc. A potem dawała im wolną rękę. Nie ma oczekiwań wobec obdarowanych, ufa im, nie sprawdza, co robią z pieniędzmi, nie wymaga sprawozdań – tak, by kontrolę miały organizacje charytatywne, nie ofiarodawcy, i żeby pieniądze przekazać szybciej.

Takiego modelu działania trochę wymagały czasy – w pandemii i po wybuchu wojny w Ukrainie ekspresowo musiał się zmienić tryb dawania – pieniądze i pomoc potrzebne były natychmiast. Ale nie jest nowy – wcześniej na taki model pomocy decydowali się już William i Flora Hewlettowie (William to założyciel słynnej firmy komputerowej Hewlett-Packard) czy Fordowie. Tylko nie w takiej skali.

•

To podejście do dawania jest reakcją na spore mankamenty tzw. filantrokapitalizmu, który długo dominował dobroczynność. Był on osadzony w wierze, że w filantropii można działać jak w swojej firmie, przenieść do niej praktyki biznesowe i kreować założone efekty – i że w ten sposób bogaci, którzy są coraz bogatsi, uratują świat.

Korporacyjni ofiarodawcy domagali się liczb na potwierdzenie ulepszenia świata – ile kupiono moskitier, o ile procent poprawiły się prawa kobiet – posługując się liczbami, KPI-ami, prognozując efekty w excelu.

Agnieszka Sawczuk, doradczyni filantropijna rodzin biznesowych, widzi, że takie podejście mają też często polscy przedsiębiorcy. – To dla nich bolesne, gdy nie da się zagwarantować konkretnego przełożenia darowizny na natychmiastowy efekt. Mierzenie zwłaszcza zmiany społecznej, która nie zachodzi z dnia na dzień, jest bardzo trudne. Potrzebne są narzędzia i wiedza, której często nie mają – mówi.

Nie żeby przedsiębiorcze podejście nie działało w ogóle. Przodowała w nim fundacja Billa i Melindy Gatesów i dała się ona poznać jako efektywna, oparta na danych i hojna. Do 2020 r. Gatesowie zwalczyli na przykład polio w Afryce, wciąż ratują przed skutkami malarii. Kłopot w tym, że pilnowanie efektywności ogranicza ją – przez uwikłanie w biurokrację. Narastała frustracja. Beneficjenci pomocy nie mogli się jej doczekać albo była nieadekwatna, bo dostosowana do oczekiwań project managerów w Dolinie Krzemowej, którzy nie rozumieli sytuacji potrzebujących.

Po drugie, filantrokapitalizm nie spełnił oczekiwań, bo nie wydarzyła się ważna rzecz: filantropi aż tak dużo nie dawali. Choć kwoty rosły, to niewspółmiernie do zarobków darczyńców i potrzeb. Bank Citigroup podał, że aktywa na rynkach kapitałowych są warte 112 bln. dol., a sektor filantropijny dostaje tylko 2,4 bln. dol. W 2023 roku najbogatszych 400 osób w USA ofiarowało tylko 6 proc. swojego majątku, choć przez ostatnie 20 lat ich majątek wzrósł z 955 mld dol. do 4,5 bln dol.

Do tego zwykli Amerykanie dzielą się coraz mniej chętnie – od 2000 roku liczba osób przeznaczająca pieniądze na filantropię zmalała z dwóch trzecich do połowy.

Wielu bogatych obiecuje, że odda większość majątku. W 2010 roku Bill i Melinda Gates oraz Warren Buffett zainicjowali ruch Giving Pledge, zrzeszający składają-

eprasa.pl 7f7b52c9e4

cych taką obietnicę. Ale działania odkładają na później. Think tank The Institute for Policy Studies sprawdził, że fortuny 73 żyjących sygnatariuszy listu Giving Pledge od 2010 do 2022 r. wzrosły ponad dwukrotnie, z 348 do 828 mld. dol.

Prognozy są, o dziwo, optymistyczne. Jak wskazuje Sawczuk w raporcie „Filantropia w Polsce. Raport 2021", Center on Wealth and Philanthropy w Boston College szacuje, że w USA w latach 2007–61 zostanie przekazanych w drodze sukcesji następnemu pokoleniu 59 bln dol., a 27 bln z tej kwoty trafi do instytucji realizujących cele społeczne. „Będzie to największy transfer majątku w historii" – pisze. A dalej: „Żyjemy w „złotej erze filantropii".

•

To w czym leży problem z filantropią, jeśli nie w podejściu, bo ono się zmienia, ani nie w zbyt niskich kwotach? Pisze o tym Paul Vallely w książce „Philanthopy: From Aristotle to Zuckerberg" [Filantropia. Od Arystotelesa do Zuckerberga]: bo jest... zagrożeniem. „Filantropia rośnie w zawrotnym tempie" i „jeżeli ta tendencja się utrzyma, jej skutki społeczne i gospodarcze będą ogromne" – ostrzega.

Dlaczego? Bo filantropia jest zawsze przejawem władzy. Niesmak budzi to, że los potrzebujących zależy od osobistych wyborów, a nawet kaprysów superbogatych, w obszarach, w których systemowo pomagać powinno państwo. Przerażające jest, że dach nad głową części dzieci w USA zależy od Bezosa, a nie od władz. – Podstawowe potrzeby ludzi jak opieka zdrowotna, edukacja, to nie obszar dla filantropijnych gestów, ale pole odpowiedzialności państwa. Życie dziecka nie powinno zależeć od tego, czy jakiś miliarder akurat poczuje potrzebę pomocy. To kwestia podstawowych praw człowieka i społecznej sprawiedliwości – mówi prof. Ryszard Szarfenberg z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW.

Dodaje, że nawet najskuteczniejsza filantropia nie rozwiąże problemów systemowych. – Gdy Jeff Bezos przekazuje 100 milionów na bezdomność, a jednocześnie jego firma optymalizuje podatki, które mogłyby finansować systemowe rozwiązania mieszkaniowe, trudno mówić o realnej zmianie społecznej – mówi.

Poza tym walka bogatych z poważnymi problemami, jak bieda, nie jest powszechna. Jak pisze Lukáš Pokorný na łamach Krytyki Politycznej, Stany Zjednoczone przekazują zaledwie jedną piątą darowanych pieniędzy na walkę z ubóstwem. Połowa środków jest przeznaczana na edukację i opiekę zdrowotną, znaczna część trafia do artystów i sportowców. „Największe darowizny w 2019 r. otrzymały elitarne uniwersytety i szkoły dla bogatych. W latach 2007–2017 w Wielkiej Brytanii ponad dwie trzecie darowizn (4,79 mld funtów) trafiło do szkół, z czego połowa do Oksfordu i Cambridge. Na sztukę przekazano 1,04 mld, na walkę z ubóstwem – 222 mln funtów" – pisze Pokorný.

•

Po drugie, najbogatszym nie jest po drodze z rozwiązaniami problemów, które chcą zwalczać. Badania Northwestern University z 2013 r. (artykuł „Democracy and the Policy Preferences of Wealthy Americans") pokazują, że 1 proc. najbogatszych Amerykanów popiera cięcia w obszarach zabezpieczenia społecznego i opieki zdrowotnej, niepodnoszenie płacy minimalnej oraz odchodzenie od regulowania wielkich korporacji, przemysłu farmaceutycznego czy Wall Street.

Choć od tamtego czasu coś jednak drgnęło. Coraz więcej miliarderów – paradoksalnie – wzywa do wyższego opodatkowania najbogatszych. Rozumieją, że problemy systemowe wymagają systemowych rozwiązań. – Skuteczna filantropia może być katalizatorem zmian, ale nie zastąpi sprawnie działającego państwa opiekuńczego – powtarza prof. Szarfenberg.

• **Jeff Bezos ofiarowuje mniej niż 2 proc. swego bogactwa, choć to oczywiście duże kwoty .** FOT. CHUCK BIGGER / ALAMY STOCK PHOTO

Jak się dzielą

3 mld dol
• rozdał do tej pory na cele dobroczynne Jeff Bezos, zarabiając 8 mln na godzinę

6 proc. majątku
• ofiarowało w 2023 roku najbogatszych 400 osób w USA, choć przez 20 lat wzrósł z 955 mld do 4,5 bln dol.

Ponad 2/3 darowizn
• w Wielkiej Brytanii w latach 2007-17 trafiło do szkół, głównie do Oksfordu i Cambridge – 4,79 mld funtów. Na walkę z ubóstwem poszło 222 mln funtów

2 proc. podatku
• od majątku miliarderów mogłoby przynieść 200-250 mld dol. rocznie

30 tys. funtów
• z Fundacji Roberta Dobrzyckiego umożliwiło młodej skrzypaczce Katarzynie Ratajczyk studia w Royal London Music School

500 tys. zł
• przeznaczyli Robert i Anna Lewandowcy na rzecz Centrum Zdrowia Dziecka

20 mln zł
• na walkę z koronawirusem przekazała w 2020 r. Dominika Kulczyk

Kolejny problem, o którym pisze Pokorny, to ten, że większość krajów zachodnich rozdaje ulgi podatkowe filantropom. To oznacza, że dobroczyńca nie zapłaci na przykład podatku dochodowego od kwoty, którą podaruje. Może uczelni, a może organizacji walczącej z biedą – lecz w obu przypadkach datek uszczupli budżet publiczny, z którego finansowane są wynagrodzenia, edukacja, pomoc społeczna czy opieka medyczna. Czyli to, co biedę zwalcza. A ich koszty za bogatych musi pokrywać reszta, biedniejsi podatnicy. Wielką Brytanię w 2012 roku ulgi kosztowały 3,64 miliarda funtów.

Do biedy i nierówności przedsiębiorcy często przyczynili się też wprost swoją działalnością – niszcząc środowisko, przez co mieszkańcy tracą domy i muszą migrować, wypłacając głodowe pensje, nie zapewniając opieki socjalnej, ubezpieczeń, środków ochrony zdrowia. Już Martin Luther King mówił, że „filantropia jest godna pochwały, ale nie może dochodzić do sytuacji, kiedy filantrop ignoruje niesprawiedliwość gospodarczą, przez którą filantropia staje się niezbędna".

Theodore Roosevelt mówił podobnie: „Nie ma takiej kwoty, która przekazana z tych fortun na dobroczynność zrekompensowałaby niemoralny sposób, w jaki zostały zgromadzone".

Do dziś jednak wielu wierzy, że bogatym wolno więcej, bo to oni napędzają postęp, dają pracę, a poza tym są mądrzy i utalentowani, skoro się dorobili. W swoim czasie na pewno odpłacą ludziom, których po drodze wpędzili w biedę, a nawet jeśli nie, to ich prawo, brzydko jest zaglądać komuś do portfela.

Działacz z Wrocławia Chrystian Paweł Szpilski napisał parę lat temu na portalu społecznościowym, że gdyby Dominika Kulczyk, posiadaczka odziedziczonych 6,8 mld zł, zapłaciła 2 proc. podatek od majątku – 136 mln zł – dałoby się wybudować 340 nowych mieszkań, sfinansować 3,7 mln obiadów czy 276 tys. świadczeń 500 plus. Komentarze? „Proponuję zająć się własnym portfelem, a nie wyliczać komuś, kto miał pomysł na życie".

Bilans plusów i minusów filantropii najbogatszych nie jest tak prosty, jak w obliczonej na rozgrzanie dyskusji ideowej publicystyce, dane o podatkach jednak szokują. Ekonomista Gabriel Zucman odkrył, że najbogatsi często płacą efektywną stopę podatkową na poziomie zaledwie 0,3 proc. swojego majątku. – To jak gdyby ktoś zarabiający 50 tys. zł miesięcznie płacił 150 zł podatku – mówi prof. Szarfenberg.

Jak to możliwe? Miliarderzy wykorzystują złożone struktury korporacyjne, unikają sprzedaży aktywów, dzięki czemu nie płacą podatku od zysków kapitałowych i korzystają z licznych luk w prawie podatkowym. – To trochę jak gra w trójwymiarowe szachy, gdzie zwykli ludzie grają w warcaby – tłumaczy ekspert.

•

Nie można jednak potępić filantropii w czambuł. Badacze z Oksfordu odkryli, że niektóre formy pomocy są nawet trzydziestokrotnie skuteczniejsze niż inne.

Wyobraźmy sobie dwie sytuacje. W pierwszej kupujemy leki dla chorego sąsiada, w drugiej wspieramy badania nad szczepionką. Obie formy pomocy są wartościowe, ale ich skuteczność w skali społecznej dramatycznie się różni. – To właśnie odkryli filozofowie z Oksfordu, inicjując ruch skutecznego dawania. On fundamentalnie zmienia dyskusję o filantropii – mówi prof. Szarfenberg.

Wyjaśnia, że ten ruch podpowiada nam trzy obszary. Po pierwsze, filantropia może być laboratorium innowacji społecznych.

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Jak odróżnić dobrą filantropię od złej? mini-poradnik dla chcących pomagać

1
Skuteczność i realna poprawa sytuacji
• Dobra filantropia nie polega tylko na samej ofiarności; istotne jest, czy naprawdę łagodzi cierpienie i podnosi poziom życia potrzebujących. Liczy się wymierny, potwierdzony faktami efekt. Jeżeli działania są głównie promocją lub poprawianiem wizerunku darczyńcy, bez realnej zmiany na lepsze, mamy do czynienia z filantropią pozorną.

2
Proporcjonalność i efektywność
• Warto przyjrzeć się, jak środki są rozdysponowywane. Dobra filantropia wykorzystuje dostępne fundusze, wiedzę i zasoby tak, by pomóc jak największej liczbie osób w potrzebie. Opiera się na rzetelnych danych i badaniach skuteczności. Jeśli dominują działania „pod publiczkę", bez analizy i sensownego uzasadnienia, można mówić o nieuczciwym marnowaniu środków.

3
Nie dla „przykrywania" własnych win
• Filantropia nie powinna służyć jako zasłona dymna dla nieetycznych praktyk. Jeśli darczyńca – firma lub osoba – jedną ręką udziela pomocy, a drugą wyrządza szkodę społeczeństwu – np. unikając podatków, sprzedając szkodliwe produkty czy pogłębiając nierówności – jego działania trudno nazwać dobrymi. Prawdziwe dobro nie da się oddzielić od całości postępowania darczyńcy.

4
Przejrzystość i rozliczalność
• Dobra filantropia nie unika kontroli. Informuje o efektach, ujawnia dane o kosztach i sposobach realizacji projektów, pozwala się ocenić niezależnym ekspertom. Wszelka niejasność, brak sprawozdawczości i rozliczeń sprzyja pozorom, a nie rzeczywistej pomocy.

5
Szacunek dla godności i autonomii beneficjentów
• Osoby, którym się pomaga, nie powinny być traktowane jak rekwizyty w medialnej kampanii. Dobra filantropia szanuje godność i autonomię potrzebujących, uwzględnia ich perspektywę. Jeśli beneficjenci stanowią wyłącznie tło dla własnej promocji darczyńcy, to znak, że nie chodzi tu o realną troskę.

Gdy MacKenzie Scott wspiera sprawdzone, ale niedofinansowane organizacje pomagające mniejszościom, ubogim i wykluczonym, nie zastępuje państwa, a testuje rozwiązania, które później mogą być przyjęte systemowo.

Po drugie, filantropia może szybko reagować na nagłe kryzysy. Podczas pandemii i kryzysu uchodźczego organizacje filantropijne dostarczały pomoc, zanim ruszyły państwowe programy wsparcia. To jak ochotnicza straż pożarna – nie zastępuje zawodowej, ale bywa na miejscu pierwsza.

Po trzecie, filantropia może wspierać obszary wykraczające poza podstawowe potrzeby – kulturę, innowacje, projekty środowiskowe. Tu jest miejsce na eksperymenty i ryzyko, na które sektor publiczny nie może sobie pozwolić.

•

Jak przekonuje profesor, każdy z nas może stosować zasady skutecznego dawania. Organizacje jak GiveWell robią za nas mrówczą pracę – analizują setki organizacji pomocowych pod kątem trzech prostych pytań: Czy problem jest poważny i zaniedbany? Czy rozwiązanie jest sprawdzone? Czy organizacja potrafi efektywnie wykorzystać dodatkowe środki? To jak konsumencki ranking produktów, tylko że mierzący nie jakość odkurzaczy, ale skuteczność ratowania zdrowia i życia. Prof. Szarfenberg podkreśla, że najbardziej efektywna filantropia to taka, która sprawia, że... przestaje być potrzebna.

A Zucman proponuje proste rozwiązanie: globalny podatek minimalny w wysokości 2 proc. od majątku miliarderów – o który sami się przecież dopominają. Brzmi skromnie? Ta niewielka stawka mogłaby przynieść od 200 do 250 mld dol. rocznie – od zaledwie 3 tys. osób na świecie. – To więcej niż roczne wydatki wielu państw na służbę zdrowia czy edukację. Potrzebujemy więc globalnej koordynacji między systemami podatkowymi, podobnej do tej, którą osiągnięto przy minimalnym podatku dla korporacji – mówi prof. Szarfenberg.

Czy wypada wymagać od przedsiębiorców, by się dzielili? Sawczuk mówi, że jest duże oczekiwanie społeczne, że przedsiębiorcy będą w jakiś sposób dzielić się swoim majątkiem. – Doszliśmy do takiego etapu, że na pewnym poziomie zamożności nie można już się nie angażować. Paradoksalnie, dopiero gdy ktoś to robi, łatwo ściąga na siebie oceny i krytykę. Gdy Lewandowscy przeznaczyli milion euro na walkę ze skutkami covidu, pojawiły się komentarze: czemu tak mało. Bo mogli więcej.

Dlatego trudno powiedzieć, czy polscy filantropi są hojni – wielu się dobroczynnością nie chwali, bo chwalenie się jest źle postrzegane. Jak pisze Sawczuk w raporcie, w Polsce filantropię często odbiera się bowiem jako działanie, którego intencją jest osiągnięcie celów biznesowych lub greenwashing.

Działają anonimowo czasem też dlatego, że traktują pomoc osobiście albo nie chcą zwracać uwagi na siebie czy swoje firmy. Obawiają się hejtu, oskarżeń, że chodzi tylko o marketing. – Opowiadanie o swoich działaniach filantropijnych może być korzystne dla biznesu, ale dlaczego miałoby to być coś zdrożnego? Jeżeli coś robi się z przekonaniem, jest to autentyczne, to dlaczego o tym nie mówić? Chyba lepiej, że ktoś ogłasza w mediach, że zrobił coś dobrego, niż że coś sobie kupił – mówi Sawczuk.

•

Choć jest też coś takiego jak „marketing społecznie zaangażowany". Mamy z nim do czynienia, gdy firma ogłasza, że część dochodów ze sprzedaży przeznaczy na cele charytatywne. – Ma to pozytywny wymiar, ale liczy się intencja. Jeśli chodzi przede wszystkim o zysk, to jest to marketing, nie filantropia – mówi Sawczuk.

Prof. Szarfenberg zwraca uwagę, że nawet jeśli intencją jest samopromocja, to nieważne, jeśli pomoc jest skuteczna. – Szczepionka chroni przed chorobą niezależnie od motywacji darczyńcy. Wartość filantropii możemy i powinniśmy mierzyć nie intencjami, ale realnymi rezultatami.

Na dole rankingu mogą się jednak znaleźć inicjatywy jak kampania marki Tyskie, która łączyła wsparcie Banków Żywności z promocją piwa w kontekście świątecznym. Choć darowizna faktycznie trafiła do potrzebujących, otoczka marketingowa i wykorzystywanie symboliki świąt oraz rodzinnego stołu do promocji produktu, który sam w sobie bywa przyczyną problemów społecznych, jest moralnie wątpliwe. – Takie działanie można interpretować jako przejaw „złej" filantropii, fasadowego wykorzystywania idei pomagania do poprawy wizerunku, bez realnego rozliczania długofalowych skutków i bez uwzględnienia kontekstu społecznych szkód związanych z promowanym produktem – mówi prof. Szarfenberg.

Sawczuk podkreśla, że dobrze jest być w gronie darczyńców. – Wchodzi się do nowych kręgów, gdzie dostępne są nowe możliwości, nowe kontakty pomocne również w prowadzeniu biznesu. Otwierają się drzwi.

Ale ważne jest również i to, że filantropi mogą pokazać innym, co robią. – Filantropia daje im dużo satysfakcji, a nie często mają okazję o tym mówić.

Kolejny pozytyw: gdy przedsiębiorcy mówią, że pomagają jakimś organizacjom, te ostatnie dostają dodatkową uwagę i szanse na więcej darowizn. Organizacje ochrony praw zwierząt często współpracują z osobami publicznymi, bo zauważyły, że ich głos ma większy wpływ na zmiany niż politycy.

Darczyńcy dają też osobisty przykład dla innych przedsiębiorców. – Rafał Brzoska i Omenaa Mensah robią dobrze, że mówią o swojej filantropii. W ramach ich aukcji charytatywnej Top Charity gromadzą wokół siebie więcej przedsiębiorców, którzy angażują się w pomoc. W mediach promują filantropię, dla wielu są inspiracją – mówi.

Współwłaściciel Panattoni zderzał się w swojej karierze z tym, jak negatywnie postrzegana jest Polska. „Mamy ten problem, że nie umiemy mówić, że jesteśmy z siebie dumni. W fundacji chcemy wpływać na reputację kraju w kwestiach gospodarki, nauki i kultury"

Twórca InPostu z żoną skupili się na edukacji – oprócz tego, że pomagają podopiecznym z domów dziecka w Polsce, wspierają dzieci ulicy w Ghanie. W tym roku ich aukcja dzieł sztuki w ramach Top Charity przyniosła prawie 46 mln zł. 22 mln z tej kwoty to prywatna wpłata Brzoski.

•

Osobisty przykład daje też Robert Dobrzycki, prezes i współwłaściciel firmy Panattoni. Jako deweloper nieruchomości przemysłowych zrobił karierę na skalę globalną, rozwinął przedsiębiorstwo na kraje zachodnie i Azję i dziś z Warszawy zarządza całą grupą. Zderzał się w swojej karierze z tym, jak negatywnie postrzegany jest nasz kraj.

– Mamy ten problem, że nie umiemy mówić, że jesteśmy z siebie dumni. W fundacji zależy nam więc m.in. na wpływie na reputację kraju w kwestiach gospodarki, nauki i kultury – mówi zarządzająca Fundacją Roberta Dobrzyckiego Malwina Pawłowska.

Dobrzycki działa filantropijnie od lat, ale teraz założył fundację. Dlaczego? – Fundacja może działać jak biznes, mieć strategię i plan działania. Dzięki niej łatwiej będzie ukierunkować działania, odpowiedzieć na potrzeby – mówi Pawłowska.

Fundacja działa niedługo, od czerwca. Wsparła już m.in. Muzeum Sztuki Nowoczesnej, finansując zakup obrazu Karoliny Jabłońskiej. – Misją fundacji jest promocja Polski, polskich talentów, potencjału. A MSN to miejsce, które będzie rozpoznawalne dla turystów, więc jego działalność wpisuje się w nasz cel – mówi Pawłowska.

Fundacja stworzyła też program Koliber – stypendialny program dla osób wybitnych, finansujący ich dalszy rozwój. Skorzystała już z niego młoda skrzypaczka Katarzyna Ratajczyk, która dzięki grantowi w wysokości 30 tys. funtów rozpoczęła na studia do Royal London Music School. Czyli drugiej najdroższej szkole muzycznej na świecie.

Drugą beneficjentką jest dr Katarzyna Muras-Szwedziak, specjalistka od chorób rzadkich, która mogłaby robić karierę zagranicą, a leczy w Łodzi. Dostała grant na dalszy rozwój.

Od lat pomaga też Dominika Kulczyk, w ramach fundacji Kulczyk Foundation próbując zaradzić dyskryminacji kobiet i dziewczynek na całym świecie.

W Kenii zaangażowała się w Project Elimu, który pomaga dzieciom wyrwać się ze slumsów – wsparła produkcję przedstawienia baletowego w Nairobi, ufundowała stypendia edukacyjne dla 120 dzieci biorących udział w spektaklu i stypendia edukacyjne dla trojga dzieci z wioski Masajów. Również w Nairobi jej fundacja dostarczyła dziewczynkom podpaski, żeby mogły pójść do szkoły. Z ubóstwem menstruacyjnym, które odciska się nie tylko na zdrowiu, ale i na życiowych szansach dziewczynek, Kulczyk walczy także w Nepalu. Z kolei w Gambii jej fundacja wspiera projekt Safe Hands For Girls, usiłujący wykorzenić tzw. FGM, od „female genital mutilation", okaleczanie żeńskich narządów płciowych – czyli obrzezanie dziewczynek. Kulczyk Foundation rozkręca działania edukacyjne w najbardziej konserwatywnych społecznościach, gdzie obrzezanie przeprowadzane jest najczęściej.

Działa i systemowo, i doraźnie – w 2020 r. przekazała 20 mln zł na walkę z koronawirusem, wcześniej z bratem Sebastianem podarowała 100 mln zł na zwalczanie biedy. W 2022 r. kupiła 120-metrowy dom, w którym przed laty mieszkała i pracowała we Francji Maria Skłodowska-Curie. Kosztował prawie 800 tys. euro. Kulczyk chce „uhonorować dziedzictwo noblistki" i stworzyć tam Dom Siostrzeństwa – miejsce spotkań kobiet, które „przekraczają wszelkie znane nam bariery".

Z kolei Lewandowscy – by pozostać przy nazwiskach-symbolach, wywoływanych przez publicystów i aktywistów do tablicy, gdy mowa o filantropii i obowiązkach bogatych – w 2018 r. przeznaczyli 500 tys. zł na rzecz warszawskiego Centrum Zdrowia Dziecka, a 2022 dofinansowali je 420 tys. zł, jakie przyniosła licytacja koszulek i „korków" piłkarza. Para wspiera też WOŚP, np. w zeszłym roku Lewandowska zaproponowała na licytację obóz sportowy, który wykupiono za 130 tys. zł.

Agnieszka Sawczuk mówi, że w młodym pokoleniu polskich przedsiębiorców podejście do filantropii jest inne. Poprzednia generacja – ci, którzy rozpoczęli działalność w latach 90. – czekała, aż zgromadzi majątek, nim zaczęła się dzielić. Młodsi rzadziej czekają, a poza tym chcą dobrze wybrać cel, któremu poświęcą czas i pieniądze.

Obecnie wiele ich uwagi przyciągają obszary związane ze zmianami klimatycznymi, ubóstwem, wyrównywaniem szans, zdrowiem psychicznym, działania wspierające aktywność obywatelską.

Młodsze pokolenie więcej podróżowało, studiowało za granicą. A w krajach anglosaskich filantropia jest naturalną rzeczą, już w szkole uczniowie angażują się w różne inicjatywy. – Młodzi się tego uczyli. Częściej chcą też, by sam biznes wnosił dobro. Uważają, że gromadzenie majątku i budowanie biznesu powinno odbywać się równolegle do prowadzonej działalności społecznej – mówi Sawczuk. ●

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Wojna Łukaszenki z dziennikarzami

Reżim Aleksandra Łukaszenki, od czasu stłumienia protestów w 2020 r. konsekwentnie niszczy na Białorusi niezależne media. Aresztuje dziennikarzy za to, że wykonują swoją pracę i skazuje ich w groteskowych procesach – jak Andrzeja Poczobuta – na kilka lat kolonii karnych. Wiele redakcji zamknięto, a ich dziennikarzy zmuszono do emigracji.

– Tam można być aresztowanym i skazanym za wszystko. W najlepszym razie zrobią ci tylko rewizję w domu – w najgorszym aresztują także twoich krewnych i przyjaciół. Bo według białoruskiego prawa dziennikarze to ekstremiści, a redakcje – to organizacje ekstremistyczne – pisała na naszych łamach jedna z białoruskich dziennikarek. Pisała pod pseudonimem. Anonimowość, choć w naszym zawodzie jej unikamy, na Białorusi jest teraz niezbędnym środkiem bezpieczeństwa. Inaczej reżim może się zemścić na rodzinach – wszyscy nie mogą przecież wyjechać z kraju.

Ale białoruscy dziennikarze są niezłomni. Wierzą w wartość i siłę swojej pracy, w swoją jedność. Wierzą, że kiedyś wrócą do domu i odbudują kraj na fundamentach prawa.

Trzeba o nich pamiętać i pomagać, jeśli o taką pomoc poproszą. Od kilku tygodniu w „Wyborczej" w swoich testach – pisanych w ramach akcji „Wolność dla białoruskich dziennikarzy" – opowiadają, jak teraz wygląda ich praca, jak teraz żyje się na Białorusi.

I zawsze piszą o uwięzionych kolegach, którzy za wolność słowa płacą zdrowiem, i w konsekwencji życiem.

Reżim zaczął jesienią wypuszczać więźniów politycznych. Kilka osób zaledwie. Zmusza ich do emigracji, albo milczenia – i to też trzeba zrozumieć. Ale nadal przetrzymywanych jest wielu dziennikarzy.

Oto sylwetki tylko kilku z nich. Pamiętajmy o nich nie tylko w te święta i życzmy im siły, zdrowia, a przede wszystkim wolności. **Grażyna Żabińska**

1 FOT. DOMENA PUBLICZNA

2 FOT. DOMENA PUBLICZNA

3 FOT. DOMENA PUBLICZNA

4 FOT. BELSAT.EU

5 FOT. DOMENA PUBLICZNA

6 FOT. DOMENA PUBLICZNA

1 **KACIARYNA ANDREJEWA** (ur. 1993) – dziennikarka telewizji Biełsat. Aresztowana w listopadzie 2020 r. skazana na dwa lata za udział w protestach po sfałszowaniu przez reżim wyborów prezydenckich. Po odsiedzeniu części kary dostała kolejny wyrok: osiem lat za zdradę państwa. Z Biełsatem współpracuje od 2017 r. Zajmowała się śledzeniem korupcji wśród białoruskich urzędników i badaniem udziału reżimu Łukaszenki w wojnie w Donbasie.

2 **IHAR LOSIK** (ur. 1992) – bloger prowadzący kanał „Białoruś mózgu". Aresztowany w czerwcu 2020 r. pod zarzutem organizowania imprez godzących w porządek publicznych. Po pół rocznym pobycie w więzieniu wlepiono mu kolejne pół roku za udział w nielegalnych demonstracjach. Pod koniec 2021 r. skazano go na 15 lat więzienia za rzekome podżeganie do nienawiści i organizowanie zamieszek.

3 **ANDREI ALIAKSANDRAU** (ur. 1978) – dziennikarz związany z BelaPAN, niegdyś jedyną niezależną agencją prasową w Białorusi, w latach 2009-12 zastępca przewodniczącego Białoruskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy. Po wybuchu rewolucji po sfałszowanych wyborach prezydenckich w sierpniu 2020 r. prowadził zbiórkę pieniędzy na pomoc ofiarom represji. Oskarżony o zdradę państwa, skazany na 14 lat więzienia.

4 **DZIANIS IWASZYN** (ur. 1979) – dziennikarz związany z niezależnym tygodnikiem „Nowy czas" i ukraińskim portalem Inform Napalm. Aresztowany w marcu 2021 r. wkrótce po opublikowaniu materiału o służbie weteranów ukraińskiego Berkutu (oddział milicji, który rozbijał kijowski euro majdan), którzy znaleźli schronienie w Białorusi i pracę w tamtejszych służbach. Oskarżony o zdradę. W więzieniu przeszedł udar.

5 **MARYNA ZOŁATAWA** (ur. 1977) redaktor naczelna portalu tut.by. Wielokrotnie represjonowana przez władze Białorusi. W maju 2021 r. aresztowana wraz z innymi pracownikami portalu i oskarżona o przestępstwa podatkowe. Skazana na 12 lat więzienia.

6 **PAWIEŁ MAŻEJKA** (ur. 1978) dziennikarz telewizji Biełsat. Wielokrotnie represjonowany. Aresztowany na krótko w marcu 2021 r. pod zarzutem rzekomego gloryfikowania nazizmu, poczym wyjechał do Polski. Gdy w sierpniu 2022 r. wrócił do Białorusi został ponownie aresztowany. Odsiaduje wyrok sześciu lat więzienia.

Wolność dla białoruskich dziennikarzy

Skazany

– Nie wybieramy czasów, w których mamy żyć, ale wybieramy, jak żyjemy – mówi Andrzej Poczobut.

Czy nasz kolega więziony już trzeci rok przez białoruski reżim wyjdzie na wolność? Nadzieja pojawia się i znika. Wiem więcej niż mogę napisać, choć wcale mi z tego powodu nie jest lżej na sercu.

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bartosz T. Wieliński

Andrzej Poczobut, białoruski korespondent „Gazety Wyborczej", choć nie zajmował się polityką, a jako działacz polskiej mniejszości koncentrował się na pielęgnowaniu pamięci o przeszłości i na nauce języka, najwyraźniej stał się jednym z najważniejszych więźniów politycznych na Białorusi. Jednym z najważniejszych atutów, jakie trzyma w garści dyktator Aleksander Łukaszenko czekając na właściwy moment, by go użyć.

Czy to efekt tego, że od trzech lat polskie społeczeństwo obywatelskie głośno upomina się o jego uwolnienie? A może efekt paranoi dyktatora? Z wielu źródeł doszły mnie informacje, że Łukaszenka jest święcie przekonany, że w Polsce szkolony jest białoruski legion, który ma przekroczyć granice, rozpocząć rewolucję i go obalić. Może wierzy, że to, iż trzyma w celi najważniejszego białoruskiego Polaka, zapewnia mu polisę ubezpieczeniową?

Rozmowy w sprawie uwolnienia idą jak po grudzie. Z tego co mi wiadomo, już kilka razy wydawało się, że przełom jest blisko. Ale potem następowało rozczarowanie, bo Białorusini wracali do żądania niemożliwego: zniesienia sankcji nałożonych na reżim po sfałszowaniu wyborów w sierpniu 2020 r. i bezwzględnym stłumieniu rewolucji, która wówczas wybuchła.

Styczeń: wybory, pożegnania i gesty

Być może – to moje spekulacje – przełom nastąpi tuż po Nowym Roku. 26 stycznia Łukaszenka organizuje wybory prezydenckie, zupełną farsę, która ma potwierdzić jego panowanie. Może będzie chciał wcześniej wysłać jakiś pojednawczy sygnał do Zachodu i wypuści więźniów politycznych.

Tydzień wcześniej kadencję skończy prezydent USA Joe Biden. Mogę sobie wyobrazić, że chciałby na koniec prezydentury postawić jeszcze głośny międzynarodowy akord. I w spektakularny sposób znowu zorganizować wymianę rosyjskich i białoruskich szpiegów na więźniów sumienia.

Nie wiem, czy takie rozmowy trwają, choć nowe sankcje nałożone przez USA na Rosję – i te, które planuje się jeszcze wprowadzić – oraz dodatkowe pakiety wsparcia dla Ukrainy nie wróżyły by powodzenia takiej inicjatywy. Ale być może o wymianie więźniów rozmawia się w oddzielnym trybie. W końcu Władimirowi Putinowi zależy też wolności dla swoich siepaczy.

Jeśli terminy przepadną sprawa znowu się przedłuży. Przede wszystkim nowa administracja USA będzie musiała okrzepnąć, rozeznać się w sytuacji, ustalić swoje priorytety, poznać roz-

eprasa.pl 7f7b52c9e4

na ŁAGIER

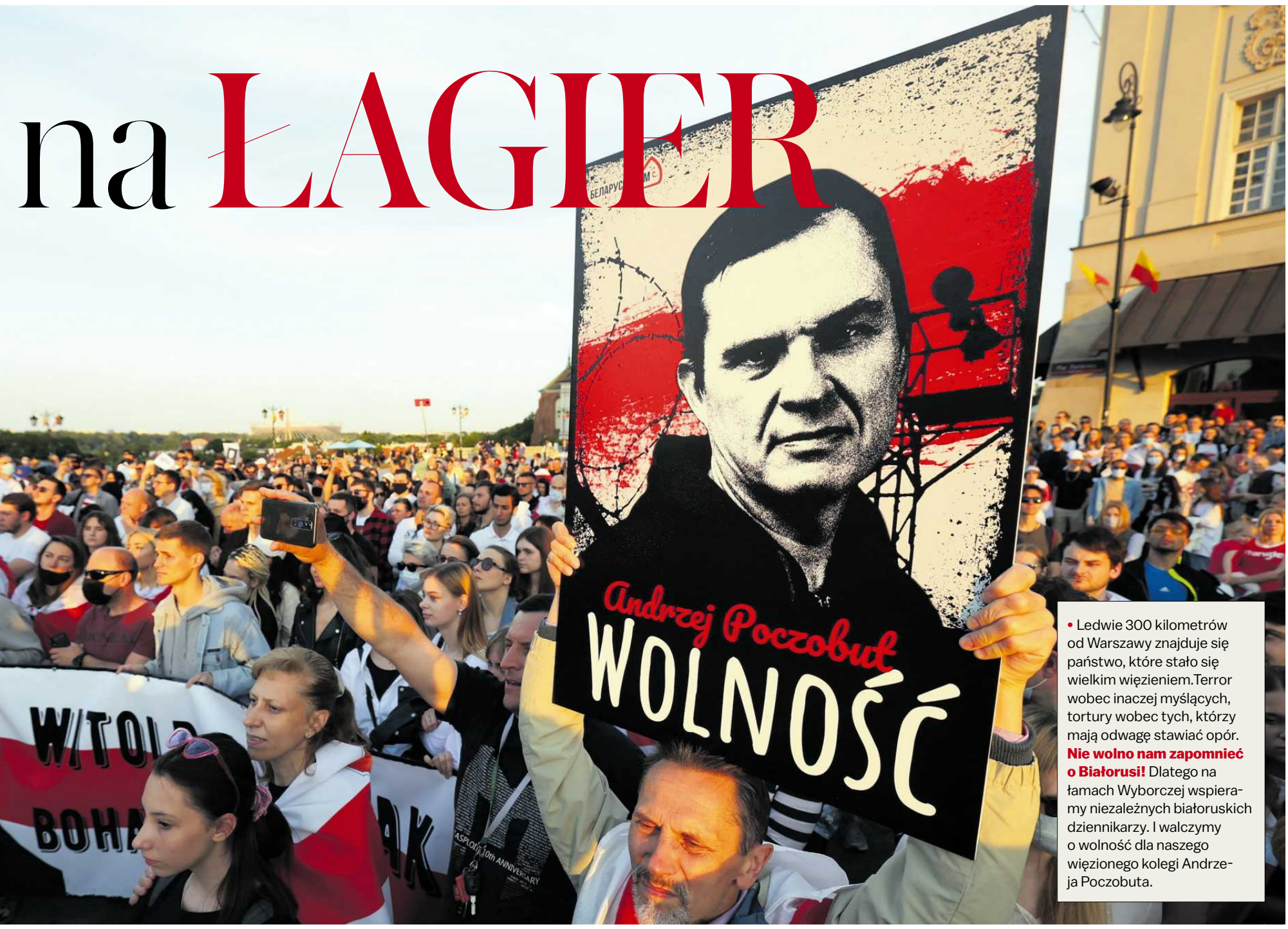

• Ledwie 300 kilometrów od Warszawy znajduje się państwo, które stało się wielkim więzieniem.Terror wobec inaczej myślących, tortury wobec tych, którzy mają odwagę stawiać opór. **Nie wolno nam zapomnieć o Białorusi!** Dlatego na łamach Wyborczej wspieramy niezależnych białoruskich dziennikarzy. I walczymy o wolność dla naszego więzionego kolegi Andrzeja Poczobuta.

• Wiec na Placu Zamkowym w Warszawie (3. 06. 2021) przeciwko dyktaturze na Białorusi, w którym brała udział Swietłana Cichanouska, liderka białoruskiej opozycji. Protestujący domagali się uwolnienia aresztowanego kilka miesięcy wcześniej Andrzeja Poczobuta.

mówców po drugiej stronie stołu. Zakładam jednak, że dla Donalda Trumpa życie więźniów politycznych ma taką samą wartość, jak dla jego poprzednika.

Andrzej listu do dyktatora nie napisał

Nasz przyjaciel i dziennikarz Andrzej Poczobut, działacz Związku Polaków na Białorusi został aresztowany przez KGB 25 marca 2021 r. Data była symboliczna, tego dnia wypadał Dzień Wolności, obchodzona przez białoruska opozycję jako święto, rocznica powstania Białoruskiej Republiki Ludowej w 1918 r.

Poczobuta w kajdankach zawieziono do więzienia w Grodnie, potem do owianej złą sławą Wołodarki, więzienia w Mińsku, kolejną stacją było jeszcze straszniejsze więzienie Żodino.

Tam Poczobutowi zaoferowano układ: napisze do dyktatora Aleksandra Łukaszenki prośbę o łaskę i wyjdzie z celi by udać się na banicję do Polski. Poczobut odmówił. – Nie wybieramy czasów, w których mamy żyć, ale wybieramy, jak żyjemy – pisał w jednym z więziennych listów. Tej zasadzie pozostaje nieustannie wierny i płaci za to własną krwią.

Odmowa napisania błagalnego listu do dyktatora rozwścieczyła jego oprawców. Poczobuta uznano za ekstremistę, poważnie zaostrzono wobec niego więzienne szykany, celowo zakażono go koronawirusem. Jego wymizerowaną twarz po raz pierwszy zobaczyliśmy 8 stycznia 2023 r., gdy wprowadzono go do klatki na sali rozpraw sądu w Grodnie. W telewizyjnej migawce, w jego oczach widziałem ogień i pogardę wobec reżimu.

Groteskowe zarzuty i proces

Proces skończył się po miesiącu. Sędzia Dzmitryj Bubieńczyk, w pełni dyspozycyjny wobec reżimu, specjalista od spraw politycznych, wydał wyrok osiem lat łagru o zaostrzonym rygorze. Andrzeja skazano za rzekome nawoływanie do waśni narodowych (tak reżim ocenił jego pracę dla polskiej mniejszości) i działanie na szkodę Białorusi (dowodami w sprawie były publikacje Andrzeja w „Wyborczej").

W lipcu zeszłego roku, po nieudanej apelacji, Poczobuta z Grodna przewieziono pod rosyjską granicę do Nowopołocka, do Kolonii Karnej nr 1, strasznego łagru, gdzie więźniów – tak jak w czasach istnienia ZSRR – powoli zabija się ciężką fizyczną pracą. Poczobut z miejsca został ukarany karcerem. Mimo złego stanu zdrowia (Andrzej ma problemy z krążeniem, infekcję koronawirusem przeszedł źle) zgodę na wymierzenie mu tej dodatkowej kary podpisał więzienny felczer.

Karcer, zwany po rosyjsku szizo (skrót od sztrafnyj izolator, karna izolatka), to wybetonowane ciasne pomieszczenie bez okien, w którym mieści się składane łóżko. Nawet latem panuje w nim przeraźliwy chłód, często na posadce stoi woda. Więzień rano musi złożyć łóżko. Do wieczora w celi może tylko stać. Takie warunki Andrzej Poczobut przetrzymał przez wiele miesięcy. Nie pękł.

Wymiana politycznych na szpiegów

Dlaczego piszę w kontekście Andrzeja o Amerykanach? 1 sierpnia świat zaskoczyła wiadomość o wielkiej wymianie między Rosją a Zachodem. Z więzień w Rosji zwolniono dysydentów m.in. Ilię Jaszyna czy Władymira Kara Murzę. Więzienia na Zachodzie opuścili pojmani rosyjscy szpiedzy i mordercy pracujący dla służb Putina.

Jeden z wymienionych rosyjskich agentów siedział w polskim areszcie. To Paweł Rubcow znany jako Pablo Gonzalez, oficer GRU działający w Zachodniej Europie pod przykrywką hiszpańskiego dziennikarza i żarliwego obrońcy demokracji.

Gdy okazało się, że to m.in. on wyszedł z wiozącego zwolnionych szpiegów samolotu, który wylądował w Moskwie (przybyszów witał na lotnisku sam rosyjski prezydent Władimir Putin), w Polsce pojawiły się pytania, dlaczego w zamian nie uwolniono Poczobuta.

Jak się okazało wtedy Amerykanie byli głusi na prośby w sprawie dziennikarza, sprawą wymiany zajmowała się zresztą kancelaria prezydenta Andrzeja Dudy, do którego osobiście dzwonił później prezydent USA Joe Biden.

Przysługa za przysługę. Czy Amerykanie o tym pamiętają?

Pytam, gdzie mogę, czy Amerykanie przyłączą się do zabiegów o uwolnienie polskiego dziennikarza. Moi rozmówcy w tej sprawie konsekwentnie milczą. Pozostaje mieć nadzieje, że tak się właśnie dzieje. W końcu Polska wypuszczając Gonzaleza wyświadczyła USA dużą przysługę.

Nie można jednak wykluczyć, że Andrzej znowu na własnej skórze odczuje skutki tego, że historia bierze zakręt. W końcu gdyby nie napaść Putina na Ukrainę, pewnie udałoby się go z białoruskiego łagru wyciągnąć czy wykupić w 2022 r.

Gdyby nie zdrada sędziego Tomasza Szmydta, który w maju uciekł na Białoruś, Poczobut już pewnie byłby w Polsce. Rozmowy wówczas jakoś się toczyły, ale po dyplomatycznym skandalu, który wybuchł po zdradzie sędziego, załamały się. Andrzej po krótkim pobycie w zwykłej celi znowu wrócił do karceru.

Ale teraz dowiadujemy się – i jest to pewna informacja – że reżim znowu go z szizo wypuścił, że zajął się z nim lekarz, że jakoś w zwykłej celi wraca do siebie po miesiącach gehenny. Czy to znaczy, że w styczniu Łukaszenka dopnie jakiegoś targu i go wypuści? Czy do akcji wejdą Amerykanie? Czy może znowu po krótkiej chwili nadziei Andrzeja wrzucą w czeluść karceru kolonii karnej nr 1 w Nowopołocku? ●

OGŁOSZENIE Kraj/34349074

Wolność
dla białoruskich dziennikarzy

ORGANIZATOR
wyborcza.pl

eprasa.pl 7f7b52c9e4

WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ

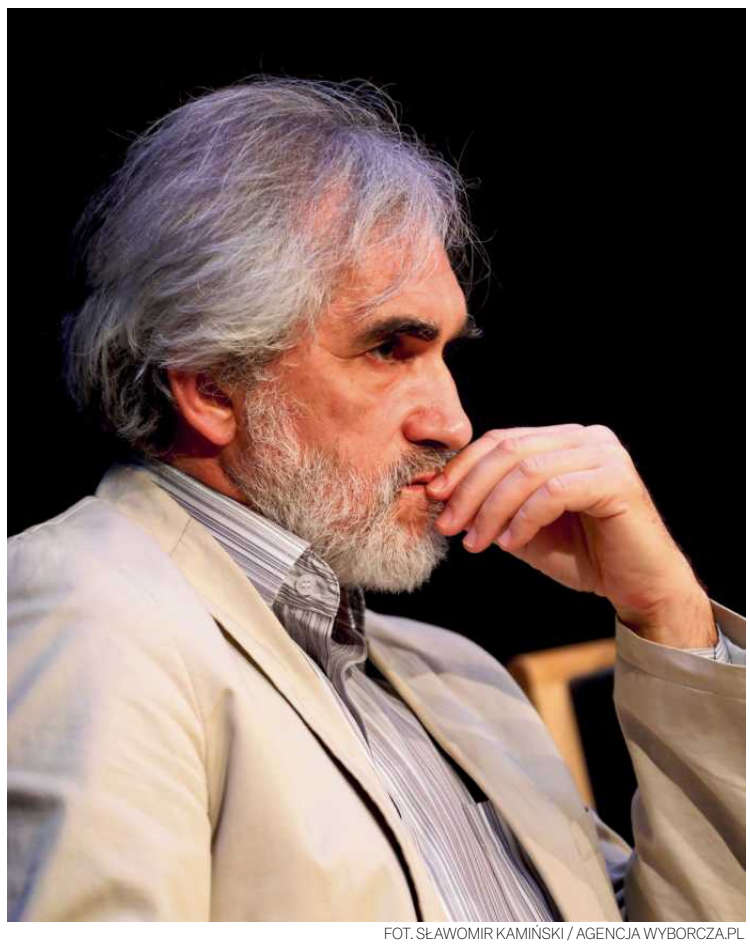

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jarosław Hrycak:

CAŁA NADZIEJA W EGO TRUMPA

– Cel Moskwy w Ukrainie zawiera w sobie upokorzenie Ameryki. Niewykluczone więc, że sytuacja musi się dla nas pogorszyć, zanim się poprawi – mówi ukraiński historyk Jarosław Hrycak.

Florian Sädler

WELT

Jarosław Hrycak należy do najbardziej znanych na Zachodzie ukraińskich intelektualistów. Wykłada na Uniwersytecie Katolickim we Lwowie, regularnie publikuje w wielu językach, ostatnio wydał książkę „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości" – niezwykłą, bo napisaną z myślą o przyszłości historię swojego kraju. Jeden z jego synów został niedawno powołany do wojska. „Ludzie są zmęczeni" – przyznaje Hrycak, ale nie traci nadziei.

●●●

Co zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach w USA może oznaczać dla Ukrainy?
Jarosław Hrycak: Do tej pory mieliśmy do czynienia z wielką niepewnością. Teraz Trump wygrał, niepewność pozostaje – ale do tego doszedł też chaos. Wielu Ukraińców ma szczerą nadzieję, że Trump zaoferuje pokój. Są zmęczeni i wyczerpani, chcą, by wojna się wreszcie skończyła. Osobiście nie podzielam tych oczekiwań. Nie widzę sposobu, w jaki nowy prezydent USA mógłby skłonić Putina do negocjacji i kompromisu. Po pierwsze, Putin jasno i dobitnie zakomunikował swoje plany: chce wymazać całą Ukrainę z mapy. Po drugie, sprawy układają się teraz po myśli Kremla. Dlaczego więc miałby odpuścić? Moją jedyną nadzieją jest ogromne ego Trumpa. Jeśli tylko poczuje, że ponosi porażkę z Putinem, albo został przez niego w jakikolwiek sposób upokorzony, może wręcz zwiększyć pomoc dla Ukrainy. Więc niewykluczone, że sytuacja musi się dla nas pogorszyć, zanim się poprawi.

Dyskusje o genezie i motywach tej wojny toczą się głównie w kategoriach geopolityki. Jeśli w ogóle mówi się o historii, to zazwyczaj o zaledwie ostatnich kilku dekadach. Czy jako historyk nie sądzi pan, że należałoby cofnąć się o całe wieki, jeśli chcemy lepiej zrozumieć ten konflikt?
– Dzisiejsza ukraińska tożsamość w dużej mierze opiera się na micie Kozaków – ukraińskich bojowników o wolność. Z tym że używając terminu mit, nie mam na myśli sfałszowanej historii. Kozacy byli również w Rosji i innych częściach naszego regionu. Sedno polega na tym, że można łatwo napisać rosyjską historię bez Kozaków. Ale nie można bez Kozaków napisać ukraińskiej historii. Są oni jej kluczowym elementem – symbolem społeczeństwa obywatelskiego zorganizowanego oddolnie i zawsze gotowego do stawiania oporu agresorom. To, powiedziałbym, rdzeń ukraińskiej narracji historycznej. Więc owszem, trzeba cofnąć się daleko wstecz, aby dokładnie zrozumieć obecną sytuację.

Pisze pan w swojej nowej książce, która ukazała się właśnie w Niemczech pod tytułem „Ukraine. Biographie einer bedrängten Nation", że historia Ukrainy jest „przesiąknięta ekstremalną przemocą". Obie wojny światowe, wojny domowe, kampanie terroru ordynowane z Moskwy, około czterech milionów ofiar śmiertelnych Hołodomoru, wielkiego głodu z początku lat 30. Czy zbiorowa pamięć o tym wszystkim to zasadniczy powód, dla którego Ukraińcy tak gwałtownie sprzeciwiają się ponownej próbie Rosji podporządkowania ich sobie?
– Niewątpliwie. Traumy tkwiące w zbiorowej świadomości są często ważniejsze dla kształtowania tożsamości narodowej niż chwalebne zwycięstwa. Hołodomor jest kluczowy w przypadku Ukrainy. Ukraina była w czasie bezpośrednio przed inwazją Rosji podzielona na wiele sposobów – wschód kontra proeuropejski zachód, rosyjskojęzyczni kontra ukraińskojęzyczni. Ale w pamięci o Hołodomorze wszyscy Ukraińcy znaleźli wspólny mianownik, konsensus. Niezależnie od tego, jakim językiem mówią, zgadzają się, że była to zaplanowana zbrodnia, sztucznie wywołany głód, za który odpowiedzialny był Stalin. I – co najważniejsze – przytłaczająca większość, 90 proc. Ukraińców, zgadza się, że było to ludobójstwo.

Któremu Rosja zaprzecza do dziś.
– W samej Rosji długo radzono Putinowi, aby potępił Stalina i przyznał, że jego decyzje były również katastrofą dla Rosjan – w ten sposób można by zbliżyć Ukraińców do Rosji. Ale Putin tego nie zrobił. Putin – podobnie jak Trump, jak Orbán, jak każdy populista – nadużywa pamięci historycznej, manipulując nią bezwstydnie. Politycy jego rodzaju chcą stworzyć wrażenie, że gdzieś w przeszłości miał miejsce złoty wiek: kiedyś byliśmy wspaniali i do tego musimy wrócić.

> *Ukraina nie miała swojego złotego wieku. Nie mamy do czego wracać. Dlatego patrzymy tylko w przyszłość*

I tu dotykamy specyfiki ukraińskiej historii: Ukraina nie miała swojego złotego wieku. Nie mamy do czego wracać.

Trzeba więc patrzeć w przyszłość?
– Otóż to. To należy zrozumieć w pierwszej kolejności: w tej wojnie chodzi o dwie wizje tego, jak radzić sobie z przeszłością. Czy dążyć do dawnej wyobrażonej chwały, czy powiedzieć: nie, nigdy więcej. Ukraiński złoty wiek czeka na nas w przyszłości, kiedy już wyjdziemy z rosyjskiego cienia. Kiedy zostawimy całe cierpienie za sobą.

Putin lubi prezentować się jako wytrawny znawca historii, kiedy posługiwanie się argumentami czerpanymi z historii mu odpowiada: w swoich przemówieniach, esejach, podczas spotkań z prawdziwymi historykami. Jakie wrażenie to na panu robi?
– Chce mi się od tego wymiotować. Bo nie da się już tych wszystkich bredni słuchać. Żaden historyk nie może tego traktować poważnie.

Dlaczego?
– Krym jest dobrym przykładem. Gdybym argumentował jak Putin, doprowadziłoby mnie to do wniosku, że Krym musiałby zostać zaanektowany przez Grecję, skoro był zamieszkany przez Greków na długo przed Rosjanami. Albo przez Iran, bo Scytowie – lud posługujący się językami irańskimi – też tam żyli przez jakiś czas. W Europie panuje od dawna konsensus: historia nie jest wykorzystywana do legitymizowania bieżącej polityki. W Europie prawdopodobnie żadne państwo nie ma absolutnie sprawiedliwych granic, być może z chwalebnym wyjątkiem Islandii.

Dlatego istnieje zgoda co do tego, że skoro każdy przebieg granic da się historycznie zakwestionować, to się takiej praktyki – uzasadniania granic terytorialnych pretensjami historycznymi – nie stosuje.

Ponieważ jak tylko się to zrobi, niechybnie wybuchnie wojna. Putin mówi natomiast, że tak, istnieją docelowe, idealnie sprawiedliwe granice, a więc należy je przywrócić. To nonsens. Zwłaszcza w przypadku państw tak rozległych jak Ukraina i Rosja, ponieważ ich dzieje charakteryzują się migracjami trwającymi przez długi czas, dłużej niż gdziekolwiek w Europie Zachodniej. Trudno u nas znaleźć region, w którym grupy etniczne nie nakładają się na siebie w gęstym od warstw historycznym palimpseście.

Dlaczego zatem ten argument używany przez Putina wciąż trafia do tak wielu ludzi? Szczególnie Niemcy wydają się być na to podatni – przynajmniej według ekspertów zajmujących się bezpieczeństwem rosyjska propaganda już dawno uznała Niemcy za kraj, w którym ma dużą szansę na sukces ze swoim przekazem.
– Przykro mi to mówić, ale podstawowym wyjaśnieniem jest ignorancja. Wiedza historyczna pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza na Zachodzie, całym, nie tylko w Niemczech. Wiele osób w Europie prawie nic nie wie o historii Europy Wschodniej i w ogóle nie chce się nią zajmować ani jej uwzględniać. Wolą przyjmować stereotypy, ponieważ to zawsze łatwiejsze.

W niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel" powiedział pan, że Putin podjął decyzję o militarnym ataku na Ukrainę już w 2008 r. Skąd to przekonanie?
– W 2014 r., podczas protestów na kijowskim Majdanie, pracowałem w pewnym think tanku. Tamtejszy ekspert ds. bezpieczeństwa, który zresztą obecnie zajmuje bardzo prominentne stanowisko, zwrócił naszą uwagę na pewien artykuł. Został on najpierw opublikowany w mało znanym włoskim magazynie „Limes", ale później przedrukowano go w kilku renomowanych ukraińskich gazetach. Już ten tekst wyraźnie dowodził, że Rosja po pomarańczowej rewolucji, a jeszcze przed wyborczą wygraną prorosyjskiego Wiktora Janukowycza podjęła decyzję o ukaraniu Ukrainy agresją militarną, jeśli będzie ona nadal przesuwać się na Zachód. Kreml chciał od początku utrzymać ten kraj w orbicie Rosji, i była to informacja w zasadzie publicznie dostępna – ale w tamtym czasie wydawała się bardzo nierealna, jak political fiction. Nikt na Zachodzie nie chciał wierzyć, że Rosja wywoła wojnę w Europie.

Wiele osób nadal obwinia „nieodpowiedzialny" Zachód

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

za tę wojnę, a jednym z ich głównych argumentów jest to, że Waszyngton i Bruksela próbowały wciągnąć Ukrainę w swoją orbitę poprzez aktywność organizacji pozarządowych, propagandę i presję polityczną. Jest w tym jakiś okruch prawdy?
– Ująłbym to cynicznie: chciałbym, żeby tak było. Wtedy prawdopodobnie mielibyśmy dużo większe wsparcie na obecnym polu walki. Nie, nie sądzę, by to była prawda. Natomiast wiem, że jeśli ktoś używa tej narracji, to zarazem ignoruje coś istotnego, a mianowicie potrzebę samostanowienia. W takim przestarzałym, anachronicznym ujęciu nie ma znaczenia, co myślą i czego chcą ludzie w Ukrainie – ich aspiracje można ignorować. W takim ujęciu są tylko NATO i Rosja, geopolityczny zielony stolik targów i negocjacji ponad głowami mniejszych graczy – i z tego składa się cała historia. Zastanówmy się jednak, dlaczego Polacy, Czesi i Bałtowie chcieli tak bardzo dołączyć do NATO?

Ze względów bezpieczeństwa.
– Tak, ponieważ mają własne historyczne doświadczenia. Dobrze pamiętają gwałtowną reakcję Rosji na powstanie ludowe w Budapeszcie w 1956 r., na Praską Wiosnę w 1968 r., na „Solidarność" w Polsce w 1981 r. Dla nas taką lekcją jest Stalin i jego Hołodomor.

Przystąpienie do NATO nie jest dla nas luksusowym kaprysem. Chodzi o rozwiązanie naszego głównego problemu – podstawowego bezpieczeństwa. Dla ludzi takich jak my, żyjących między Moskwą a Zachodem, Rosja oznacza niebezpieczeństwo. Egzystencjalne niebezpieczeństwo.

A jednak nie zostaliśmy przyjęci do NATO. Byliśmy przez Zachód ignorowani przez ostatnie 20 lat.

Po trzech latach wojny prezydent Wołodymyr Zełenski jest coraz częściej krytykowany w kraju, oponenci zarzucają mu klientelizm i bulwersujące skróty w procesach decyzyjnych. Jak duże jest ryzyko, że może on skręcić w stronę autorytaryzmu?
– Bez wątpienia istnieje takie ryzyko. W działaniach Zełenskiego dostrzegam pewne tendencje autorytarne. Ale po pierwsze, jesteśmy w stanie wojny – a w tak wyjątkowych okolicznościach taki styl rządzenia jest czymś poniekąd nieuniknionym. Po drugie, Zełenski nie jest Łukaszenką, Janukowyczem czy Maduro, to polityk wierzący w demokrację. A po trzecie, nawet gdyby próbował odwrotu od demokratycznego paradygmatu, to Ukrainie już kilka razy udało się zapobiec próbom narzucenia przez państwo bardziej autorytarnego systemu. Powiedziałbym więc: ryzyko istnieje, ale nie jest duże. Z takim możemy sobie poradzić. ●

Ze wsparciem Muska na Wyspach

Partia Farage'a pnie się w sondażach

Partia Reform UK po raz pierwszy w jednym z sondaży wyprzedza rządzącą Partię Pracy. A właściciel Tesli Elon Musk szykuje setki milionów dla brytyjskiej prawicy. Nigel Farage, człowiek, który przypisuje sobie doprowadzenie do brexitu, zapowiada: „To dopiero początek naszej rewolucji".

Antonello Guerrera
Korespondencja z Londynu

la Repubblica

Chmury gęstnieją nad brytyjską polityką od dawna, ale nigdy nie były tak ciemne jak dzisiaj. Ich uosobieniem jest Nigel Farage. Nazwisko znane od dawna, ale wydarzenia ostatnich dni szczególnie sprzyjają temu brytyjskiemu eurosceptykowi, który obecnie jest liderem prawicowej, antyimigracyjnej partii Reform UK, będącej bardzo poważnym zagrożeniem dla ugrupowań „tradycyjnych", zarówno laburzystów, jak i torysów.

Chodzi o fakt, że mała partia Farage'a wyprzedza laburzystów premiera Keira Starmera. Przynajmniej w pierwszym sondażu, który rejestruje właśnie takie przetasowanie na poziomie krajowym. Został przeprowadzony przez platformę Find Out Now, która przepytała reprezentatywną próbę 2,6 tys. osób. Konserwatystom pod przywództwem nowej liderki Kemi Badenoch sondaż daje 26 proc., laburzystom 23 proc., a pomiędzy tymi dwoma starymi partiami plasuje się właśnie ugrupowanie Nigela Farage'a z wynikiem 24 proc.

„Ale to tylko początek", zapowiada Farage. A formalny przewodniczący Reform UK, multimilioner Zia Yusufil, mówi: „Wygramy następne wybory". Odbędą się one dopiero w 2029 r., oczywiście o ile wewnątrz rządzącej Partii Pracy, która obecnie dysponuje olbrzymią większością w Westminsterze, nie dojdzie do jakiegoś niespodziewanego kataklizmu.

FOT. MINA KIM / REUTERS
• Nigel Farage

Czy ten sondaż jest realistyczny? Trudno powiedzieć. Inne sondażownie wciąż umieszczają Partią Pracy przed Farage'em, z dość wyraźną przewagą. Partia Reform UK w lipcowych wyborach zdobyła wprawdzie tylko pięć miejsc w parlamencie, ale zarazem zyskała poparcie blisko 15 proc. wyborców. Mała liczba mandatów wynika z obowiązującego w Wielkiej Brytanii systemu wyborczy „First Past the Post" (wyborca wskazuje po prostu jedno nazwisko spośród wszystkich kandydatów w okręgu), który faworyzuje dwie tradycyjne partie, czyli Partię Pracy i Partię Konserwatywną.

Wejście Muska do brytyjskiej polityki

Ale perspektywy są niepokojące dla obu dużych partii. Farage ma sojuszników, którzy mogą pchnąć go na szczyt.

Należy do nich Elon Musk, który kilka dni temu na platformie X zasugerował, że znajdzie sposób, by hojnie wspomóc Farage'a. Według „Sunday Times", najbogatszy człowiek na świecie gotów jest dać mu na kampanię co najmniej 100 milionów funtów. Musk już jest filarem administracji Donalda Trumpa, a rzeka pieniędzy dla Farage'a jest elementem budowy nowej międzynarodowej sieci konserwatywnych populistów, projektowanej przez Muska.

Założyciel SpaceX i właściciel X mógłby ominąć brytyjskie przepisy zakazujące zagranicznego finansowania kampanii, przelewając miliony do kasy Farage'a i jego partii za pośrednictwem jednego z biur prawnych, które X ma w Wielkiej Brytanii.

Partia Pracy, świadoma, że w triumfie Donalda Trumpa w Ameryce pomogło prawie 500 mln dolarów od Muska, już przygotowuje się na taką ewentualność i zaostrza przepisy dotyczące finansowania partii przez osoby prywatne.

Farage – nie wolno zapominać – to wielki przyjaciel Trumpa. Są tak sobie bliscy, że w ostatnich latach obecny amerykański prezydent elekt pozwalał, aby Farage organizował mu wiece wyborcze w Stanach. Trump i Farage to tylko ogniwa w międzynarodowej galaktyce populistów, którą Musk zamierza zbudować za pośrednictwem X i swojej szybko powiększającej się fortuny.

Farage odbiera głosy. Najpierw torysom

Tak czy inaczej Starmer i jego partia zaczynają poważnie traktować zagrożenie ze strony Farage'a. Przypomnijmy, że nieoczekiwany i błyskawiczny powrót do gry Farage'a na początku roku walnie przyczynił się do spektakularnego zwycięstwa Partii Pracy w lipcowych wyborach, ponieważ Reform UK ukradła kilka milionów głosów konserwatystom. W Wielkiej Brytanii obowiązuje system okręgów jednomandatowych – odebrane konserwatystom głosy oznaczały, że w wielu okręgach wygrała centrolewica.

Teraz wielu urzędników na Downing Street, a także w Whitehall obawia się scenariusza z ostatniej kampanii w USA: jeśli rząd Starmera w oczach Brytyjczyków poniesie porażkę (a w sondażach Partia Pracy już wypada coraz słabiej), kraj naprawdę może skręcić w prawo, i to bardzo radykalnie.

O ile w ostatnich wyborach Farage podał – mimowolnie – pomocną dłoń laburzystom, następnym razem może im zadać bardzo ciężkie ciosy, odbierając partii Starmera wiele okręgów. Zwłaszcza w najbardziej ubogich i zdezindustrializowanych obszarach Anglii i Walii. Takich jak Clacton on Sea, gdzie w lipcu tego roku Farage po raz pierwszy w swojej politycznej karierze wywalczył mandat do Westminsteru. Groźba rewolucji w politycznym układzie w Wielkiej Brytanii jest realna.

Kilka dni temu konserwatywny tygodnik „Spectator" uznał Farage'a za „politycznego nowicjusza roku". A sam Farage stwierdził: „Byliście wstrząśnięci, kiedy kilka miesięcy temu ja i czterech innych posłów Reform UK zostaliśmy wybrani do parlamentu... Cóż, to dopiero początek. I bardzo wam współczuję, ponieważ w 2029 r. w parlamencie znajdą się setki kolejnych „nowicjuszy" z Reform UK. Będziecie świadkami rewolucji politycznej, jakiej nie widziano od czasów I wojny światowej. Wygramy następne wybory, bądźcie gotowi".

Niektórzy w Westminsterze nadal śmieją się z tych zapowiedzi. A jednak wielu, patrząc na tegoroczny przebieg wypadków za oceanem, już się obawia, że jeśli Starmer zawiedzie w swoich wysiłkach, by uporządkować kraj po brexicie (migracja, układy handlowe, obronność), ten koszmar liberalnej części społeczeństwa może stać się rzeczywistością. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

Parlament Europejski
• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

OGŁOSZENIE PŁATNE
Kraj/34353189

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

ADAM MICHNIK POLECA

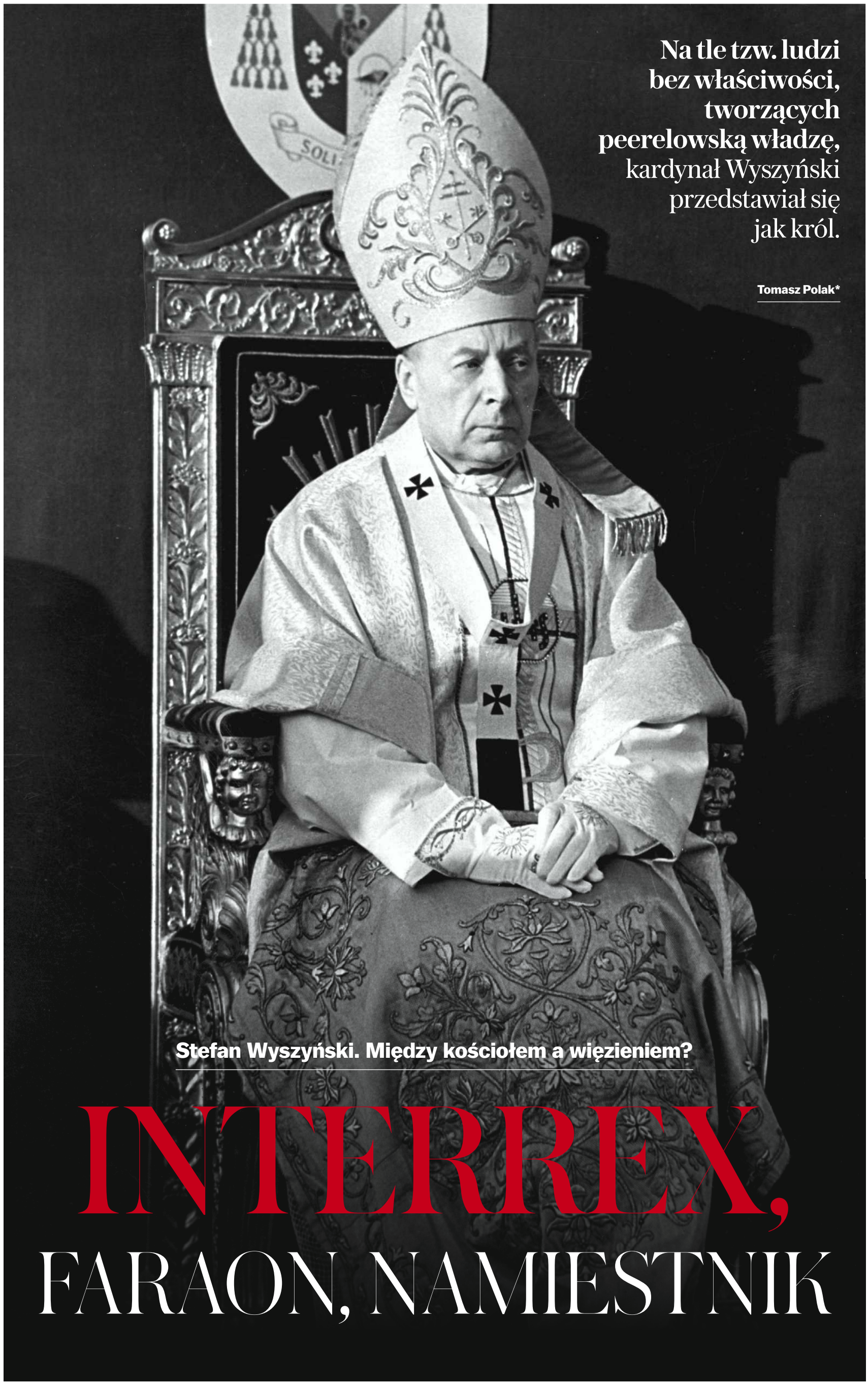

Na tle tzw. ludzi bez właściwości, tworzących peerelowską władzę, kardynał Wyszyński przedstawiał się jak król.

Tomasz Polak*

Stefan Wyszyński. Między kościołem a więzieniem?

INTERREX, FARAON, NAMIESTNIK

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Kim był i kim jest dzisiaj Stefan Wyszyński? Wydawałoby się, że jedna z kluczowych postaci powojennej historii Polski pozostanie odnośnikiem – czy memem – naszej społecznej świadomości w co najmniej takim stopniu, w jakim jest nim Karol Wojtyła. Ale nie.

Wyszyński jest oczywiście pamiętany, ale najwyraźniej głównie przez tych, którzy zdają sobie sprawę z tego, jakie są skutki jego dominującej obecności nie tylko w polskim Kościele katolickim, ale po prostu w powojennej Polsce. Jest też z zupełnie oczywistych powodów pamiętany i celebrowany przez tych, a może raczej przez te, które czują się powołane do strzeżenia jego „dziedzictwa".

(Mam na myśli przede wszystkim członkinie tzw. Instytutu Prymasowskiego, erygowanego przez niego formalnie 3 maja 1957 r., ale faktycznie istniejącego jako grupa kobiet współpracujących z nim intensywnie od lat wojennych, tzw. ósemka).

Jest za to zadziwiająco nieobecny i zapomniany w świadomości i wypowiedziach większości ludzi kształtujących dzisiaj polski Kościół, choć wielu z nich jest jego instytucjonalnymi wnukami. Nie pomogła nawet beatyfikacja prymasa. To akurat nic dziwnego. Beatyfikacje i kanonizacje to klasyczne sposoby kościelnego „upupiania" wyrazistych postaci. „Błogosławiony Stefan kardynał Wyszyński" jest już całkowicie niegroźny.

Co więc się stało za jego sprawą i co z tego pozostaje?

Robił wrażenie

Spotkałem go wiele razy. Zawsze publicznie. Opiszę trzy z tych spotkań – takie, w których symbolicznie pokazały się te charakterystyczne cechy osobowości Stefana Wyszyńskiego, które zdecydowały o tym, jak odcisnęła się ona w historii powojennej Polski i polskiego Kościoła.

Kiedy zabierałem się do pisania tego tekstu, spontanicznie przypomniały mi się najpierw te właśnie trzy spotkania, co znaczy, że jak to się ładnie mówi, wywarły na mnie kiedyś silne i niezatarte wrażenie. To nie tylko moje doświadczenie. Ten człowiek niewątpliwie wywierał wrażenie – a że okupował jeden z kluczowych węzłów naszej powojennej historii, owo wrażenie okazało się nieusuwalną pieczęcią wyciśniętą na tejże historii jego mocną ręką.

Spotkanie pierwsze: Poznań, 16/17 kwietnia 1966

To był, jak wiadomo, czas tzw. obchodów milenijnych. W przeddzień przewidzianej na 17 kwietnia 1966 r. uroczystości na poznańskim Ostrowie Tumskim Stefan Wyszyński, w towarzystwie całego episkopatu, przyjechał do poznańskiej Fary z kopią obrazu jasnogórskiego, który według jego pomysłu nawiedzał polskie kościoły.

Tak się złożyło, że w kinach można było w tamtych dniach oglądać film Jerzego Kawalerowicza „Faraon". Poznańscy studenci chodzili zatem tego wieczora po mieście z okrzykami: „Fara On!" z oczywistym akcentem na „On".

Nikt ich do tego nie namówił. To było całkowicie spontaniczne i po studencku dowcipne, ale ów dowcip został politycznie przygotowany i uruchomiony przez niemądry pomysł ówczesnych władz z Władysławem Gomułką na czele, by równolegle do kościelnych obchodów „Milenium Chrztu Polski" przeprowadzać w tych samych miejscach i w tym samym czasie oficjalne obchody „Tysiąclecia Państwa Polskiego". To musiało się skończyć tak, jak się skończyło, czyli wizerunkową klęską Gomułki.

Następnego dnia Stefan Wyszyński przemawiał podczas mszy „milenijnej" pod poznańską katedrą. Stałem w tłumie na placu katedralnym, a na jego obrzeżach przyrastały szeregi osób z biało-czerwonymi szturmówkami. To byli poznaniacy, którzy z oficjalnej uroczystości państwowej na pl. Mickiewicza przenosili się pod katedrę, zostawiając na placu wściekłego Gomułkę.

W przemówieniu tego dnia Gomułka atakował prymasa jako wroga polskiej racji stanu: „umysł przewodniczącego episkopatu polskiego, który z tych tragedii, jakie spotkały Polskę, wyciąga taki tylko wniosek, że naród polski mógł »bardzo często być i bez króla, i bez wodza, i bez zwierzchników, i bez premierów, i bez ministrów, ale naród ten nigdy nie żył bez pasterza«, jest »ograniczony i wyzbyty narodowego poczucia państwowości«".

Żeby zobaczyć różnicę, starczy spojrzeć na najbardziej znane zdjęcie Stefana Wyszyńskiego przemawiającego tego samego dnia przed poznańską katedrą: z rozłożonymi ramionami w geście triumfujących imperatorów...

W przemówieniu Wyszyńskiego nie ma osobistych ataków. Tytuł: „To jest zwycięstwo, które zwycięża świat, wiara nasza". To cytat z 1 Listu Jana, skądinąd słowa, którymi w historii nieraz manipulowano politycznie. Starczy powiedzieć, że te same słowa można przeczytać na frontonie ewangelickiej katedry w Berlinie – kościoła zbudowanego jako wyraz triumfu protestantyzmu kulturowego cesarskich Niemiec. To z pozoru dalekie skojarzenie nie jest bynajmniej bez sensu.

Wracam do Gomułki. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że wtedy przegiął tak bardzo, iż musiało się to skończyć tak, jak się skończyło, czyli głosowaniem jego słuchaczy nogami. (Podobno I sekretarz wyjechał tego dnia z Poznania nawet bez zjedzenia obiadu). Nie chodzi jednak o anegdotyczny wymiar sprawy.

Te dni pokazały kwintesencję politycznej siły Wyszyńskiego i bezradności wobec niego ówczesnych władz. Pokazały, moim zdaniem, zarazem niebezpieczną ambiwalencję owej politycznej siły ówczesnego prymasa. Czy to był zatem publiczny triumf kardynała-„interreksa"? Nie do końca. Dlaczego nie – o tym dalej.

Spotkanie drugie: Gniezno, 28 kwietnia 1974

Drugi raz z bliska zobaczyłem go osiem lat później, w kwietniu 1974 r., kiedy jako klerycy pierwszego roku pojechaliśmy na „uroczystości świętowojciechowe" do Gniezna. Po mszy i procesji poszliśmy wszyscy na obiad do tamtejszego seminarium. Zgodnie z hierarchicznym porządkiem rzeczy my, klerycy, siedzieliśmy pod ścianą na końcu sali. W pewnym momencie ku naszemu zaskoczeniu przyszedł do nas prymas Wyszyński z tortem, który przyniósł ze stołu prezydialnego. Byliśmy pod wrażeniem.

Stefan Wyszyński, prawdziwy więzień komunistów, też zbudował „więzienie". Udekorowane słowami o wolności i godności. Kościół polski trwa w nim do dziś

Kiedy dzisiaj o tym myślę, widzę z jednej strony swobodne złamanie przez niego „feudalnego" porządku kościelnej społeczności, co przyszło mu najwyraźniej z łatwością. Może przesadzam, ale sądzę, że było w tym coś z tej jego wrażliwości społecznej, która w połowie lat 40. kazała go nazywać „czerwonym biskupem". Z drugiej strony było to przecież potwierdzenie tego samego feudalnego porządku „osób kościelnych", który złamać może tylko „dobry suweren".

Czy to rys osobistej i społecznej wielkości kardynała? Nie do końca. Dlaczego nie – o tym dalej.

Spotkanie trzecie: Ostrów Wielkopolski, 7 listopada 1976

Moje ostatnie i chyba najbardziej znaczące spotkanie ze Stefanem Wyszyńskim na żywo wydarzyło się 7 listopada 1976 r. w Ostrowie Wielkopolskim. Jako kleryk czwartego już roku uczestniczyłem tam w uroczystości rozpoczęcia tzw. peregrynacji obrazu jasnogórskiego w ówczesnej archidiecezji poznańskiej.

Mszę odprawiał Karol Wojtyła, kazanie wygłosił Stefan Wyszyński. Uroczystość odbywała się na placu między ostrowskim kościołem farnym a budynkiem miejscowego więzienia, w którym w latach 1874-76 w celi nr 25 siedział arcybiskup poznański Mieczysław Halka-Ledóchowski, uwięziony na podstawie pruskich praw tzw. Kulturkampfu, czyli jak wtedy mówiono w Poznaniu, „walki kulturnej". Jako więzień władz pruskich został w 1875 r. mianowany kardynałem i wtedy praworządni Prusacy musieli go z więzienia wypuścić.

W kazaniu Wyszyńskiego pojawił się motyw, dla którego przywołuję tamto wydarzenie: „między świątynią a więzieniem". Pamiętam dobrze, jak silne wrażenie zrobiły na nas wówczas te słowa – w oczywisty sposób kojarzone także z osobistą historią mówcy.

Ten motyw to swego rodzaju ówczesny viral. Proboszcz ostrowski z czasów Ledóchowskiego, Walenty Śmigielski, wydał w roku 1900 wspomnienia z okresu Kulturkampfu i pobytu abp. Ledóchowskiego w więzieniu, zatytułowane „Między ołtarzem a więzieniem", we fragmentach przedrukowane w 1937 r. jako dodatek do poznańskiego „Przewodnika Katolickiego". Sądzę, że Wyszyński stąd właśnie znał ów motyw.

Przytaczam go tu jednak, bo jest nośnym symbolicznym skrótem, który po rozwinięciu staje się kluczem do zrozumienia bardzo niejednoznacznej roli Stefana Wyszyńskiego w historii powojennej Polski i polskiego Kościoła.

Z pozoru mamy tu do czynienia z czytelną opozycją: z jednej strony „świątynia" – czyli „kościół", rozumiany przez mówcę jako przestrzeń wolności, jako oczywista wartość i jako społeczne dobro najwyższe, z drugiej „więzienie", kojarzone z opresyjną polityką totalnej władzy. W tym samym przemówieniu kardynał nawiązywał zresztą do wydarzeń z lata tegoż roku w Ursusie i Radomiu, pokazując je – słusznie! – jako wołanie robotników o wolność i godność.

Ale to bynajmniej nie takie proste. Powiem to od razu ostro: więzienie (w sensie zamknięcia w systemie ustalonych i nienaruszalnych zasad i traktowanych jako oczywiste stereotypów) jest tu po obu stronach. W tym właśnie leży, moim zdaniem, klucz do zrozumienia, kim stał się dla Polski i polskiego Kościoła Stefan Wyszyński i czym w istocie okazało się jego niewątpliwie charyzmatyczne przywództwo.

On także zbudował „więzienie" – oczywiście inne niż to budowane przez ówczesne władze, ale nie mniej groźne, bo udekorowane słowami o najwyższych wartościach, wolności i godności, i podbudowane rzeczywistą wrażliwością społeczną jego twórcy. Kościół polski utknął w tym więzieniu skutecznie i nie wydostał się z niego do dzisiaj.

Ceterum censeo: nie wydostanie się z niego już nigdy, bo z zapałem buduje je nadal, nawet teraz, kiedy przegrali jego w tym dziele doraźni polityczni sojusznicy.

Teraz moje komentarze.

Interrex?

Stefan Wyszyński, rocznik 1901, w latach 1948-81 prymas Polski, przez wielu uważany był wówczas za interreksa reprezentującego „majestat Rzeczypospolitej" w okresie zredukowanej suwerenności PRL-u. Dla ówczesnych władz najpierw śmiertelny wróg, później bardzo poważny przeciwnik – i chyba właśnie dlatego również niezbędny i nieusuwalny punkt odniesienia.

Odwołanie do „majestatu Rzeczypospolitej" pomijam, bo w dzisiejszym czasie redukcji symboli do pragmatyk brzmi ono anachronicznie. Pozostanę przy „nieusuwalnym punkcie" ówczesnych władz.

Zachowania polskich komunistów wobec Wyszyńskiego były czymś, co Niemcy nazywają Hassliebe – zarazem nienawiścią i miłością, która z jednej strony chciała bezwzględnie pokonać Kościół i jego wyrazistego przedstawiciela albo przynajmniej wpisać go w swój własny polityczny projekt. Z drugiej nie mogła się powstrzymać od powracających emocjonalnych odniesień do jego publicznej obecności i od żywienia się tym, co on reprezentował.

Z całą pewnością na tle „tamtych" – na tle „ludzi bez właściwości", a przynajmniej bez skutecznych właściwości przywódczych, takich jak Gomułka – Wyszyński przedstawiał się jak „król". Z całą pewnością też jako jeden z niewielu w ówczesnej Polsce miał wizję wykraczającą poza doraźność. Pytanie jednak, czy owa wizja była realnym pomysłem politycznym. Realnym, to znaczy takim, który mógł przetrzymać aktualny polityczny układ. Moim zdaniem nie.

Powie ktoś, że to niesprawiedliwe i anachroniczne. Że dzisiaj łatwo się mądrzyć na ten temat. Jaki realny pomysł polityczny można było mieć w Polsce w okresie bezwzględnej dominacji ZSRR?

Nie tu miejsce na rozważanie, czy w ogóle był wówczas możliwy jakikolwiek realny perspektywiczny pomysł polityczny na Polskę i jak mógłby taki pomysł wyglądać. Skądinąd uważam, że takiego pomysłu brak nadal.

Moje zadanie jest skromniejsze. Pytam, czym był w istocie polityczny zamysł Wyszyńskiego, kiedy ten uchodził za interreksa. Okazało się to w momencie próby – w sierpniu roku 1980. Stefan Wyszyński uznał wtedy, że musi zapobiec możliwemu nieszczęściu i uspokoić zbyt rewolucyjne nastroje buntującego się społeczeństwa. 26 sierpnia wygłosił na Jasnej Górze kazanie, które zawierało m.in. wezwanie do umiaru w stawianiu postulatów, choć w oczywistym dla mówcy kontekście uznania racji strajkujących robotników. Prymas mówił:

„Chociaż człowiek (...) niekiedy – gdy nie ma innych środków – ma prawo do zaznaczenia swojego stanowiska, chociażby wstrzymując się od pracy, wiemy jednak, że jest to argument bardzo kosztowny. Koszty tego argumentu idą w miliardowe sumy, ciążą nad całą gospodarką narodową i jakimś odwetem godzą w życie całego narodu, rodziny i każdego człowieka".

W ówczesnych rządowych mediach przesłanie to zostało cynicznie zmanipulowane – przekazano zachęty do umiarkowania, ale nie poparcie dla słusznych postulatów strajkujących.

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Na początku września 1980 r. sam kardynał tak się tłumaczył podczas posiedzenia Rady Głównej episkopatu:

„Musimy dobrze zrozumieć rzeczywistość. Jesteśmy nauczycielami Narodu. 26 sierpnia 1980 r. mówiłem do Narodu, a nie do partii. Niektórym wydawało się, że za mało pod partię. Nie mówiłem też do stoczniowców – inni powiedzieli, że za mało pod stocznię. Ja mówiłem do Narodu i dlatego ograniczyłem się do tych elementów zasadniczych, starając się wydozować tak, abym nie był demagogiem, zwłaszcza w takiej sytuacji, w której nie wiadomo, do czego to jeszcze może doprowadzić".

Można to zrozumieć. Tyle tylko, że po pierwsze, 3 mln publicznie aktywnych członków tego „Narodu", do którego przemawiał, było wtedy równocześnie członkami partii, po drugie, i dla nich, i dla milionów pozostałych to, co działo się wtedy w strajkujących zakładach, było przebudzeniem się „narodu" zupełnie nowego typu.

Trudno dlatego się dziwić, że w ówczesnej skrajnie emocjonalnie napiętej sytuacji społecznej wielu jego słuchaczy uznało, że zachował się nie jako interrex, ale jako „namiestnik". Nie odważam się gdybać, co innego miałby wtedy zrobić. Pewnie nic innego. Niemniej ten moment odsłonił coś, co zawsze jest drugą stroną Hassliebe: UWIKŁANIE.

Każdy, kto znajdzie się w tego rodzaju bi-polu: wobec groźnego przeciwnika, z którym równocześnie nie może zerwać kontaktu (a uchronić się przed taką sytuacją jest w świecie społecznych i politycznych napięć, w którym nadal pozostajemy, rzeczą praktycznie niemożliwą), pozostaje uwikłany. To pewnie banał. Ale jest to też zarazem uwaga ogólniejsza.

Jeśli chcemy rozumieć, co politycznie dzieje się wokół nas i z nami, musimy pytać właśnie o to: o uwikłanie. Nie można angażować się publicznie: politycznie, społecznie, kulturowo czy ideowo, w wyimaginowanej czystej neutralnej przestrzeni, która tak czy inaczej nie skonsumuje natychmiast tego zaangażowania.

W tym sensie w realnym świecie społecznym i politycznym nie ma miejsca na „interreksów". Każdy z nich musi nieuchronnie zostać „namiestnikiem". To właśnie przytrafiło się ostatecznie Stefanowi Wyszyńskiemu.

Żeby było jasne: myślę, że nie był bynajmniej kimś, kto uwierzył we własną wielkość, i tym bardziej nie był megalomanem. Sam siebie poniósł w takie rejony, w których liczy się nie przekonanie o własnej wielkości i racji, ale takie poczucie misji, które nie pozwala widzieć już prawie nic poza własnym „wielkim projektem".

To, że chodziło o poczucie misji, jest ważne, może nawet kluczowe. Tak działają ludzie pozbawieni wątpliwości. Brak wątpliwości to siła i zarazem nieszczęście. To zarazem jedna z głównych cech mentalnego więzienia.

Wrażliwość społeczna?

Społeczna wrażliwość – ta strona politycznego życiorysu Stefana Wyszyńskiego uchodzi za szczególnie mocną. Stosunkowo niewielu ludzi XX-wiecznego Kościoła – a Kościoła w Polsce w szczególności – mówiło tak wiele i tak dobitnie o kwestiach społecznej sprawiedliwości, o godności ludzi pracujących i o warunkach życia polskich rodzin. Język Wyszyńskiego w tych kwestiach był równocześnie naprawdę wrażliwy i zaskakująco anachroniczny. Kiedy się to dzisiaj czyta, można mieć wrażenie „czytanki", według której ojciec rodziny trudzi się przy „warsztacie pracy", matka troszczy o dom, a dzieci rosną otoczone owym trudem i troską.

Oto przykład z „Kazań świętokrzyskich" Wyszyńskiego, które rysowały jego społeczną konstytucję: „najważniejszą wartością w ojczyźnie naszej jest człowiek. Ten pod sercem matki i ten na urzędzie; ten na roli, w warsztacie pracy i ten na katedrze profesorskiej, rzemieślnik, murarz, architekt, inżynier i naukowiec! Oni są największą wartością narodu. To naród ma służyć obywatelowi! Całe życie gospodarcze ma służyć człowiekowi, aby nie było zniewolniczenia człowieka, bo z niewolników nie ma pracowników. To mówi wam prymas Polski, uważając za swój moralny obowiązek powiedzieć całą prawdę".

Takich przykładów jest w jego nauczaniu dużo więcej. Skojarzenia „czytankowego" trudno w tym kontekście uniknąć, a jeszcze mocniejszych skojarzeń dostarcza sięgnięcie do charakterystycznego języka „socjalnych państw totalnych" – np. takich, jak salazarowska Portugalia. Kto by uznał to ostatnie skojarzenie za niesprawiedliwe, niech przeczyta takie słowa:

„Był polityk, który prowadził tak zwaną rewolucję pokojową. Nazywał się Salazar. Przez wiele, wiele lat kierował swoim państwem, Portugalią. Doprowadził do tego, że jego kraj, ciągle niespokojny, pełen najrozmaitszych gwałtów i przemocy, stał się krajem pokoju i dobrobytu. Dlatego nazwano jego metodę »rewolucją pokojową«. Za jego rządów wszystko odmieniło się ku lepszemu. Odmienili się ludzie, ich serca i umysły" („Zło dobrem zwyciężaj", homilia do „Solidarności" z Gdyni, 22 lutego 1981 r.).

To Stefan Wyszyński o António de Oliveira Salazarze, dyktatorze Portugalii i twórcy Nowego Państwa. Że można było inaczej, pokazał Antonio Ferreira Gomes, w czasach Salazara biskup Porto. Napisał do dyktatora list, w którym napiętnował ciemne strony jego państwa: tłumienie ducha wolności narodu, promowanie nacjonalizmu na skalę niemożliwą do pogodzenia z nauką Kościoła, utrzymywanie niesprawiedliwego systemu podziału dóbr materialnych, brak reform społecznych (w tym rolnej) oraz utrzymywanie stagnacji gospodarczej i biedy.

Salazar zmusił go do emigracji.

Dziwność sytuacji polega na tym, że Stefan Wyszyński zgodziłby się także z tym, co napisał Gomes. Kiedy wraz z Beatą Anną Polak badaliśmy dyskurs Kościół-państwo w powojennej Polsce, zauważyliśmy, że w dostępnych tekstach Wyszyńskiego najsilniej akcentowane są dwa pojęcia: człowiek (pojęcie centralne całego zbioru jego tekstów) i praca:

W kwietniu 1966 r. przyjechał do poznańskiej Fary. Akurat w kinach szedł „Faraon" Kawalerowicza. Studenci chodzili tego dnia po mieście z okrzykami: „Fara On!", z akcentem na „On"

„Wystąpienia Wyszyńskiego zachowują ciągłą linię ideową i polityczną, stabilną mimo zmieniających się warunków. Zasadniczych tematów jest pięć: 1' budowanie wspólnoty społecznej opartej o godność katolicką, 2' przeciwdziałanie ateizacji, 3' problem win narodu, które będą odkupione wyznaniem grzechów i cierpieniem ofiarniczym, 4' prawa obywatelskie i prawa pracy oparte o godność człowieka i godność pracy jako takiej, 5' służebna (ministerialna) rola kapłana, a także rola wspólnoty kościelnej i jej wartości wobec wspólnoty państwowej" (z pracy „Kościół wobec Państwa. Stałość i przemiany dyskursu kościelnego o kwestiach politycznych i społecznych w latach 1945-2013").

Powinno to nas teraz przeprowadzić do trzeciego klucza do postaci Wyszyńskiego: do motywu kościoła-więzienia. Ale zanim do tego przejdę, jeszcze jedna sprawa zasadnicza dla oceny jego obecności w polskiej historii. To kwestia antysemityzmu.

Wielokrotnie zwracano uwagę na antysemickie artykuły w redagowanym przez niego w latach 1932-39 „Ateneum Kapłańskim", w szczególności na publikowane tam jednoznacznie pronazistowskie wypowiedzi Józefa Pastuszki. Wyszyński jako redaktor naczelny musiał je czytać i aprobować (a przynajmniej aprobować do druku).

Próbowano go tłumaczyć „duchem epoki". Myślę, że nie trzeba tego robić. Oczywiście antysemityzm kwitł w polskim Kościele okresu międzywojennego i miał się nieźle także po wojnie. Nie będę więc bronił Wyszyńskiego w tej kwestii. Zauważę jedynie, że był na tyle przenikliwym politykiem, że po roku 1968 zrozumiał, czym jest antysemityzm w polskim życiu publicznym i – mówiąc najprościej – zapanował nad sobą.

Nie sądzę, że się wyzwolił z antysemickich stereotypów i uprzedzeń – albo, mówiąc inaczej, że odrzucił swoje obawy związane z „żydowską obecnością" w polityce i kulturze. Na to był za bardzo dzieckiem swoich czasów i polskiego narodowego katolicyzmu. Ale przestał grać tą kartą. W jego społeczno-politycznym testamencie, którym są „Kazania świętokrzyskie", nie można się już doszukać antysemickich akcentów.

Więzienie?

Najgroźniejsze więzienie to to, którego już nie zauważasz. To dla zaprawionych w krytyce społecznej banał. Problem w tym, że tuż obok nich jest jeszcze więcej tych, którzy w owym banalnym więzieniu siedzą i czują się dobrze – co więcej, że i spośród „zaprawionych w krytyce społecznej" wielu również nigdy nie wychynęło z własnego niezauważalnego więzienia.

To zatem jeszcze raz nie tylko klucz do znaczenia postaci Stefana Wyszyńskiego dla powojennej historii Polski i polskiego Kościoła, ale też raz jeszcze do UWIKŁANIA, o które trzeba pytać każdorazowo, kiedy chcemy rozumieć, co politycznie dzieje się wokół nas i z nami. To temat na inny tekst, ale sygnalizuję go tutaj, bo życie i dzieło mojego bohatera sugeruje to nieodparcie.

W co zatem uwikłał się Stefan Wyszyński i w co uwikłał polski Kościół?

Najczęściej zwraca się uwagę na dwa aspekty kościelno-politycznej linii prymasa Wyszyńskiego.

Po pierwsze, na jego usilne podtrzymywanie ludowo-maryjnego charakteru polskiego katolicyzmu, powiązane ze swoistym antyintelektualizmem, wyrażającym się m.in. w nieufności wobec środowisk katolickiej inteligencji – z kręgu „Tygodnia Powszechnego", „Znaku" i „Więzi". Wiąże się z tym przekonanie o ukrytych napięciach między Stefanem Wyszyńskim a wspierającym owe środowiska Karolem Wojtyłą.

Po drugie, na zbawczo-mesjański rys tegoż polskiego katolicyzmu, który Wyszyński równie usilnie podtrzymywał, na tyle skutecznie, że to do dzisiaj rys dominujący – przynajmniej jeśli chodzi o oficjalną kościelną ideologię.

Od razu trzeba jednak dodać, że ową ideologię skutecznie wygryza od środka coś, czego Stefan Wyszyński nie przewidział: korupcja. Pomysł „salazaryzacji" Polski bez własnego Salazara albo kogoś choćby trochę zbliżonego do tego opiewanego przezeń ideału, skończył się niewiarygodnym rozrostem kościelno-państwowej korupcji, którego dzisiaj jesteśmy świadkami. Mesjanizm skorumpowanego Kościoła to jeden z bardziej groteskowych żartów historii.

Stąd, myślę, taka cisza nad „Polską Wyszyńskiego" i mniej lub bardziej dyskretne wyciszanie jej mesjanistycznych ambicji. Choć przebijały one np. jeszcze w kościelnej retoryce przed referendum unijnym: że to Polska „zbawi" Europę. Dodam: w roku 2003 można było pewnie bez większego poczucia wstydu użyć takiego argumentu. Po roku 2015 już nie.

Dlaczego mówię, że Kościół Stefana Wyszyńskiego stał się „więzieniem"? Ponieważ najpierw jego twórca stał się więźniem (dosłownie i w przenośni) i ponieważ nigdy naprawdę z więzienia nie wyszedł. Co więcej, ów stan uwięzienia uznał nie tylko za naturalny dla sytuacji Kościoła polskiego takiej, jaką ją wówczas odczytywał, ale także za pożądany – bo uniemożliwiający odpłynięcie tego Kościoła w kierunku, którego on sam ani nie rozumiał, ani tym bardziej nie akceptował. Inaczej mówiąc, ponieważ nie był w stanie inaczej rozumieć Kościoła, a to w jego wypadku znaczyło: nie był w stanie inaczej rozumieć świata, w którym się znalazł.

Żeby to zamknięcie przełamać, nie pomógł nawet wybór Karola Wojtyły na papieża. Ten wybór skądinąd zaskoczył Stefana Wyszyńskiego. Sądzę, że prawdziwa jest anegdota, która mówi, że kiedy ktoś w kontekście konklawe po śmierci Jana Pawła I powiedział, że czas na papieża Polaka, prymas miał odpowiedzieć: – Jestem zbyt stary...

Oczywiście w owym zamknięciu Wyszyński nie był pierwszy. To długa, acz mało znana tradycja, wywodząca się od XIX-wiecznych polskich Zmatwychwstańców, którzy chcieli stworzyć Polskę „na kształt parafii".

Poprzednik Wyszyńskiego na stolicy biskupiej gnieźnieńskiej i warszawskiej, August Hlond, pisał w roku 1945 w liście pasterskim „Polska na przełomie dziejów":

„Prędzej niż inne narody Polska znajdzie w swym gorącym a chrześcijańskim patriotyzmie pogodzenie zdrowej rewolucyjnej treści czasu z wiarą ludu, pokona sprzeczności, które obca nam filozofia XIX wieku skonstruowała między materią a duchem, sprowadzi do harmonii życiowej fizyczne siły i duchowe władze polskiego człowieka, pogodzi ducha z techniką, doczesne zadanie obywatela z jego wiecznym powołaniem, nowoczesność ze szczytną tradycją, przyszłość ze zdobyczami duchowymi wieków".

To mogło się wtedy zarówno Hlondowi, jak i jego następcy wydawać prawdą. Dzisiaj to groteska. Trzeba jednak tę groteskę widzieć w jej realnym kontekście. Kontekstem tym była najpierw polska mesjanistyczna megalomania, wzmocniona wybuchem po-

Gomułka atakował prymasa: – Umysł przewodniczącego episkopatu polskiego jest ograniczony i wyzbyty narodowego poczucia państwowości

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

wojennych emocji, ale bardzo prędko stało się nim właśnie „więzienie”.

Stefan Wyszyński został, jak wiadomo, zatrzymany i internowany 25 września 1953 r. Pozostawał w odosobnieniu do jesieni roku 1956. Pomijam szczegóły jego dosłownej „więziennej” historii. Chodzi mi o jej skutki w sferze symbolicznej, bo właśnie z tej perspektywy, uwięzienia, o którym nie wiedział, czy i kiedy się skończy, sformułował swój „program duszpasterski” dla Polski, a to nie mogło się w owym programie nie odbić.

W tym czasie ujawniła się też kościelno-polityczna rola tzw. ósemki – grupy młodych kobiet, które podczas okupacji poprosiły Stefana Wyszyńskiego o duchową opiekę, a po wojnie stały się jego „kościelną strażą przyboczną” – a według niektórych jego „tajną policją” w polskim Kościele.

Wynikało to stąd, że ich nierzucająca się w oczy obecność pozwalała na dostęp do miejsc i osób, których ksiądz, a wkrótce biskup Wyszyński nie mógł bezpośrednio obserwować. Najpierw stanowiły jego łączniczki – między miejscem odosobnienia a światem zewnętrznym. Po roku 1956 stały się jego oczyma i uszami w wielu miejscach ówczesnego Kościoła.

To dlatego w kręgach duchownych zaczęto je nazywać „ośmiornicami”, których macki docierają wszędzie i mogą każdego udusić. Ale nie chodzi o żarty. Także dzięki takiemu „wywiadowi” Stefan Wyszyński był w stanie w miarę sprawnie rządzić Kościołem w warunkach zdecydowanie niesprzyjających.

Nie należy oczywiście przeceniać roli tego „wywiadu”. Niemniej można powiedzieć, że orientacja Wyszyńskiego w realiach polskiego Kościoła – zwłaszcza osobowych – była niezłej próby.

Przez dekady, korzystając ze „specjalnych uprawnień” udzielonych mu przez papieża w związku z nieobecnością w Polsce nuncjusza apostolskiego, wybierał i przedstawiał papieżowi kandydatów na biskupów. Ocena jakości tych nominacji i w związku z tym ich skutków w kształcie polskiego Kościoła nie jest prosta.

Wśród nominowanych znaleźli się ludzie wybitni, żeby wymienić tylko Bolesława Kominka, późniejszego arcybiskupa wrocławskiego, czy mianowanych w tym samym dniu w lipcu 1958 r. Karola Wojtyłę i Jerzego Strobę, ale byli także nominaci, nad którymi lepiej spuścić kurtynę milczenia. Może Wyszyński miał wówczas do dyspozycji kandydatów lepszej niż obecnie jakości; może jednak miał też lepsze niż dzisiejsi nuncjusze rozeznanie i kryteria.

Tak czy inaczej Kościół jego instytucjonalnych „synów” różni się wyraźnie na korzyść od Kościoła jego instytucjonalnych „wnuków”. Wspomniany wyżej Bolesław Kominek stał się w roku 1965 autorem orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich, które Wyszyński w pełni zaakceptował i poparł, biorąc na siebie polityczny ciężar nagonki ówczesnych władz polskich przeciw temu gestowi wobec Niemców z jednej strony, i niezrozumienia ze strony biskupów niemieckich z drugiej. To jedna z wielkich kart ukształtowanej przez niego historii.

Paradoks polega na tym, że idea tego listu pojawiła się w kontekście udziału polskich biskupów z Wyszyńskim na czele w Soborze Watykańskim II i dobrze wpisywała się w sens tego wydarzenia, a równocześnie przełomowe znaczenie tego soboru zostało w Polsce przez tego samego Wyszyńskiego skutecznie „skanalizowane” w takie zasady funkcjonowania polskiego Kościoła, które uniemożliwiły jego integrację z szybko zmieniającym się po Soborze Watykańskim II Kościołem powszechnym, a tym samym wypłynięcie polskiego katolicyzmu na szersze wody.

Kiedy za sprawą wyboru Karola Wojtyły na papieża stało się to na nowo możliwe, było już za późno. „Szersze wody” właśnie kończyły się dla całego posoborowego Kościoła, a ich miejsce zajmował proces ponownego zamykania instytucji kościelnych w „więzieniu” dotychczasowych zasad i traktowanych jako oczywiste stereotypów.

Ostatnia faza

Niektórzy sądzą, że ten ostatni proces został przerwany za sprawą obecnego papieża. To nieporozumienie. W historii powrotów nie ma. W historii Kościoła tym bardziej. To, czego jesteśmy obecnie świadkami zarówno w Kościele polskim, jak i powszechnym, to – jak kiedyś napisałem w moim „Systemie kościelnym” – nie powrót, ale ostatnia faza „jałowego biegu”. Gdyby Stefan Wyszyński mógł to zobaczyć, pewnie nawet by się nie zdziwił. ●

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Tomasz Polak**

• (do 2008 r. Węcławski) - ur. w 1952 r., teolog, filozof, pisarz. Były ksiądz katolicki. Kapłaństwo porzucił w 2007 r., wcześniej był m.in. rektorem seminarium duchownego w Poznaniu, dziekanem poznańskiego Papieskiego Wydziału Teologicznego, dziekanem Wydziału Teologicznego UAM, członkiem Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie. Od 2006 r. kierownik Pracowni Pytań Granicznych UAM. Tytuł tekstu - „Wyborcza”.

WIERSZE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Konstanty Ildefons Gałczyński

Skumbrie w tomacie

Stanisławowi Piaseckiemu

Raz do gazety „Słowo Niebieskie”
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
przyszedł maluśki staruszek z pieskiem.
(skumbrie w tomacie pstrąg)

– Kto pan jest, mów pan, choć pod sekretem!
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
– Ja jestem król Władysław Łokietek.
(skumbrie w tomacie pstrąg)

Siedziałem – mówi – długo w tej grocie,
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
dłużej nie mogę... skumbrie w tomacie!
(skumbrie w tomacie pstrąg)

Zaraza rośnie świątek i piątek.
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
Idę na Polskę robić porządek.
(skumbrie w tomacie pstrąg)

Na to naczelny kichnął redaktor
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
i po namyśle powiada: – Jak to?
(skumbrie w tomacie pstrąg)

Chce pan naprawić błędy systemu?
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
Był tu już taki dziesięć lat temu.
(skumbrie w tomacie pstrąg)

Także szlachetny. Strzelał. Nie wyszło.
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
Krew się polała, a potem wyschło.
(skumbrie w tomacie pstrąg)

– Ach, co pan mówi? –jęknął Łokietek;
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
łzami w redakcji zalał serwetę.
(skumbrie w tomacie pstrąg)

– Znaczy się, muszę wracać do groty,
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
czyli że pocierp, mój Władku złoty!
(skumbrie w tomacie pstrąg)

Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie!
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
Chcieliście Polski, no to ją macie!
(skumbrie w tomacie pstrąg)

1936

Wiersz Gałczyńskiego za nacjonalistycznym tygodnikiem „Prosto z Mostu” nr 10/1936.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Julian Tuwim

Ozór na szaro

Kochanemu przyjacielowi K. I. Gałczyńskiemu, autorowi drukowanego w nr. 10 „Prosto z Mostu” znakomitego wiersza „Skumbrie w tomacie”.

Motto:
„Zaraza rośnie świątek i piątek
(skumbrie w tomacie skumbrie w tomacie)
Idę na Polskę robić porządek
(skumbrie w tomacie pstrąg)”.
K. I. Gałczyński

Raz do gazety „Hejże do Czynu!”
(ozór na szaro ozór na szaro)
Przyszedł Konstanty, wlany ze spleenu.
(ozór na szaro chrzan)

– Bardzo – powiada – smutno – powiada,
(ozór na szaro ozór na szaro)
Mój redaktorze, jaka jest rada?
(ozór na szaro chrzan)

Wypiłem – mówi – czystej butelkę,
(ozór na szaro ozór na szaro)
Trzy bomby piwa, rumu angielkę.
(ozór na szaro chrzan)

Potem – powiada – whisky – powiada,
(ozór na szaro ozór na szaro)
– I nic – powiada – nic nie pomaga.
(ozór na szaro chrzan)

Niech mi pan powie, gdzie jest przyczyna,
(ozór na szaro ozór na szaro)
Że nuda w Polsce? Czyja to wina?
(ozór na szaro chrzan)

Na to redaktor: – Czy pan nie widzi?
(ozór na szaro ozór na szaro)
Co dzień powtarzam: winni są Żydzi!
(ozór na szaro chrzan)

Zamiast się trapić nudą i troską,
(ozór na szaro ozór na szaro)
Niech pan rozwiąże sprawę żydowską.
(ozór na szaro chrzan)

Oto scyzoryk, rżnij pan, kolego!
(ozór na szaro ozór na szaro)
Hejże, do czynu narodowego!
(ozór na szaro chrzan)

Poszedł Konstanty; co miał, to przepił,
(ozór na szaro ozór na szaro)
Wyrżnął gudłajów. Nic mu nie lepiej.
(ozór na szaro chrzan)

– Tylem się narżnął, proszę gin z rumem,
(ozór na szaro ozór na szaro)
A źle, cholera. Nic nie rozumiem.
(ozór na szaro chrzan)

Jeszcze raz – z rumem i pepermentem,
(ozór na szaro ozór na szaro)
Gdzież upragnione dolce far rżnięte?
(ozór na szaro chrzan)

...Hejże do czynu ozór na szaro
Kocio na szaro Żydzi na szaro
Ozór do czynu czyny do chrzanu
CHRZAN, miły Kociu, CHRZAN!

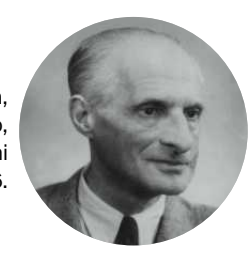

Odpowiedź Tuwima, parodia utworu Gałczyńskiego, za „Wiadomościami Literackimi” nr 14/1936.

eprasa.pl 7f7b52c9e4

ALE HISTORIA

BOMBKI

Kto wynalazł bombki choinkowe?

Oczywiście Niemcy. A kto jest ich największym producentem? Nie zgadniecie.

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

Gdyby w przedświątecznym rozgardiaszu rodzice mieli czas i cierpliwość, mogliby uczyć swoje dzieci zapisu litery „B" w następujący sposób: najpierw stawiasz laseczkę jak choinkowy cukierek, a potem w zależności od wagi dodajesz jedną albo dwie bombki. W lepszym wypadku dziecko nabierze apetytu na słodycze, w gorszym zapyta: A skąd się te bombki na choince się wzięły? Najprościej – z tego samego kraju, z którego pochodzi zwyczaj stawiania choinek, czyli z Niemiec. Przy czym ani pierwsze świąteczne drzewka, ani same bombki nie wyglądały tak jak nam współczesne.

LUTER PRZYNOSI DRZEWKO

Dekorowanie domów gałązkami przyniesionymi z lasu było starym germańskim i nordyckim obyczajem. W przypadku krajów okołoskandynawskich to nie dziwi, bo kiedy przychodziły krótkie, mroźne dni, jedyne oznaki żywej przyrody znajdowały się w lesie, i to dodawało im magiczno-sakralnego charakteru. Jednak sformalizowanie tego zwyczaju, a może raczej przewekslowanie na chrześcijańskie tory, zawdzięczamy ponoć Marcinowi Lutrowi.

Wedle opowieści Luter zachwycił się blaskiem przebijającym przez ośnieżone gałęzie jodły. Widok ten natchnął go religijną refleksją, że to dar – światło od samego nowo narodzonego Boga, i postanowił zanieść iglasty bukiet do domu. Jednak biografowie nigdzie nie odnajdują choćby śladów takiego wydarzenia, a jednym z wytłumaczeń, jak się ten mit zakorzenił w zbiorowej świadomości, ma być pewna rycina.

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

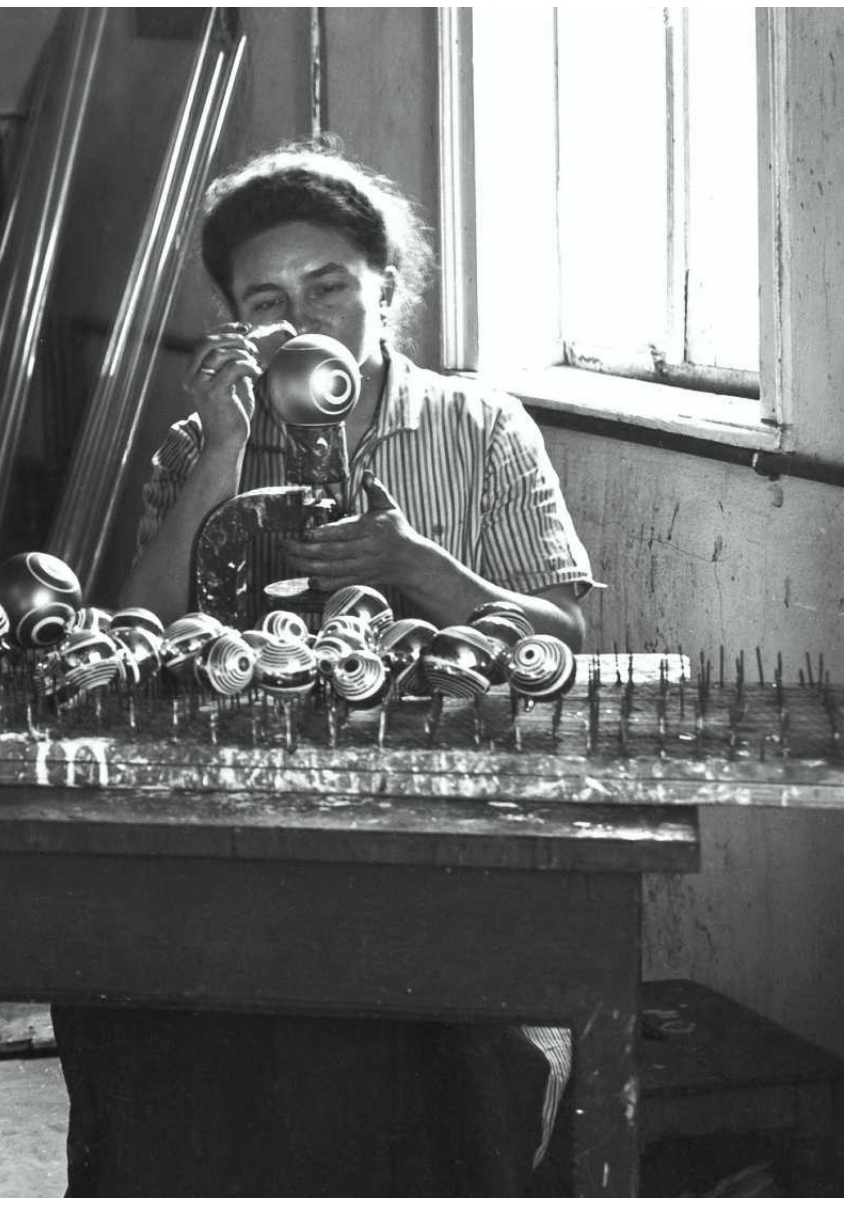

▲ **Rodzina produkująca bombki w miejscowości Lauscha w Turyngii, gdzie narodziła się bombkowa tradycja. Zdjęcie z około 1931 roku**

FOT. ULLSTEIN BILD/ GETTY IMAGES

Otóż w 1843 r. niejaki Carl August Schwerdgeburth (1785-1878), znany z miedziorytów Goethego, wyprodukował cykl popularnych rycin przedstawiających sceny z życia Lutra. Na jednej z nich widzimy jego rodzinę zgromadzoną wokół udekorowanej choinki. Wszyscy łącznie z drzewkiem ubrani na ówczesną modłę, tak aby XIX-wieczni odbiorcy mogli się łatwiej identyfikować ze swoim przewodnikiem duchowym. Pokazanie XVI-wiecznego kaznodziei w nieprzystającym historycznie entourage było oczywistym przekłamaniem, ale to już nikogo nie obchodziło. Ważne, że do powszechnej świadomości przedarł się przekaz – rozświetlona choinka to nieodzowna część Bożego Narodzenia.

KWADRATURA KOŁA BUŁECZKI

Przyjrzyjmy się Lutrowej choince z ryciny Schwerdgeburtha. Nieduża, ale bardzo symetryczna, stoi na drewnianym stole. Płoną na niej świeczki, a na samym czubku aniołek, z gałązek zwisają zaś niewielkie ozdoby, zapewne orzechy na sznureczkach.

U równie popularnego także dziś niemieckiego malarza Gustava Ferdinanda Leopolda Königa (1808-1869) choinka jest już dużo większa, ale wciąż ozdobiona tylko światełkami i dorodnymi jabłuszkami. Co ciekawe, brytyjskie wyobrażenie luterańskich świąt było jeszcze skromniejsze i w wiktoriańskich zbiorach kolekcjonerki Mary Evans możemy odnaleźć rodzinę Lutra w znacznie surowszej izbie, z rachitycznym iglakiem z symbolicznymi tylko świeczkami.

Można odnieść wrażenie, że autor tej ilustracji inspirował się innym znanym ewangelikiem Hansem Christianem Andersenem, gdzie mądre ptaszki tłumaczyły sosence: „Nie marz o dalekiej wielkości [,] ciesz się tym, co posiadasz. Dziękuj Bogu za młodość, za siły, za zdrowie, za życie, które w tobie krąży".

To w protestanckiej przestrzeni wytworzyło się więc miejsce dla świątecznego drzewka, choćby w postaci kilku zawieszonych pod sufitem czy ustawionych w wazonie gałązek. Surowość zasad nie pozwalała na nadmierny przepych dzisiejszych choinek. Trzeba jednak przypomnieć, że Niemcy to nie tylko skromni i powściągliwi protestanci, ale też rozsiani po całym kraju bardziej rubaszni katolicy. O tym, jak są różni w jedności i jednacy w różności, może świadczyć ich regionalny specjał – Küchla. To rodzaj słodkiego wypieku, podobny do naszej drożdżówki, ale „katolickie" są okrągłe, a „protestanckie" kwadratowe, nieco inaczej też smakują. I w tej samej krainie, co drożdżowe bułeczki, z pieców zaczęły wychodzić także inne, tym razem niejadalne cudeńka.

CO MA DREWNO DO SZKLANKI?

Wsie i miasta rozsiane po grzbiecie Gór Łupkowych Turyngii od wieków specjalizowały się w produkcji szkła. Mocno zalesione z jednej strony ograniczały możliwości uprawy roślin czy hodowli zwierząt, z drugiej doskonale sprzyjały powstawaniu hut szkła, a z czasem – także zakładów porcelany.

Powiązania między szkłem a lasami są oczywiste. Aby powstało szkło, potrzebny jest jako źródło krzemionki piasek, na przykład rzeczny, a także soda, wapień oraz dostęp do źródła czystej wody. Składniki te wytapia się w niezwykle wysokich temperaturach. Łatwo dostępnym, a zarazem efektywnym paliwem było właśnie drewno, najlepiej bukowe, którego do wyrobu szkła używano w takich ilościach, że niekiedy wręcz ogołacano całe okolice z zasobów leśnych.

I tak od czasów średniowiecznych mieszkańcy Turyngii z pokolenia na pokolenie, a wedle podań nawet od czasów rzymskich, doskonalili się w sztuce wytapiania szkła. Tu powstawały najpiękniejsze witrażowe kafelki do średniowiecznych katedr, drogocenne szklane puchary czy elementy optyczne. Szklarski biznes rozwijał się tak dobrze, że zakładano nie tylko kolejne warsztaty, ale także całe wsie podległe konkretnym manufakturom.

Przykładem jednej z takich osad była Lauscha. Jej historia sięga końca XVI w., kiedy dwaj szkłomistrzowie – Hans Greiner i Christoph Müller – zawarli umowę z Janem Kazimierzem z Koburgów, który za 12 guldenów rocznie odnajął im „hutę (po połowie), 3 domy, 1 młyn tnący, 30 morgów ziemi rolnej, 42 morgi łąk w zamian za 12 florenów rocznych odsetek od spadku". Przez kolejne dekady nic nie zapowiadało, że ten jeden z wielu hutniczych ośrodków swoimi wyrobami zawojuje bez mała cały świat.

HISTORIA KULKĄ SIĘ TOCZY

Początkowo właściciele hut szkła musieli się zajmować nie tylko samą produkcją, ale także rozprowadzaniem wyrobów w niekiedy odległe zakątki kraju. Z czasem pojawili się dystrybutorzy, dzięki czemu rodzina Greinerów mogła się zająć pracą koncepcyjną i wynalazczą. Tak powstał m.in. ich flagowy piec, w którym wypalano znacznie cieńsze i bardziej precyzyjne artefakty. Ciekawi technologicznych nowinek szybko wprowadzili nowoczesną metodę dmuchania szkła. Wprawdzie samo wydmuchanie znane było już od co najmniej I w. p.n.e., ale dopiero wynalezienie techniki zwanej „dmuchaniem przed lampą", czyli nad bezpośrednim źródłem ciepła, wówczas jeszcze prostą lampką oliwną, okazało się przełomowe. Taki dmuchacz zaopatrzony jest w cienką szklaną słomkę, która pod wpływem ciepła nabiera plastyczności i tworzy coś na kształt mydlanych baniek. Te zaś mogą być rozciągane, przycinane specjalnymi nożycami czy rzeźbione dłutkiem. Początkowo tak właśnie powstawały szklane paciorki, na które było nieprawdopodobne zapotrzebowanie. Warsztat był w stanie wyrobić 4-6 tys. sztuk paciorków dziennie lub 1,2-1,5 tys. „większych". Choć jak podają źródła, wciąż nie nasycało to rynku.

Na co komu te koraliki? A na różańce na przykład, na obszycie kaftanów, sukien i na eksport, często nawet zamorski. Pamiętamy przecież legendarną transakcję, kiedy Holendrzy z Kompanii Zachodnioindyjskiej w 1626 r. odkupili od rdzennych mieszkańców Ameryki, Indian Delawarów tereny dzisiejszego Manhattanu. Niezapamiętany z imienia wódz zgodził się odsprzedać swoje „11 tys. morgenów" [ok. 60 km kw., odpowiada powierzchni Siedlec] za „towary", a dokładniej koraliki o wartości „60 guilderów", co wedle współczesnego historyka Nowego Jorku Kennetha C. Davisa odpowiadałoby dawnym 2400 angielskim pensom, a zatem dzisiejszym 1,2 tys. funtom. Same koraliki pochodziłyby oczywiście z Niemiec i z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że zostały wydmuchane w Lauscha.

B JAK BIEDA, B JAK BOMBKA

W Turyngii równolegle rozwijały się, często w rodzinach spokrewnionych ze szklarzami interesy zabawkarskie i porcelanowe; porcelanę można by roboczo uznać za efekt uboczny produkcji szkła. I niejako na marginesie tych przemysłów zrodziła się idea wykorzystania szklanych kulek jako protez oczu, w czym Greinerowie z Turyngii mieli duże zasługi.

W muzeum w Lauscha można obejrzeć wyjątkowo piękny model „oczu" w nie mniej atrakcyjnym pugilaresie wyścielanym aksamitną tkaniną. Był to potrzebny, ale niszowy produkt i wraz z innym modnym akcesorium, „męską peruką z włókna szklanego", nie mógł się stać motorem sprzedaży.

Co innego zabawki, np. piękne porcelanowe lalki o szklanych oczach, które cieszyły się wielką popularnością. Z czasem do produkcyjnego repertuaru dołączyły i miniatury, które zaczęto wieszać na choinkach. Były to „wszelkiego rodzaju pozłacane wiszące rzeczy – czytamy w XIX-wiecznym opowiadaniu świątecznym Amerykanki, Lucretii Peabody Hale – błyszczące flagi i latarnie, klatki dla ptaków

›

eprasa.pl 7f7b52c9e4

i gniazda z ptakami siedzącymi na nich". Na zielonych gałązkach zawieszano też, oprócz świeczek – by posłużyć się opisem bożonarodzeniowego drzewka z „Dziadka do orzechów" E.T.A. Hoffmanna – „kosze owoców, pozłacane jabłka i kiście winogron, [...] wraz z mnóstwem złotych i srebrnych jabłek [...] kandyzowanych migdałów i kolorowych cukierków i wszelakich słodkości, jakie tylko można sobie wyobrazić" (tłumaczenie dzięki uprzejmości Elizy Pieciul-Karmińskiej). Tak ozdobione iglaki spotykano tylko w najbogatszych domach, w biedniejszych zadowalano się po prostu orzechami, jabłkami czy własnoręcznie wykonanymi drobiazgami z gałganków i słomy. Do czasu.

W 1847 r. jednego z dmuchaczy szkła nie było stać nawet na plebejskie ozdoby i wedle legendy zaczął dmuchać w „ogryzki" szklanych rurek, pozostałe po wcześniejszej produkcji. I tak oto powstały wydmuszki, które z powodzeniem nadały się do dekoracji. Rok później, co potwierdzają już oficjalne dokumenty handlowe, złożono zamówienie na „6 tuzinów bombek w różnych wielkościach".

WIKTORIA STROI CHOINKĘ

Przez kolejne lata zarówno kształty, jak i zdobienia banieczek były rozbudowywane i ulepszane. W XIX w. pracowano głównie na materiałach zawierających duże ilości cyny i ołowiu, dodajmy – bardzo szkodliwych, zaś rewolucyjne jak na tamte czasy wysrebrzenie zawdzięczano ojcu fotografii dagerotypii Louisowi Daguerre'owi. W sukurs bombczanej manufakturze przyszły techniczne nowinki i zastąpienie olejowych lampek tzw. palnikiem Bunsena, który dawał odpowiednio wysoką temperaturę, umożliwiło znaczne zwiększenie i przyśpieszeni produkcji.

Wciąż jednak był to dość lokalny wyrób znajdujący wytwórców jedynie w ograniczonym kręgu kulturowym, a zatem oprócz Turyngii gdzieniegdzie w Czechach i Austrii. Kto wie, jak dalej potoczyłaby się ta historia, gdyby nie polityczny mariaż na najwyższych szczeblach. Oto znów na scenę wkraczają przedstawiciele Koburgów. Przez trzy wieki, od czasu kiedy umożliwili Greinerom i Müllerom założenie własnej huty, znaczenie ich rodu jeszcze wzrosło. W 1840 r. królowa Wielkiej Brytanii Wiktoria, po matce z Sachsen-Coburg-Saalfeld, poślubiła swojego kuzyna Alberta z Sachsen-Coburga-Gotha. I te dwie linie rodu Sachsen-Coburgów, zangielszczona od strony monarchini oraz wciąż niemiecka pana młodego, stworzyły bezprecedensową mieszankę, która wywarła wpływ nie tylko na politykę, ale także kulturę całego świata.

I tak jak Niemka Zofia, angielska królowa w latach 1761-1818, sprowadziła na wyspy choinkę, tak Wiktoria do dekoracji drzewka użyła szklanych bombek.

WITAJ ŚWIECIE!

W grudniu 1848 r. na łamach poczytnego magazynu „The Illustrated London News" ukazał się obrazek przedstawiający królewską parę Wiktorię i Alberta z szóstką dzieci. Centralną część kompozycji stanowiła efektowna choinka przybrana już nie tylko lampkami, słodyczami i małymi zabawkami, ale też sprowadzanymi zapewne z Niemiec bombkami. Od tej pory do anglosaskiego krajobrazu już na stałe wpisały się dwa nowe elementy. Pierwszym było coroczne portretowanie królewskiej choinki, drugim – prawdziwie bombkowe szaleństwo.

W kolejnych latach z napływem niemieckich emigrantów do Stanów Zjednoczonych zaczęła się powolna, acz nieustająca kariera tych szklanych ozdób. Początkowo były one dużo droższe niż w Europie, bo trzeba było je detalicznie sprowadzać zza oceanu. Natomiast po zakończeniu wojny secesyjnej, wraz z ukonstytuowaniem się nowego państwa, powstawały nowoczesne przedsiębiorstwa i punkty handlowe. Jednym z takich miejsc był sklep, a następnie cała sieć braci Woolworthów. Ich koncepcja sprzedażowa okazała się strzałem w dziesiątkę.

Jako pierwsi nie tylko wprowadzili otwarte gabloty, dzięki którym klienci mogli na własne oczy obejrzeć kupowane towary, ale też poprzez swoich wysłanników bezpośrednio docierali do producentów sprzedawanych dóbr. Tym razem było jednak inaczej i jesienią 1880 r. do siedziby firmy w Pensylwanii przyszedł niemiecki komiwojażer z pudełkiem delikatnych, szklanych ozdób. Niespełna trzydziestoletni Frank Woolworth odpowiedział, że „Amerykanie nie będą marnować na to pieniędzy, ponieważ one nic nie robią". Ostatecznie jednak wziął w komis opakowanie 144 ozdób, zastrzegając sobie ich zwrot, jeśli nie znajdzie na nie nabywców. Ku jego zaskoczeniu bombki wyprzedały się w ciągu jednego dnia, przy ogólnym zysku 4,32 dolara. W następnym roku Woolworth podwoił zamówienie bombek i znów wyprzedały się na pniu.

KOSZAROWE DYNDAŁKI

Pierwszą połowę XX w. przecinają cezury dwóch wielkich wojen światowych. Każda niosła za sobą nie tylko zniszczenie i śmierć, ale także zmiany kulturowo-społeczne. Wielokrotnie zwiększyła się populacja miejska, do obiegu weszły nowe technologie i związki chemiczne, które przydawały się także w obróbce szkła. Niezmienna jednak pozostała w ludziach potrzeba zabawy i świętowania, która żywi się przedmiotami pełniącymi funkcję „nośników znaczeń". Dlatego też nie dziwi kultywowanie obrządków i zwyczajów nawet w tak skrajnych sytuacjach jak działania wojenne. Czego najlepszym dowodem jest słynny, choć bezprecedensowy rozejm bożonarodzeniowy pod Ypres w 1914 r. między aliantami i Niemcami, którzy wyszli z okopów i podzielili się symbolicznym opłatkiem, czyli tytoniem, papierosami i alkoholem. Ciekawą wymianę odnotował wtedy Brytyjczyk, po wojnie znany rysownik Bruce Bairnsfather. „Zauważyłem niemieckiego oficera, chyba jakiegoś porucznika – pisał – i jako że byłem trochę kolekcjonerem, zasugerowałem mu, że spodobały mi się niektóre z jego guzików. [...] Wyjąłem moje nożyczki do drutu i kilkoma zręcznymi cięciami odciąłem mu kilka guzików i schowałem je do kieszeni. Następnie dałem mu w zamian dwa moje".

Była też choinka, w archiwach projektu „The East Sussex WW1" możemy obejrzeć jej zdjęcie. Wysoka na dwa metry, ozdobiona papierowymi łańcuchami, czymś w rodzaju anielskiego włosa oraz niewielkimi bombeczkami.

Kilkanaście lat później do władzy doszedł Adolf Hitler. Z gruntu antyjudeochrześcijański, musiał mieć nie lada zagwozdkę, co zrobić z taką obrzędowością. Pojawiały się próby wprowadzenia positives Christentum, czyli aryjskiej wersji wiary, „niewiążącej się z żadnym konkretnym wyznaniem", jak głosił sam Führer w latach 20. Wtedy też organizowano świąteczne spotkania wokół choinki i śpiewano nawet kolędy, czasem z lekka tylko modyfikowane.

Jednak już kilkanaście lat później minister Rzeszy ds. Kościoła Hanns Kerrl definitywnie zerwał z choćby delikatnymi religijnymi nawiązaniami. Trzeba było dokonać jeszcze głębszej restrukturyzacji i sekularyzacji. Powstały specjalne pieśni sławiące już nie narodzenie Boga, ale pogańskie przesilenie zimowe. Świętego Mikołaja zastąpiono, czy raczej próbowano zastąpić, Wotanem, a więc Odynem z nordyckiej mitologii. Natomiast samej choinki, a wraz z nią i tradycyjnych ozdób, wykorzenić ani zastąpić niczym się nie udało.

WOJENNE NIEWYBUCHY

Podczas II wojny światowej słowo „bombka", jak się zdaje wyłącznie w polszczyźnie, zyskało nowe, śmiercionośne znaczenie. Za to na całym świecie choinki, zwłaszcza w miejscach publicznych, zaczęły przenosić treści inne niż dotychczas. W Wielkiej Brytanii reglamentowano papier, więc łańcuchy i zabawki robiono, jak byśmy dziś powiedzieli, z recyklingu. Jeśli pojawiały się bombki, to niewielkie i pamiętające jeszcze dawne, dobre czasy. Obowiązkowym elementem było zawieszanie w centralnym punkcie drzewka zdjęć bliskich przebywających na froncie.

W trudniejszej sytuacji byli sami żołnierze. Na jednej z fotografii utrwalono roześmianych amerykańskich wojaków przy papierowej choince, na innej zgromadzili się wokół liściastego drzewka poobwieszanego kartonikami i bibułkami po tytoniu. Jednak największą pomysłowością wykazywali się niemieccy dygnitarze. Dla siebie i swoich podwładnych zamawiali w fabrykach bombki zdobione swastykami, szklanymi dzwoneczkami w barwach nazistowskiej flagi, a nawet ręcznie malowanymi banieczkami z wizerunkiem Hitlera.

Fotograf utrwalił rodzinę Goebelsów przy pięknie zastawionym stole, gdzie nawet kilkuletnie dziewczynki hajlowały pod czujnym okiem ojca. Wiadomo również, że Hermann Göring planował wysłanie każdemu walczącemu przynajmniej symboliczną choineczkę.

CHLUBA POLSKI

Dzisiaj, gdy świat zalewa fala plastiku – o zgrozo – sięgając bombczanej produkcji, Polska jest wyjątkiem. Od XIX w. poprzez południowe krańce w głąb kraju napływały od sąsiadów choinkowe tradycje. Do rodzimych wycinanek i słomkowych zabawek dołączyły dmuchane precjoza z Dolnego Śląska, Krakowa, a po I wojnie światowej z fabryk w Lublinie i Łodzi. Bez zbytniej przesady można powiedzieć, że w naszych warsztatach wypracowaliśmy autorskie style dekorowania szkła. Duża w tym zasługa Cepelii, która przy wszystkich niedostatkach i ideologicznych naleciałościach dawała przestrzeń ludowym twórcom i rzemieślnikom. I dzisiaj zachowane w niejednym pawlaczu bombki mogą się okazać niezłą lokatą kapitału.

Dodajmy – kruchego, kiedy przed kilku laty kociątko wytłukło nam większość bombkowych zabytków, spróbowaliśmy odkupić dawne wspomnienia. Dzisiaj nie moglibyśmy już sobie na to pozwolić. Takie same komplety są dostępne na portalach aukcyjnych, a ceny sięgają kilkuset złotych za najcenniejsze sztuki. Natomiast, jak czytamy na stronach Muzeum Bombki w Miliczu, z usług tamtejszej fabryki korzystał już Walt Disney, zaś bombki ze Złotoryi dziś robione są na zamówienie z bursztynem czy kryształami Swarovskiego i rozsyłane do Azji.

Nic więc dziwnego, że Rafał Trzaskowski zadecydował, że bombki pajacyk i akrobata, które pamiętamy z PRL-u, będą na te święta wyeksponowane w centrum Warszawy. Angielska Wikipedia podaje, że „głównym producentem bombek na świecie" jest Polska! ●

Gdy 1880 r. do siedziby firmy w Pensylwanii przyszedł niemiecki komiwojażer z pudełkiem bombek, Frank Woolworth powiedział, że „Amerykanie nie będą marnować na to pieniędzy, ponieważ one nic nie robią". Ale wziął na próbę.

Sprzedały się na pniu

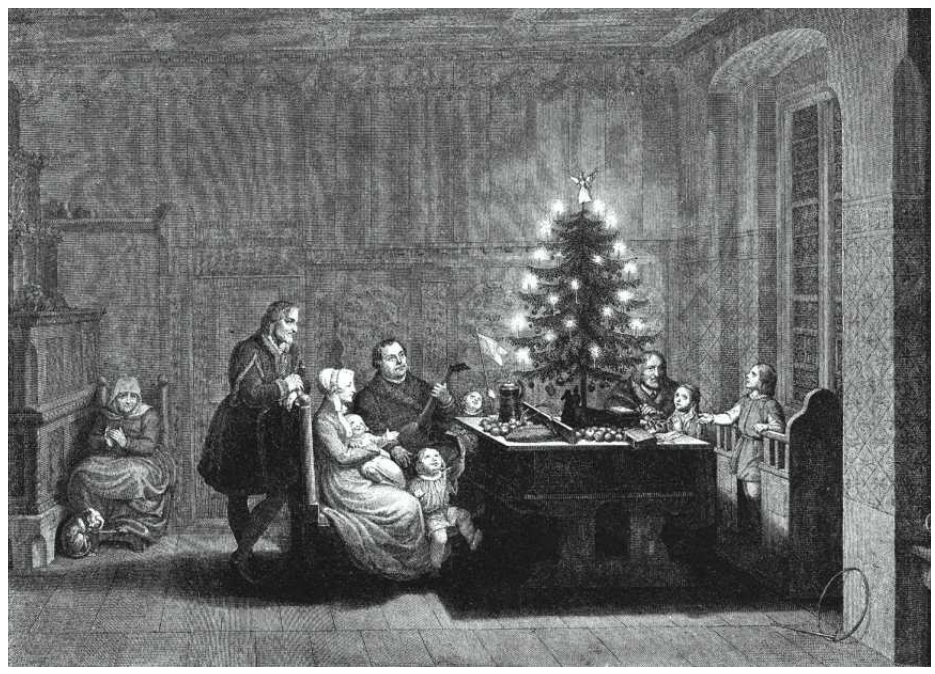

• Rycina Carla Augusta Schwerdgeburtha z 1845 roku przedstawiająca Marcina Lutra z rodziną przy udekorowanej choince FOT. AKG IMAGES/EAST NEWS

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4

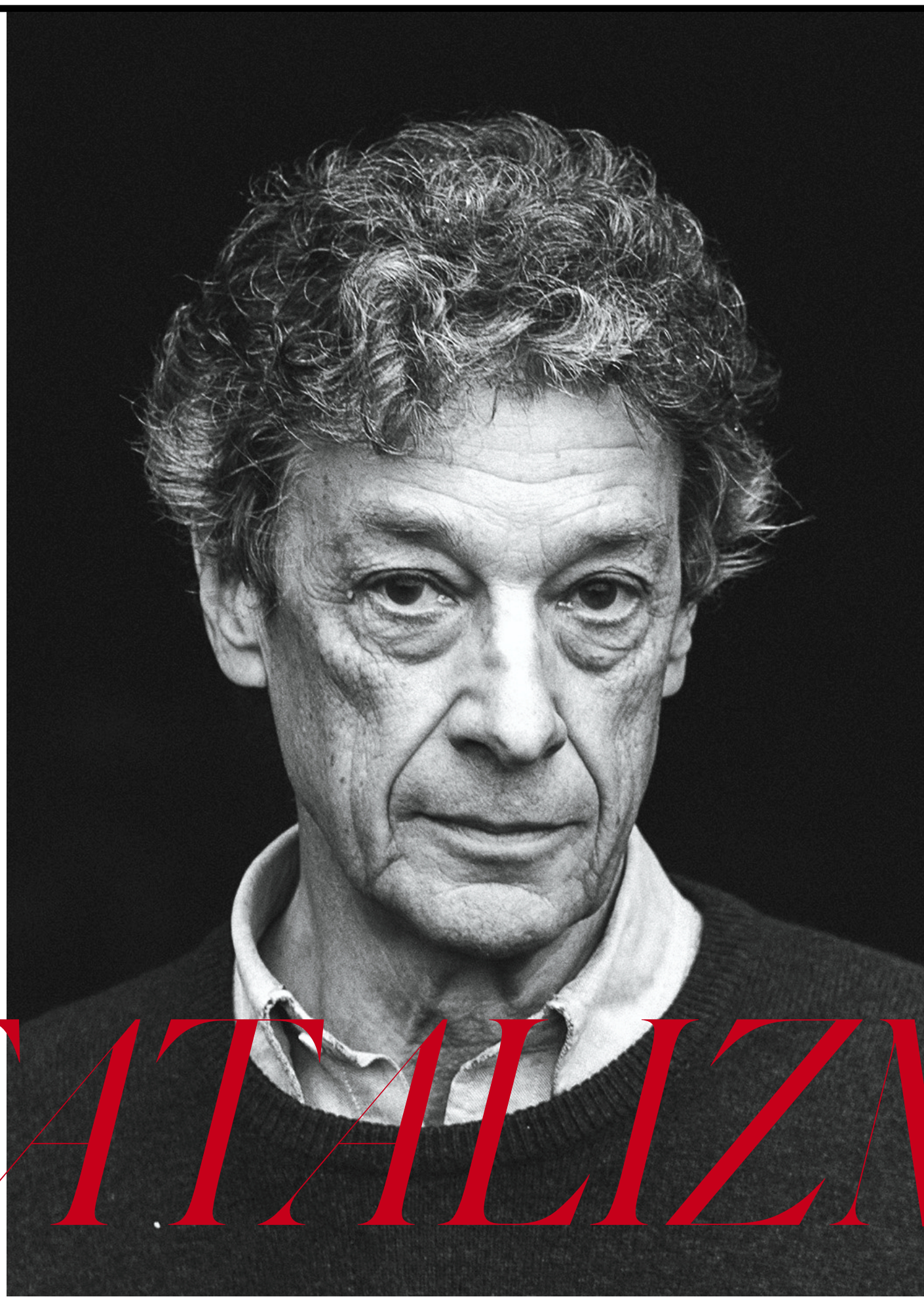

• **Adam Zamoyski**
FOT. RAFAŁ KUSZPYT

FATALIZM JEST NASZĄ CECHĄ NAGMINNĄ

Wciąż tkwi w Polakach wiele kompleksów. A pomieszanie kompleksu niższości z kompleksem wyższości stwarza samobójczy koktajl.

Z **ADAMEM ZAMOYSKIM** ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

eprasa.pl 7f7b52c9e4

WOJCIECH SZOT: Spotykamy się w Zamościu. Ma pan czasem taką myśl – to było kiedyś nasze?
ADAM ZAMOYSKI: Nie – ideą założycielską tego miasta nie było stworzenie gniazda rodu. Ważne też przypomnieć, że Zamość należał do Ordynacji, a nie do rodziny. Janowi Zamoyskiemu zależało na tym, żeby stworzyć tu stolicę obsługującą całą okolicę – miasto niezależne ekonomicznie, zdolne do obrony. Pałac, który Zamoyski zbudował, nie był typową rezydencją pańską.

To, co dzisiaj oglądamy, jest efektem późniejszych przeróbek. Można wręcz powiedzieć, że – zwłaszcza porównując z innymi rezydencjami z tego czasu – był niezwykle skromny.

Zamość jest miastem zaprojektowanym tak, by był funkcjonalny. Ozdobny, ale przede wszystkim spełniający określone funkcje. Mimo że należał do Ordynacji, nie był też traktowany jako rodowa własność.

Przez kilka lat miałem mieszkanie na zamojskiej starówce. Przyjemnie się tu żyje. To przytulne miasteczko, przypominające trochę małe miasteczka we Włoszech. Ma wdzięk.

Czuje się pan arystokratą?
– Nie, bo nigdy nim nie byłem. Jest to określenie pewnej kasty, która dawno temu przeszła do historii. W moim domu nigdy nie używano tego słowa. Mówiło się o szlachcie albo rycerstwie. Zostałem wychowany tak, by w swym zachowaniu dbać o spuściznę rodu, reputację rodziny. W duchu ideałów, jakimi kierowali się przodkowie. Noblesse oblige.

Każdy z wielkich rodów szlacheckich ma swoją charakterystykę, coś na kształt wizerunku. Na dobre i na złe. Co zresztą przejawia się poprzez spuściznę, która po takim rodzie zostaje. Radziwiłłowie wyróżniali się mecenatem nad sztuką, który podkreślał ich status i znaczenie. Potoccy – splendorem wielkich pałaców. Ich portrety zawsze były niezwykle okazałe. Jan Zamoyski własne ambicje połączył ze służbą – narodowi, ojczyźnie.

Nie było u nas tak rozbudowanej tradycji portretowania się czy stawiania wybujałych pałaców. Największy, w Kozłówce, postawił w połowie XVIII wieku nie Zamoyski, lecz wojewoda chełmiński Michał Bieliński. Zamoyscy kupili go dopiero w 1799 roku.

Wychowywał się pan w Londynie i studiował na Oksfordzie w czasie kulturowego zamętu przełomu lat 60. i 70. Na listach przebojów Beatlesi, Stonesi i Presley. Szlachectwo było gorsetem?
– Hipisem nie chciałem zostać, ale nawet bez tego, podobnie jak koledzy, zachowywałem się w sposób zupełnie niezrozumiały dla mojego ojca. Nigdy nie czułem jednak potrzeby naruszać zasadniczych standardów, w jakich zostałem wychowany.

Czyli?
– Wiara, patriotyzm, dobre maniery i powściągliwość. Ojciec nigdy się nie pchał do przodu i wyznawał zasadę, że wszystko ma być najlepszego gatunku, ale wyglądać skromnie. To mi zostało przez całe życie. Jako historyk piszący książki nie mam żadnego instynktu do autopromocji. Zupełnie mi to nie wychodzi. No i bez tego książki się sprzedają – kolejne wydania mojej historii Polski trafiły do milionów czytelników poza granicami kraju.

Ostatnie polskie wydanie ma podtytuł: „Opowieść o dziejach niezwykłego narodu 966-2008". Przed kilkoma laty ukazała się zaś historia Polski amerykańskiego historyka Briana Portera-Szucsa pt. „Całkiem zwyczajny kraj". To jaka ta Polska jest?
– Nie wiem, co on przez to chciał powiedzieć, bo nie ma czegoś takiego jak „zwykły naród". Wszystkie narody są w jakimś stopniu wyjątkowe. I różnią się od siebie. Ernest Renan w 1882 roku powiedział, że „naród to codzienny plebiscyt".

Czyli że naród istnieje dzięki pewnej wspólnocie instynktów, które przekładają się na obyczaje. Ludzie wyznają pewne tradycje nie dlatego, że tak je kochają, ale dlatego, że im pasują. Polska zatem nie jest jak inne kraje. Wystarczy zobaczyć, co tu się dzieje na Zaduszki. Dla kogoś z Niemiec czy Anglii to zupełnie niezrozumiałe. Polska jest osobliwa. Natomiast nie jest na tyle osobliwa, by twierdzić, że jest wyjątkowa.

• **Ratusz na Rynku Wielkim w Zamościu. Jego budowę rozpoczęto w 1591 roku, w następnych stuleciach był wielokrotnie ulepszany, kręte, dwuskrzydłowe schody powstały w latach 1767-70. W 2010 roku zakończyła się renowacja zabytku przeprowadzona dzięki środkom unijnym** FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jan Paweł II dawał Polakom bardzo wiele. Dawał prawo do narodowej dumy, poczucie wspólnoty. Był symbolem, ale też trochę maskotką

Jakie są te polskie instynkty?
– Przede wszystkim chyba indywidualizm. Wręcz wybujałe poczucie wolności osobistej, które objawia się już w początkach polskiej historii. Ten indywidualistyczny rys bardzo dobrze tłumaczy na przykład relacje Polski z reformacją.

Niemal cała północna Europa przeszła w pewnym momencie na różne wersje protestantyzmu. W polskim społeczeństwie olbrzymią popularnością cieszył się kalwinizm. Ale został potraktowany bardzo przedmiotowo – jako narzędzie do walki z rosnącą władzą Kościoła. Gdy już władza kościelna została zniszczona, Polacy wracają do katolicyzmu. I to katolicyzmu, który trudno już znaleźć gdziekolwiek poza krajami południowej Europy. To właśnie taki polski indywidualizm.

Myślę, że to właśnie częściowo tłumaczy, dlaczego w Polsce czasów królów elekcyjnych nie udało się wprowadzić silnej władzy monarszej. A przecież Wazowie próbowali zrobić w Polsce to samo co Tudorowie w Anglii, Burbonowie we Francji, oni sami w Szwecji czy Iwan Groźny w Rosji.

Zamierzali – likwidując lub podporządkowując sobie ciała parlamentarne – przekształcić swoje państwa w kraje poddane monarchii. W Polsce to się nie udało, bo zbyt duże znaczenie dla społeczeństwa miały dwie instytucje – Sejm i Kościół. Sejm i sejmiki dawały – przynajmniej części społeczeństwa – poczucie sprawowania władzy i niezależności. Kościół zaś tworzył sieć, niezależną od władzy centralnej, która wszystkich łączyła. Miał wpływ na każdą z warstw społecznych. Dużo większy niż magnateria czy król.

Wiele się pisze o tym, że w XVII i XVIII wieku w Rzeczypospolitej panowała samowola, „Dziki Wschód", i wyśmiewa się tę tezę, w którą rzekomo szlachta wierzyła, że „Polska nierządem stoi". Ale coś w tym jest, bo nawet w epoce największej anarchii, za Sasów, struktury społeczne i administracyjne, te regionalne, jakoś dalej funkcjonowały i kraj przez długi czas się nie rozpadł.

Historię zawsze opowiadamy z jakiejś osobistej perspektywy, posługując się nabytymi stereotypami, lub z nimi walcząc.
– Wychowałem się w kraju, który przeszedł wielkie zmiany, lecz dawna renoma praworządności, stabilności, życzliwości dalej operuje w umysłach cudzoziemców. Ludzie wciąż ryzykują życie, żeby przepłynąć przez kanał i zamieszkać w Wielkiej Brytanii. Inaczej patrzymy ze środka, inaczej z zewnątrz. W Polsce panuje zamiłowanie do wyciągania najstraszniejszych epizodów z naszej historii, a z nich – wniosków natury ogólnej. Często potwierdzających najbardziej negatywne stereotypy.

Polski fatalizm jest cechą nagminną. Przed wyborami wszyscy moi znajomi mówili, że będzie źle, a opozycja demokratyczna nie ma szans na wygraną. Ile razy słyszałem, że niczego nie warto w tym kraju robić? U Polaków, ze zrozumiałych przyczyn, wciąż jest wiele kompleksów. Pomieszanie kompleksu niższości z kompleksem wyższości stwarza w Polsce samobójczy koktajl.

W „Polsce" rozdział dotyczący lat 80. zatytułował pan „Potęga papiestwa". To budzi szacunek. Ale pisze pan w nim, że „Kościół dał się uwikłać w debaty polityczne dotyczące najróżniejszych spraw". Nie jest jednak tak, że Kościół sam się w te debaty uwikłał?
– Może trzeba ten fragment było trochę inaczej przetłumaczyć. W moim rozumieniu, to znaczy, że uległ wpływom, które go wciągnęły. Kościół pozwolił w pewnym momencie na to, by debata polityczna stała się jego udziałem. Z natury rzeczy stał w oczywistej opozycji do władzy, ale nie chciał się angażować politycznie. Jednak na przełomie lat 70. i 80. XX wieku istniała tylko jedna możliwość – jak nie jesteś z nami, to przeciwko nam. Tak rozumiały opozycja i społeczeństwo. Kardynał Wyszyński miał słuszne obawy co do wyboru tej drogi, ale nie mógł jej uniknąć.

Kościół miał być opozycją nie wobec jakiejś partii politycznej, ale wobec antychrześcijańskiego systemu. Wybór Jana Pawła II na papieża i jego przyjazd do Polski były momentami przełomowymi, ale nabożeństwa celebrowane przez niego stały się wiecami politycznymi. Tym sposobem duchowni dali się wciągnąć w politykę, którą żyło całe społeczeństwo. To nie skończyło się w 1989 roku. Kto raz zasmakował władzy, ten nie tak łatwo z niej rezygnuje.

Pisze pan o śmierci Jana Pawła II, że Polska została „pozbawiona wzorca osobowościowego". Nie za wiele w tym przesady?
– Pisałem po angielsku, więc trudno mi wyczuć, jak to brzmi w polskim przekładzie Michała Ronikiera, skądinąd świetnym.

Gdy umierał Jan Paweł II, byliśmy z żoną w Białej Podlaskiej. Wieczorem wyszliśmy na spacer po miasteczku. W każdym kościele były tłumy ludzi. Klęczeli w środku, wokół. Przeróżni. Od starszych pań po skinów, których bałbym się spotkać nawet na dobrze oświetlonej ulicy. Klęczeli i modlili się. Czy był dla nich wzorcem? Może jednak? Na pewno był symbolem. Może tak to trzeba było napisać?

Jan Paweł II dawał Polakom bardzo wiele. Dawał prawo do narodowej dumy, poczucie wspólnoty. Był symbolem, ale też trochę maskotką.

Niebezpieczne jest dla historyka pisanie o najnowszej historii?
– Zdecydowanie. Bardzo tego nie lubię. Nawet nie o najnowszej, ale w ogóle o ostatnim stuleciu. Niejeden wydawca sugerował, bym napisał biografię Józefa Piłsudskiego. Prawdę mówiąc, nawet to jest dla mnie zbyt współczesne. Chyba wciąż trudno przedstawić naprawdę bezstronną

eprasa.pl 7f7b52c9e4

ocenę tej postaci, ponieważ polscy czytelnicy nie są w stanie odebrać jej bezstronnie. Jego osobowość, w jakimś stopniu żyje prawie w każdym Polaku nawet o najmniejszej znajomości historii. PiS wie, co robi, kiedy odwołuje się do ideałów piłsudczykowskich.

Wie pan... człowiek myśli, że sama demografia musi doprowadzić do zmierzchu PiS-u. A tymczasem on cały czas ma wzięcie, bardzo liczny elektorat. Właśnie dlatego, że odwołuje się do takich wciąż żywych symboli, na przykład subtelnie łącząc katastrofę smoleńską z Katyniem.

A gdyby nie te wciąż żywe emocje wobec Piłsudskiego, to jak chciałby go pan opisać?
– Po angielsku. Zimno. Po prostu opisać – kim był, co zrobił, jak to uczynił. Co było dobre, co złe. Bez epatowania osobistymi preferencjami. Mam to szczęście, że nie byłem wychowywany w żadnym micie Piłsudskiego. Mój ojciec, Stefan Adam Zamoyski, w październiku 1924 roku rozpoczął służbę w 8. Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, a w następnym roku zaczął naukę w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii. A jak pewnie pamiętają czytelnicy – podczas przewrotu majowego to właśnie żołnierze z podchorążówki bronili rządu przed Piłsudskim. Co prawda ojciec nie stacjonował w Warszawie, ale jego oddział też został postawiony w stan gotowości bojowej. Więc u nas żadnego nabożeństwa w stosunku do Marszałka nie było. Co prawda do majątku rodziców, już po śmierci Piłsudskiego, przyjeżdżał Edward Rydz-Śmigły, ale nie mogę powiedzieć, żeby rodzice popierali obóz sanacyjny. Za to na pewno byli państwowcami.

Wracając jeszcze do „Polski" czytanej kilkanaście lat po jej ostatnim wydaniu w Polsce. Jest pan zaskakująco pesymistyczny w końcówce. Brak „nowych elit", wzorców dla młodych ludzi, globalizacja.
– Pisząc to, nie miałem takiego wrażenia. To był trudny moment dla Polski. Awantury i skandale w Sejmie, odór korupcji unoszący się nad policją, mediami, korporacjami. Niewydolny i nieskuteczny system prawny, malejące zaufanie do instytucji publicznych. Do tego wejście do Unii Europejskiej, choć samo w sobie było wydarzeniem bardzo pozytywnym, sprawiło, że Polska zaczęła być narażona i na negatywne skutki globalnych wpływów. A te mogły doprowadzić do zagrożenia tożsamości i spójności narodu. Niech mi pan pokaże, co tam napisałem... Rzeczywiście, po polsku brzmi to jakoś bardziej katastroficznie. Ale będę się upierał, że to jednak nie był pesymizm, lecz spojrzenie obiektywne – czy pan gdzieś widzi jakieś nowe elity?

Bardzo trudno jest przewidywać przyszłość. Polsce od wieków udaje się przetrwać mimo przeciwności losów. Od połowy XVII wieku kraj funkcjonował mimo rosnącej potęgi Rosji i Prus. Potem, podczas zaborów, mierzył się z niemiecką i rosyjską propagandą, która niszczyła Polsce wizerunek i odbierała Polakom prawo do posiadania państwa. Próbowano zniszczyć niemal wszystkie polskie instytucje – zarówno państwowe, jak i religijne. Nie można zapomnieć o Habsburgach, którzy swoją politykę prowadzili dyskretniej, korumpując elity. Niemcy i Rosjanie łamali kręgosłup, a ci go po prostu wyginali.

Polska miała zaledwie niecałe 20 lat jako takiego spokoju. Choć był to spokój w tragicznych warunkach ekonomicznych i okropnym klimacie politycznym. Potem wojna i znowu niemal 50 lat pod obcym systemem.

I, mimo tego wszystkiego, Polska dalej jest. Dzisiaj wolna, jak niemal nigdy wcześniej. Istnieje naród, który nie poddał się żadnemu obcemu systemowi, trzymający się lepszych czy gorszych, ale rodzimych tradycji i wartości. Nie wszystkim się to udało.

Ostatnia dekada to dyskusja wokół „ludowej historii Polski". Czy gdyby dzisiaj siadał pan do nowej wersji „Polski", uległaby ona rewizji?
– Nie. Temat jest bardzo ciekawy i na pewno powinien być opracowany, ale do sensownego opracowania potrzebne są źródła, a tych w tej chwili brakuje. Odnalezienie i zbadanie wystarczającej ilości wymagać będzie syzyfowej pracy dziesiątków badaczy przez wiele lat. Do tego badaczy, którzy nie mają zakodowanych przesądów czy kompleksów ani poczucia powinności wobec polityki czy społeczeństwa. Istnieją bowiem mity reprezentujące „chłopa polskiego" o bardzo różnym spojrzeniu. A w ogóle nie można mówić o „chłopie polskim", ponieważ nie było nigdy takiej ściśle określonej grupy. Losy ludności niezaliczającej się do szlachty były bardzo różne, zależnie od czasu i miejsca, od statusu wobec „pana", między posiadającymi i bezrolnymi i tak dalej. Trzeba też spojrzeć na historię ludową nie tylko z polskiej perspektywy, potrzebne są studia porównawcze między krajami, regionami.

Istnieją różne fantastyczne opisy Polski autorstwa cudzoziemców, którzy ją odwiedzają w XVII czy XVIII wieku. Ledwie przekraczają granice, a tam bieda, trupy przy drodze i błoto. A jeden Szkot piszący w 1593 roku twierdzi, że w Polsce każdy chłopak stajenny czy kowal mówi płynnie po łacinie. Na takiego piszącego podróżnika trzeba uważać.

Pracuję teraz nad książką o wojnie napoleońskiej na Półwyspie Iberyjskim. W relacjach żołnierze armii Napoleona piszą, że Hiszpania to kraj dzikusów, biedaków, którzy jedzą tylko cebulę z jakimś kawałkiem boczku. Wszędzie panuje brud i smród. Zrozumiałe, że tak reagują żołnierze z Francji czy Szwajcarii. Ale tak piszą też nadwiślańscy legioniści czy żołnierze z Neapolu. A przecież u nich też wcale się nie przelewało.

Zresztą ci sami podróżnicy, co pisali o trupach na drogach, byli też przerażeni tym, jak żyła polska szlachta.

Już widzę, jak komentujący z zachwytem rzucą się na to, że pan-szlachcic ubolewa nad ubóstwem szlachty...
– Ludzie nie lubią komplikować sobie wyobrażeń faktami. A przecież cała historia to opowieść o stosunkach władzy z ludźmi, które często nie były i nie są ani oczywiste ani proste. Jedni mówią – w kapitalizmie mamy w końcu wolność. Drudzy – praca dla korporacji to niewolnictwo. To są wyobrażenia o wolności i różnego rodzaju poddaństwie, nie fakty. A na podstawie wyobrażeń nie można pisać historii. Ona lubi fakty.

Ale jednak mówienie o cechach Polaków to wyobrażenia budowane z faktów. To jaka jest ta wyjątkowa, polska cecha?
– Myślę, że cechą Polaków, którą można rozpoznać w tekstach już od XV wieku, jest niezwykłe przywiązanie do miejsca. Nawet nie tyle do państwa, ile do tych małych ojczyzn.

Chcę dodać jedną rzecz, bo rozmawiamy 11 listopada. To, że Polska jest, powinno być powodem do dumy. Choć to, że wciąż jesteśmy tacy, jacy byliśmy i niewiele nas historia nauczyła, to już niekoniecznie. Przetrwaliśmy. I zobaczymy, co będzie dalej. ●

Adam Zamoyski

• ur. w 1949 r., wybitny brytyjski historyk i eseista, autor m.in.: „Napoleon. Człowiek i mit", „Święte szaleństwo. Romantycy, patrioci, rewolucjoniści 1776-1871", „Polska. Opowieść o dziejach niezwykłego narodu. 966-2008" czy „Warszawa 1920". Wychował się w Anglii, skończył Downside School oraz The Queen's College na Oksfordzie. Jest członkiem Royal Society of Arts i Royal Society of Literature. Mieszka w Londynie, często bywa w Polsce.

Antypolityka historyczna

Tryumf jezuitów

Zaaprobowaną niedawno przez papieża Franciszka meksykańską reformę liturgiczną tradycjonaliści uważają za herezję.

Janowski

Przemknęła przez serwisy prawie niezauważona informacja, że odnośna rzymska dykasteria 8 listopada br. zaaprobowała, jak mówi dokument, „adaptację zwykłej mszy św. w języku hiszpańskim" na użytek diecezji San Christobal de Las Casas w Meksyku, w której około trzech czwartych mieszkańców ma korzenie lokalne, indiańskie. W internecie można przeczytać o nowym „rycie Majów", ale dokumenty kościelne nie używają tych słów. Wprowadza się obrzędy oparte na lokalnych zwyczajach: okadzanie ołtarza przez świeckie kobiety, przewodnictwo świeckich w niektórych modlitwach (oczywiście nie podczas przeistoczenia), a także chwile medytacji, którą komentatorzy uznali natychmiast za „taniec rytualny".

Pomyślałem: Tryumf jezuitów spóźniony o 400 lat. Bo w XVII wieku mieliśmy do czynienia z niezwykle śmiałą próbą przystosowania chrześcijaństwa do kultur pozaeuropejskich, głównie w Chinach i Indiach. Pod koniec XVI wieku ojciec Matteo Ricci ubierał się w szaty mandaryna, zachowywał wszelkie obyczaje chińskie włącznie z udziałem w niektórych obrzędach religijnych, czcił Konfucjusza, napisał w klasycznym języku chińskim traktat „O przyjaźni" (podobno pierwsza książka napisana przez Europejczyka po chińsku). Nieco młodszy od niego jezuita Roberto de Nobili został w Indiach formalnie przyjęty do kasty braminów, założył strój hinduski i pędził życie wędrownego nauczyciela.

Prawda, że jezuici XVII-wieczni nie byli oświeconymi zwolennikami tolerancji religijnej; prawie nie było takich w ówczesnej Europie, ani po stronie katolików, ani protestantów. Ważne, że nie chodziło im tylko o taktykę; byli zafascynowani kulturami azjatyckimi i pewni, że chrześcijanie także mogą się czegoś nauczyć od pogan.

Jesteśmy w epoce baroku; fascynacja różnorodnością, ta podstawowa cecha barokowej estetyki, przenosi się na kwestie społeczne i teologiczne. „Większość jezuitów chciała wyrzucić z chrystianizmu elementy typowe dla cywilizacji zachodniej, przyjmując jednocześnie od cywilizacji azjatyckich wszystko to, co nie było sprzeczne z Ewangelią. [...] Nie była im także obca myśl, że każdy lud otrzymał pewną część Objawienia" – pisał wielki francuski historyk kultury Jean Delumeau (przeł. Pawła Kłoczowskiego). Innymi słowy: brali poważnie uniwersalizm chrześcijaństwa i uważali, że ludzie spoza świata zachodniego powinni znajdować w Kościele swoją własną kulturę.

Rzym się zaniepokoił. Obawiano się synkretyzmu, nowej, mieszanej religii. Długo ważyły się losy jezuickich projektów inkulturacyjnych, wreszcie w początkach XVIII wieku zakazano ich kategorycznie. To była bardzo zła decyzja, nie tylko z wyznaniowego, ale też z ogólnoludzkiego punktu widzenia. Nie tylko Kościół, ale też cały świat byłby sympatyczniejszym miejscem, gdyby chrześcijaństwo otworzyło się na różnorodność kulturową.

A jak będzie teraz? Papież Franciszek, sam jezuita, zna i ceni tradycje swojego zakonu. Popchnął stojący od dawna w miejscu proces beatyfikacyjny ojca Ricciego. Papież stawiający na rozwój chrześcijaństwa poza Europą kontynuuje dzieło swoich współbraci sprzed wieków. Ale tropiciele herezji są równie czujni jak kiedyś.

Gdy szukałem w internecie wiadomości o meksykańskiej reformie liturgicznej, natychmiast trafiałem na strony tradycjonalistów. Zarzucały herezję, czasem pisały o „antypapieżu Bergoglio".

Mam wrażenie, że autorzy podobnych opinii słabo znają historię Kościoła. Nie dostrzegają, że mnogość rytów i dążenie do inkulturacji były w chrześcijaństwie od zawsze. Kościół zawsze adaptował pogańskie zwyczaje do swych potrzeb.

Kąpiecie się w rzekach i skaczecie przez ognisko w dniu przesilenia letniego 24 czerwca? To od tej pory róbcie to samo na cześć św. Jana Chrzciciela. Modlicie się na grobach przodków w listopadzie? Od tej pory będzie to Dzień Zaduszny. I tak dalej. Przez wieki inkulturacja wzbogacała chrześcijaństwo, które bez niej nie byłoby sobą. Ale do takiej adaptacji trzeba jednego: wiary we własne siły. Nie boimy się, że pogański element przeważy w liturgii, bo jesteśmy pewni wartości swej religii, wierzymy, że Duch Święty nas nie opuści. Taka jest postawa zwolenników inkulturacji, dawniej i dzisiaj. Tymczasem strażnicy doktrynalnej czystości bardziej niż reformatorzy wątpią w siłę idei, której są wyznawcami: myślę, że ta reguła dotyczy nie tylko chrześcijaństwa. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl 7f7b52c9e4

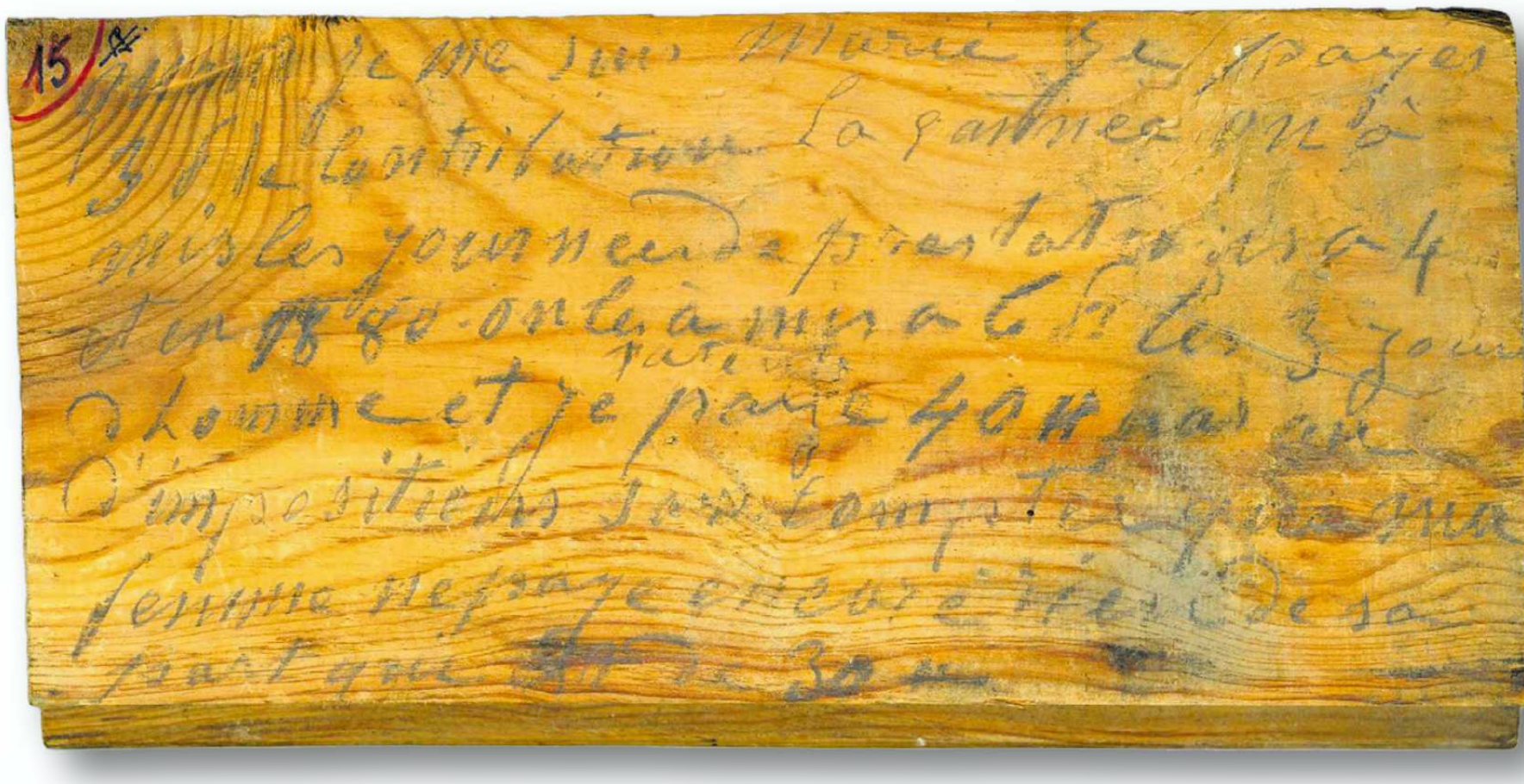

PAMIĘTNIK SPOD PODŁOGI

O co XIX-wieczny proboszcz z alpejskiego miasteczka wypytywał prostych ludzi na spowiedzi. Wiemy to dzięki niezwykłemu odkryciu.

Paweł Matyaszewski

• **Klepki oderwane z podłogi zamku Picomtal we francuskich Alpach. Ułożył je w 1880 roku miejscowy parkieciarz Joachim Martin, który na ich odwrocie opisał historię swojego życia. Na sąsiednie stronie: zamkowe wnętrze, którego podłoga pokryta była klepkami ułożonymi przez rzemieślnika** FOT. JACQUES PEUREUX

eprasa.pl 7f7b52c9e4

Kiedy w 2000 roku rozpoczęto remont starej podłogi na zamku w Picomtal we francuskich Alpach, nikt nie miał pojęcia, jak cenny skarb znajduje się pod wysłużonymi klepkami. A ściślej mówiąc, nie pod nimi, tylko na ich odwrocie. Po drugiej stronie drewnianych klocków oczom robotników ukazał się szereg zdań równo zapisanych kopiowym ołówkiem.

Na 72 różnych wymiarów kawałkach przyciętego starannie drewna ktoś naniósł dokładnie 3943 słowa, budując nierównej długości teksty, czasem krótkie, wręcz lakoniczne, przypominające dzisiejsze SMS-y, niekiedy dłuższe, tworzące spójną, narracyjną całość. Pozbawione jakichkolwiek ambicji literackich, pisane prostym, czasem chropowatym językiem, wskazywały wyraźnie swym stylem na kogoś z niższego stanu społecznego, ale też zarazem na osobę w miarę wykształconą, a przede wszystkim umiejącą pisać.

LIST DO PRZYJACIELA

Już pobieżna analiza drewnianego skarbu pozwoliła ustalić autora zapisków spod podłogi oraz wyjaśnić historię ich powstania. On sam zresztą nie ukrywał swojej tożsamości, podając na jednej z klepek, jak na wizytówce, swoje imię i nazwisko, wiek, miejsce zamieszkania oraz datę. Nazywał się Joachim Martin, pochodził z położonego niedaleko od zamku miasteczka Crottes i w chwili, kiedy w 1880 roku zaczął tworzyć swoje zapiski na odwrocie zamkowej podłogi, miał 38 lat. Autor nie podał jednak w tym miejscu najważniejszej o sobie informacji, czyli tego, czym się na co dzień zajmował. Pojawia się ona jednak wielokrotnie w innych miejscach, tzn. na innych klepkach, więc zapewne uznał ją za zbyteczny element swojej wizytówki.

Joachim Martin był z zawodu stolarzem i parkieciarzem, któremu ówczesny właściciel zamku w Picomtal powierzył remont zużytej podłogi i położenie nowych desek. Dzięki temu wiemy, w jaki sposób sporządził swoje notatki, ale także jak udało mu się je zamknąć pod zamkową podłogą, niczym w drewnianym sarkofagu, gdzie spoczywały nietknięte przez kolejnych 120 lat. Aluzja do złożenia zapisków stolarza pod parkietem, jak w grobie, nie jest przypadkowa, on sam zakładał, że o ile zostaną odnalezione, nastąpi to już długo po jego śmierci.

Domyślał się, a może był pewien, że odkrywcą jego zapisków będzie kiedyś kolejny stolarz, który po wielu latach będzie remontował zużytą zamkową podłogę. To właśnie ów przyszły, siłą rzeczy anonimowy stolarz parkieciarz, był tak naprawdę adresatem zapisków Joachima Martina. Mają one charakter przekraczającej granice czasu apostrofy, w której autor zza grobu pisze do kogoś, kto pewnie nawet jeszcze się nie narodził.

Joachim Martin zwraca się do niego wielokrotnie, nazywając go wręcz familiarnie swoim przyjacielem i czytelnikiem, nawiązując z nim swoisty, osobisty i ponadczasowy kontakt, prowadząc coś na kształt jednostronnej rozmowy. Żali się przed nim otwarcie, że w czasie swojej długoletniej pracy parkieciarza, zrywając stare podłogi i wymieniając zużyte klepki, nigdy nie napotkał pisemnego śladu trudu swoich poprzedników, choćby najmniejszego znaku historii ich życia i działalności, komentarzy, podpisów czy nawet zwykłej daty. Postanowił więc pozostawić potomnym pamięć o sobie, utrwalić ją za pomocą zwykłego stolarskiego ołówka na drewnianych kawałkach i powoli zamykać pisemne świadectwo po drugiej stronie zamkowego parkietu.

SKRZYPEK I RZEMIEŚLNIK

W swych zapiskach Joachim Martin głównym tematem i punktem odniesienia czyni siebie samego. Chodzi mu o przedstawienie historii swojego życia, opowiadanej, jak sam pisze, w sposób otwarty i szczery, gdzie bez skrępowania chce podzielić się osobistymi informacjami i refleksjami. I takie wrażenie odnosi się, czytając po latach jego notatki.

Dowiadujemy się, że stolarzem został w wieku 15 lat, w roku 1858, idąc w ślady ojca. Nie tylko podaje jego imię, ale też wiek i datę śmierci, a nawet przytacza to, że z powodu bliżej nieokreślonych nieporozumień z lokalnymi mieszkańcami ojciec na 20 lat zarzucił zawód stolarza i zajął się produkcją cegieł. Umarł w wieku 60 lat, pogrążony w biedzie i długach.

Wspominając z pewną nostalgią własne lata młodości, między 15. a.rokiem życia, Joachim Martin nie ukrywa, że spędził je na zabawie, żyjąc beztrosko miłostkami i zaglądaniem do kieliszka. Czyni aluzję do swojej częstej obecności na wiejskich weselach i zabawach, na których nie tylko przygrywał skocznie do tańca na skrzypcach, ale także sam oddawał się uciechom życia. Poucza wręcz po ojcowsku swojego przyszłego czytelnika, by ten nie poszedł tą drogą i był bardziej rozsądny od niego.

Nawet jeśli w roku 1880 Joachim Martin wciąż jeszcze jest wiejskim skrzypkiem dorabiającym do stolarskiej pensji, to lata zabawy i niefrasobliwości miał już za sobą. Zwłaszcza że od 1870 roku był żonaty z młodszą od siebie o dziewięć lat córką sekretarza w miejscowym merostwie, o czym także pisze. Wyznaje, że było to małżeństwo z miłości oraz że 18-letnia wybranka, prosta i skromna, była jeszcze dziewicą w dniu ślubu. Wyraził to wprawdzie w bardziej dosadny sposób, ale pomińmy szczegóły.

RODZINNA KATASTROFA?

Swoje małżeństwo przedstawił w dość ponurych barwach. Pisze o licznych konfliktach z teściami, których nazywa wręcz swoimi wrogami, sugerując ponadto, że uważali oni małżeństwo ich córki za mezalians. Z kolei jego miłość do żony ustąpiła po czasie rozczarowaniu, co widać chyba najdobitniej w tym, że nawet ani razu nie wymieni jej imienia. Przestrzega tylko przyszłego czytelnika, by ten – kiedy będzie chciał się żenić – wziął przede wszystkim pod uwagę mądrość swej wybranki, a nie wysokość jej posagu.

Wiadomo, że już przed rokiem 1880 Joachim Martin miał z żoną czworo dzieci, dwie córki i dwóch synów, lecz dość symptomatyczne jest to, że nigdy o nich nie wspomina w zapiskach. Podobnie rzecz ma się z jego własnym, licznym rodzeństwem. Spośród dwunastu sióstr i braci wspomniana została, i to bardzo krótko, tylko jedna siostra, której imienia również nie podaje, i to w dość skrótowy sposób. Dowiadujemy się jedynie, że miała mało rozgarniętego męża i drewnianą protezę nogi.

Jak widać, oprócz ojca, którego darzył wielką estymą, Joachim Martin nie miał do pozostałej części rodziny szczególnych sentymentów, a jego zapiski nie przypominają czułych historii zaczerpniętych z rodzinnego albumu.

CIĘŻKA DOLA PARKIECIARZA

Bardzo często pisze o swojej sytuacji materialnej. Podaje nawet wysokość gaży za metr kwadratowy kładzionego na zamku parkietu oraz sumę, jaką zarabia w jeden dzień. Uważa, że nie jest uczciwie opłacany przez zleceniodawcę. Przestrzega przyszłego czytelnika stolarza, by żądał zawsze godziwej zapłaty odpowiadającej jego talentowi i umiejętnościom.

O sobie pisze, że po latach pracy nie dorobił się niczego i nie posiada żadnego majątku. Zarobek wystarcza mu jedynie na podstawowe potrzeby. Precyzyjnie podaje, niewątpliwie bezcenne dziś dla współczesnego historyka, ówczesne ceny produktów spożywczych, takich jak wino, chleb, ziemniaki, oliwa, mięso, owoce czy jajka, będące podstawą jego pożywienia. Według niego były zbyt wysokie i miały wpływ na jego trudną sytuację.

Poczucie ciężkiego ludzkiego losu potęguje w tekście opis klęski nieurodzaju w 1881 roku. Martin przywołuje ogromną suszę, która wręcz spustoszyła alpejski region między majem a wrześniem tego roku, gdzie przez cztery miesiące nie spadła ani kropla deszczu. Potworne upały zrujnowały okolice i zniszczyły zbiory. W przejmujący, pełen wrażliwości sposób pisze o spragnionych wody i trawy owcach padających na górskich pastwiskach, spalonych słońcem uprawach kartofli czy zbóż, wysuszonych drzewach owocowych, zniszczonych gorącem winoroślach.

NASZE ELITY TO DNO

Opis żywiołu pustoszącego okolice Crottes zwraca uwagę na jeszcze inny aspekt zapisków francuskiego stolarza. Pisząc cały czas o sobie, przytłaczając notatki własną wrażliwością, Joachim Martin jest jednak zarazem kronikarzem społeczności, w której żyje, przez co są one jeszcze ciekawsze i cenne. Rejestruje lokalną rzeczywistość, której jest częścią. Stąd przecież pochodzi, tu mieszka i pracuje, więc miejsce, gdzie toczy się całe jego życie, musi siłą rzeczy pojawić się jako tło relacji.

Joachim Martin jest reportażystą amatorem, zręcznie zapisującym i przybliżającym nieduże fragmenty większej całości, jaką w ostatnim dwudziestoleciu XIX wieku tworzyła francuska społeczność alpejskiej gminy rozrzuconej po 62 okolicznych wioskach i fermach, liczącej w tamtych czasach 1313 mieszkańców. Z radością wita modernizację rolniczego regionu, budowę długo oczekiwanych w górzystym terenie linii kolejowej i nowych mostów, pozwalających prowincji połączyć się z innymi częściami kraju. Dowiadujemy się nawet, że zaangażowani do tych prac robotnicy pochodzą z Piemontu, co jeszcze bardziej pokazuje otwarcie na świat zagubionego w górach regionu.

Kreśli też obraz miejscowej elity społeczno-politycznej, lokalnej władzy, urzędników zatrudnionych w regionalnych merostwach. Przywołuje ich z imienia i nazwiska, ale nie ma o nich dobrego zdania i nisko ocenia ich morale. Jak francuski Gogol czy Czechow, Joachim Martin oskarża ich o korupcję, łapówkarstwo, chciwość, pazerność, skąpstwo, głupotę, a niektórych nawet wręcz o analfabetyzm. Według jego relacji, czterech z siedmiu doradców zatrudnionych w merostwie w Crottes nawet nie umiało czytać.

OBURZONY ANTYKLERYKAŁ

Joachim Martin nie wypowiada się zbyt często na tematy polityczne, ale nie ukrywa swoich republikańskich poglądów. Wręcz entuzjastycznie wita antyklerykalne decyzje rządów III Republiki dotyczące restrykcji wobec zakonów, laicyzacji szkolnictwa, zwłaszcza wycofania duchowieństwa ze szkół publicznych, czy zakazu umieszczania symboli religijnych na cmentarzach.

Swój antyklerykalizm Joachim Martin najlepiej wyraża w krytyce miejscowego proboszcza. Zarzuca mu, że w czasie spowiedzi ze zbyt dużym zainteresowaniem, wręcz obsesyjnie wypytuje kobiety o intymne szczegóły ich pożycia małżeńskiego, nie tylko o częstotliwość kontaktów seksualnych, ale też o sposób, w jaki one się odbywają. Oskarża też otwarcie księdza o molestowanie swoich parafianek, zwłaszcza że ten był zarazem miejscowym lekarzem. Proboszcz znajdował osobliwą przyjemność w częstym ich badaniu, przy czym wszyscy domyślali się, co się za tym tak kryło. Martin nie ukrywa swego gniewu, wręcz twierdząc, że księdza należałoby za to powiesić.

Jego zapiski często przywołują temat seksualności mieszkańców gminy Crottes. Nie wpadając w żaden sposób w plotkarski czy moralizatorski styl, przywołuje liczne historie zdrad małżeńskich, potajemnych związków, życia w trójkącie, konkubinatów, nieślubnych dzieci, a nawet, co najbardziej wstrząsające, zabójstw nowo narodzonych z powodu biedy i posiadania już zbyt licznego potomstwa.

Różnorodność obserwacji i tematów, które porusza Joachim Martin, jest bogata i fascynująca. Odkryty po latach pod drewnianą podłogą na zamku w Picomtal to spójny i wielce interesujący obraz życia lokalnej społeczności francuskiej prowincji w pierwszym dziesięcioleciu III Republiki. Ale przede wszystkim francuski stolarz opowiada przyszłemu czytelnikowi historię własnego życia. Ciekawego, choć smutnego, spędzonego bez większej radości, ale z pewnością uczciwego i prawdziwego. ●

Korzystałem z książki: Jacquesa-Oliviera Boudona, „Le plancher de Joachim: L'histoire retrouvée d'un village français" (Paryż 2017).

FOT. HEMIS / ALAMY STOCK PHOTO

Joachim Martin przywołuje liczne historie zdrad małżeńskich, potajemnych związków, życia w trójkącie, konkubinatów, nieślubnych dzieci, a nawet, co najbardziej wstrząsające, zabójstw nowo narodzonych z powodu biedy

eprasa.pl 7f7b52c9e4

weekendówka 134

KOREAŃSKI STAJL

Gangnam-gu to jedna z 25 dzielnic Seulu, stolicy Korei Płd. Dzielnica słynąca z bogactwa, przepychu, siedziba wielkich koreańskich korporacji – czeboli, jak Hyundai czy GS Group. Słowem porównania do Beverly Hills w tym przypadku są jak najbardziej uzasadnione.

Dlatego po koreańsku określenie „Gangnam Style" oznacza tyle, co pławienie się w luksusach, po naszemu – życie jak w Madrycie (nie w Seulu). I właśnie utwór o takim tytule zaserwował słuchaczom niejaki Park Jae-sang, posługujący się scenicznym przydomkiem Psy.

Singiel miał premierę 7 lipca 2012 roku, tydzień później teledysk wylądował w serwisie YouTube. I się zaczęło. „Gangnam Style" zawojowało listy przebojów w 30 krajach, wspięło się na drugie miejsce prestiżowego zestawienia Top 100 tygodnika „Billboard",

Charakterystyczny beat, zwariowany teledysk, którego esencją był taniec imitujący jazdę na koniu, wreszcie słowa refrenu, wpadające w ucho i za nic w świecie nie chcące opuścić mózgu: „Oppa Gangnam Style, Gangnam Style! Op, op, op, op. Oppa Gangnam Style, Gangnam Style".

Liczba wyświetleń klipu na YouTube błyskawicznie zbliżała się do miliarda, by magiczną granicę przekroczyć – jako pierwszy w historii serwisu - 21 grudnia 2012 roku. Niespełna pół roku od premiery. Od 24 listopada tego roku, kiedy pokonało „Baby" Justina Biebera i Ludacrisa, do 10 lipca 2017 (sic!) było najczęściej oglądanym wideo w serwisie. Wówczas to przebił „Gangnam Style" „See You Again" Wiza Khalify.

Taniec Psy'a wykonywali i brytyjski premier David Cameron, i sekretarz generalny ONZ Ban Ki-moon. Koreański raper uczył go Britney Spears podczas talk show Ellen DeGeneres, odtańczył go też wspólnie z Madonną. „Gangnam Style" pojawił się w „Simpsonach", „Glee", amerykańskim „Tańcu z Gwiazdami", Novak Djoković uczcił tym tańcem jedno z turniejowych zwycięstw, swoją wersję wykonał też, w programie brazylijskiej telewizji, legendarny Ronaldo. Zresztą, futbolistów, którzy w ten sposób celebrowali strzelonego gola, było znacznie więcej.

„Gangnam Style" znał nawet Barack Obama. Zresztą, kto nie znał, skoro dwa miliardy wyświetleń pękły już w 2014. Licznik zatrzymał się na liczbie 2 147 483 647. I stanął. Bo liczba wyświetleń przekroczyła limit, który przyjęli twórcy YT, gdy zakładali serwis. Po wprowadzeniu niezbędnych poprawek, zmianie zapisu z 32-bitowego na 64-bitowy licznik ruszył. I dziś „Gangnam Style" ma blisko 5,4 mld wyświetleń. Całkiem nieźle jak na klip, który Psy nakręcił w niespełna 48 godzin...

Dzisiejszą „Weekendówkę", z okazji rocznicy „pęknięcia miliarda", poświęcimy więc sławnym klipom i ich jeszcze sławniejszym wykonawcom. Oppa!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

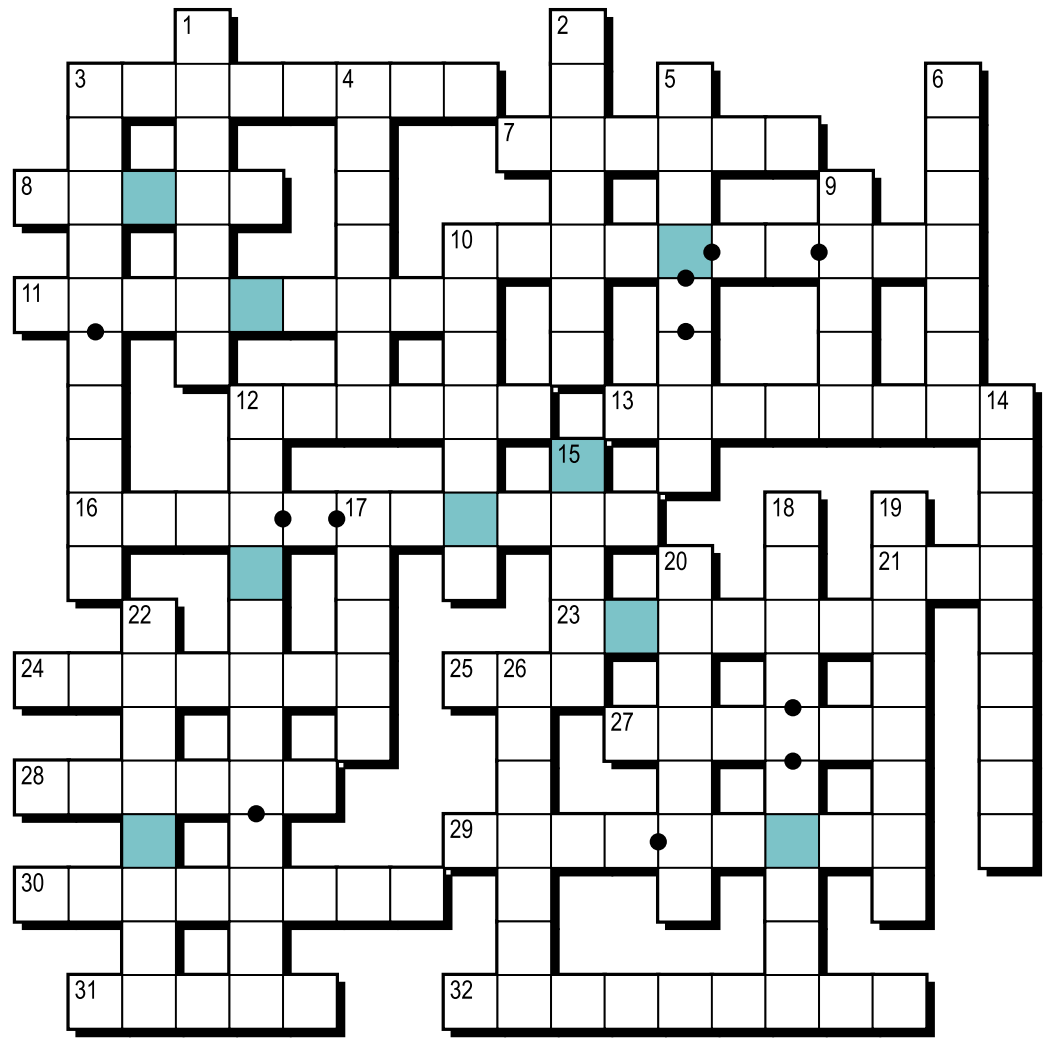

KRZYŻÓWKA KLIPY
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) piosenka Kanyego Westa z teledyskiem zainspirowanym japońskimi filmami anime
7) ... Grande, jej „Side to Side" ma ponad 2 mld odsłon
8) „... Killed the Radio Star" grupy The Buggles, pierwszy teledysk nadany w stacji MTV (1 sierpnia 1981 r.)
10) hit Taylor Swift (3,5 mld odsłon)
11) grupa rockowa Stevena Tylera; ich teledyski z Alicią Silverstone w roli głównej rządziły w latach 90.
12) Christopher, aktor z niesamowitym układem tanecznym w teledysku Fatboy Slima „Weapon of Choice"
13) przebój artystki z określenia 23 poziomo (1 mld odsłon)
16) przebój Madonny z klipem potępionym przez Watykan
21) piosenka królująca na listach przebojów
23) wystąpiła w „Love the Way You Lie" Eminema i „This Is What You Came For" Calvina Harrisa (miliardowe odsłony)
24) jej „Waka Waka" obejrzano ponad 4 mld razy
25) Koreańczyk znany z „Gangnam Style" (5,3 mld odsłon)
27) ... Morissette, z oryginalnym samochodowym teledyskiem do piosenki „Ironic"
28) ... Michael, artysta z określenia 1 pionowo
29) nagrali „Another Brick in the Wall", z pamiętnymi maszerującymi młotami w wideo
30) są nimi członkowie grupy Twenty One Pilots w klipie do „Heathens" (ponad 2 mld odsłon)
31) jeden z „miliardowych" przebojów Adele
32) wideoklipy

Pionowo:
1) piosenka z teledyskiem, w którym wystąpiły Naomi Campbell, Cindy Crawford, Linda Evangelista, Tatjana Patitz i Christy Turlington
2) ich klip do „Smells Like Teen Spirit" powstał w 12 godzin
3) debiutowały piosenką „Wannabe" z teledyskiem nagranym „jednym ujęciem"
4) Peter, w latach 80. jego teledyski zachwycały wykorzystaniem animacji („Sledgehammer", „Steam")
5) piosenka zespołu a-ha z kreatywnym teledyskiem wykorzystującym animację
6) bondowy przebój Adele
9) ich utwór „Somebody That I Used To Know" obejrzało 2,3 mld osób
10) Ed z kilkoma miliardowymi hitami („Shape of You", „Perfect")
12) naga Miley Cyrus na kuli kruszącej skały
14) kraj, z którego pochodzi Sia, wykonawczyni utworu „Chandelier" z niezwykłym tańcem młodej Maddie Ziegler
15) Katy, jej „Dark Horse" i „Roar" mają ponad 4 mld odsłon
17) miejsce akcji teledysku „Blank Space" Taylor Swift (3,5 mld odsłon na YT)
18) ich „November Rain" trwa ponad 11 minut
19) „Bohemian ..." zespołu Queen, niezwykła piosenka z niezwykłym wideo
20) Wiz, amerykański raper; jego „See You Again" obejrzało blisko 6,5 mld osób
22) hit grupy Beastie Boys, z klipem stylizowanym na serial kryminalny z lat 70.
26) nadawane w „dawnej" MTV, oprócz teledysków i koncertów

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 133 z 14.12:

Poziomo: 2) deszcz, 7) rupie, 11) Bollywood, 12) Shantaram, 14) mantra, 15) radża, 16) niedola, 17) Ambani, 18) turban, 19) miasta, 21) diament, 23) kardamon, 25) kasta, 27) krowa, 28) Kipling, 29) rani, 31) Shah, Rukh, Khan, 32) trójkąt, 34) przyroda, 25) Ramajana, 36) Dewi.
Pionowo: 1) Brahmaputra, 2) Dekan, 3) sezam, 4) zabytki, 5) wulkan, 6) Tadż Mahal, 8) Pendżab, 9) Życie Pi, 10) godło, 13) Mahatma, 17) Andamany, 19) mąka, 20) sipaj, 22) Nikobary, 24) delhijka, 25) Karakorum, 26) sanskryt, 27) Kwiaty, 28) kultura, 30) Tagore, 31) stany, 33) Kali.

HASŁO:
GAWIALE I KOBRY

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ
Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store
POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

1 RP

eprasa.pl 7f7b52c9e4